

KTO ZOSTANIE NASTĘPCA
FRANCISZKA?

PIERWSZA TURA WYBORÓW
JAK PLEBISCYT

PIESIEWICZ, PROWIZJE
I JEGO SITWA

„SZTANDAR MŁODYCH”
WIĘCEJ NIŻ KUŹNIA TALENTÓW

PRAWDA PRZEGRYWA
Z POLITYKĄ

TO BYŁO NASZE
ZWYCIĘSTWO

MAJ
1945



50 LAT *rampa* TEATR NA TARGÓWKU

PREMIERA 23 MAJA



WITKACJA

WODEWIL NA KRAWĘDZI

REŻYSERIA: CEZI STUDNIAK • SCENARIUSZ: KAROLINA FELBERG-PAWŁOWSKA I ROMAN PAWŁOWSKI-FELBERG

MUZYKA: GRZEGORZ RDZAK • SCENOGRAFIA: MICHAŁ HRISULIDIS

KOSTIUMY: BARBARA SIKORSKA-BOUFFAL • CHOREOGRAFIA: ALISA MAKARENKO



Byliśmy w koalicji zwycięzców

Choć od zakończenia II wojny światowej mija 80 lat, to po napaści Rosji na Ukrainę znów budzi ona większe zainteresowanie nie tylko badaczy i miłośników historii. Przez lata jej ocena była już tylko przedmiotem rozważań historyków, dziś nabiera bardziej politycznego oblicza. Narodom Europy II wojna wydawała się tragiczną lekcją historii, Europejczycy mieli z niej wyciągnąć wnioski, na czele z najważniejszym: że sporów nie rozwiązuje się drogą agresji militarnej. Niestety, po raz kolejny okazało się, że wojny są wpisane w genotyp narodów, że polityki siły, pogńębienia i niszczenia słabszych, zagarniania ich ziem, kopalin, nawet ludobójstwo, nadal są aktualne. A może raczej zawsze są aktualne.

To, co się dzieje za naszą wschodnią granicą, rzutuje na upamiętnienie zakończenia II wojny światowej. Nie ma wspólnych obchodów, świat zachodni odmawia udziału w świętowaniu zwycięstwa w Moskwie, tłumacząc, że nie może tego robić razem z agresorem. O ile działania Zachodu da się racjonalizować, o tyle trudno zrozumieć i zaakceptować politykę historyczną Instytutu Pamięi Narodowej uprawianą pod przewodnictwem Karola Nawrockiego, kandydata PiS na prezydenta RP. Ma ona za zadanie przemilczać fakt wyzwolenia Polski spod hitlerowskiej okupacji przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie. 600 tys. poległych na ziemiach polskich czerwonoarmistów dla Nawrockiego i jemu podobnych jest tylko dowodem na zniewolenie Polski.

Nie może być zgody na niedoceniaenie, a nawet kwestionowanie faktu, że w II wojnie byliśmy zwycięzcami. Udawanie, że nie ma znaczenia zatknięcie przez kościuszkowców 2 maja 1945 r. biało-czerwonej flagi na Kolumnie Zwycięstwa w Berlinie. Przez żołnierzy, których szlak bojowy wiódł od Lenino do Berlina. Na mówienie, że realizowali oni plany Stalina zwasalizowania Polski. Takie podejście do własnej historii jest nie tylko jej fałszowaniem, ale i polityką antynarodową – bo podważa się w konsekwencji zasadność przyznania Polsce Ziem Odzyskanych na mocy decyzji Wielkiej Trójki. Jest zaprzeczaniem, że kościuszkowcy zatknęli biało-czerwoną w imieniu wszystkich Polaków walczących z Hitlerem i jego sojusznikami na wszystkich frontach. W imieniu wszystkich obywateli Rzeczypospolitej. Zwycięskich Polaków! Będących w koalicji zwycięzców!

Narodowy Dzień Zwycięstwa w Polsce obchodzony będzie 8 maja. Dobrze, że obecna koalicja nie idzie drogą wyznaczaną przez IPN, czego dowodzi rozmowa z Michałem Syską, zastępcą szefa Urzędu ds. Kombatanów i Osób Represjonowanych. Polityka obecnego urzędu musi znajdować wsparcie w innych instytucjach: MON, MEN czy MKiDN. Wsparcie w walce z fałszowaniem historii, w walce o prawdę historyczną, której zaprzeczeniem jest narracja IPN Nawrockiego i jego protektorów.

BAKOWSKI



ARCHIWUM PRZEGLĄDU



Twoje okno do historii
tygodnikprzeгляд.pl

CZYTAJ I ODKRYWAJ

**Ponad 1000 tekstów
najwybitniejszych autorów**

NUMER 30/2024



„Między Lublinem a Londynem”
Paweł Sergiejczyk

W NUMERZE

HISTORIA

- 8 To było nasze zwycięstwo!**
III RP skreśliła 9 Maja
- 11 Nigdy więcej wojny!**
– rozmowa z Michałem Syską

KRAJ

- 13 Pierwsza tura jak plebiscyt**
Wybór kandydata wyborem kształtu lewicy
- 16 Gigantyczne prowizje i polityczna sitwa**
Przekręty Piesiewicza
- 18 Prace domowe wracają jak bumerang**
Ich zakaz to niewypał
- 20 Spadkobiercy Twardowskiego**
Polski udział w przemyśle kosmicznym
- 50 Uzależnieni od porno**
– rozmowa z prof. Mateuszem Gołą

KOŚCIÓŁ

- 24 Konklawe: kto po Franciszku?**
Korespondencja z Rzymu

OPINIE

- 28 Piotr Kimla**
Problematiczne działania matematyczne
- 30 Sławomir Wiatr**
Lewica polska na tle...

MEDIA

- 32 „Sztandar Młodych”**
Więcej niż kuźnia talentów
Jedyna taka gazeta

ZAGRANICA

- 36 Kto uratuje Amerykę?**
Korespondencja z USA
- 54 Kryzys migracyjny**
Fotoreportaż z przesmyku Darién

TECHNOLOGIE

- 40 Sztuczna inteligencja wdziera się do szkół**
Rozleniwiająca rewolucja

KULTURA

- 44 Aktor zwyczajny, aktor wyjątkowy**
– rozmowa z Janem Fryczem
- 47 Kulturalia**
- 48 Kosmos Kandinskiego**
Lepiej rozumiemy sztukę abstrakcyjną
- 66 Niebieski sen**
Malarstwo Katarzyny Karpowicz

OBSERWACJE

- 56 Brutal z Katowic**
„Złe urodzona” ikona architektury

ZWIERZĘTA

- 59 Obcy są wśród nas**
Fajny zwierzak najeżdżąc w środowisku

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Paweł Dybicz**
Byliśmy w koalicji zwycięzców
- 23 Roman Kurkiewicz**
O kołaczach poza pracą
- 43 Tomasz Jastrun**
Zjadanie pająka
- 53 Wojciech Kuczok**
Sport i turystyka



40

TECHNOLOGIE

SZTUCZNA INTELIGENCJA WDZIERA SIĘ DO SZKÓŁ

Rozleniwiająca rewolucja

50

KRAJ

UZALEŻNIENI OD PORNO

– rozmowa
z prof. Mateuszem Gołą



59

ZWIERZĘTA

OBCY SĄ WŚRÓD NAS

Fajny zwierzak najeżdżąc w środowisku

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 57f76c6fbc





✉ Dla kogo wybory za granicą

W felietonie „Wybory za granicą” („Przegląd” nr 17) Attaché podaje, że w drugiej turze wyborów prezydenckich w 2020 r. wzięło udział 516 tys. Polaków za granicą, a o zwycięstwie jednego z kandydatów zdecydowało 421 tys. głosów. Są to zatem głosy istotne. I tu nasuwa mi się refleksja, dlaczego o tym, kto będzie prezydentem mojego kraju, ma decydować ktoś, kto wyjechał z niego ponad 40 lat temu i przyjeżdża raz lub dwa razy w roku, by wyleczyć zęby albo skorzystać z innych świadczeń medycznych. Czy nie należałoby wprowadzić ograniczenia możliwości głosowania w wyborach przez Polaków, którzy wiele lat przebywają za granicą i żyją czasami w zupełnie innych realiach? Przeciwnicy takiego rozwiązania powiedzą od razu, że przecież ci ludzie wiedzą, co się dzieje w Polsce, na podstawie informacji z mediów albo od rodziny. Owszem, ale wobec tego zagłosują tak, jak podpowiedzą im media albo rodzina. Oni skutków decyzji podjętej przy urnie nie odczują. Dlaczego mają więc decydować, kto będzie kształtował warunki mojego życia?

Konrad Trybusiewicz

W przeliczeniu na euro płaca minimalna w Polsce jest na piątym miejscu wśród 27 krajów Unii Europejskiej. Większość stanów USA również ma płacę minimalną niższą niż w Polsce. Znacznie gorzej jest u nas z wydajnością pracy. Niższą wydajność w Unii mają tylko Łotysze, Bułgarzy i Grecy.

✉ Płaca minimalna

Ze zdziwieniem przeczytałam w nr. 17 (s. 6) informację, że Polska ma jedną z najwyższych płac minimalnych w UE, co autor tej notki zestawiał z faktem, że wydajność pracy mamy jedną z najgorszych – czwartą od końca. Wniosek pracodawca wyciągnie sam: dlaczego muszę aż tyle płacić tym nierobom? Poczulałam się, jakbym czytała raport Forum Obywatelskiego Rozwoju Balcerowicza, a nie tygodnik mieniący się lewicowym.

Nie wiem, skąd autor wziął informacje o płacy minimalnej. Według danych Eurostatu w styczniu 2025 r. wynosiła ona

w Polsce 1091 euro miesięcznie. W sześciu krajach – Francji, Belgii, Niemczech, Holandii, Irlandii i Luksemburgu – przekraczała 1,5 tys., a nawet 2 tys. euro. Także w Słowenii i Hiszpanii była wyższa niż u nas. Polska zatem była na dziewiątym, a nie na piątym miejscu w UE pod względem wysokości płacy minimalnej. Autor notki nie wspominał też, że w pięciu krajach Unii – Danii, Włoszech, Austrii, Finlandii i Szwecji – płacy minimalnej w ogóle się nie ustala. A trudno przypuszczać, by w tych krajach (może poza Włochami) była ona niższa niż w Polsce.

Poza tym istotne jest, ile osób zarabia tę najniższą płacę. Według danych Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej płacę minimalną zarabia 3,1 mln osób, czyli jedna piąta zatrudnionych na etacie. W roku 2022 było to 1,4 mln pracowników. Widać więc, że pracodawcy starają się płacić jak najmniej.

Małgorzata Wieteska

f Nigdy nie mówię „Ziemie Odzyskane”

Pomorze Zachodnie uznawało zwierzchność polskich władców ledwie przez kilkanaście lat panowania Mieszka I, potem parę lat za Chrobrego i ponownie kilkanaście lat za Krzywoustego. Jeśli komuś się zdaje, że te krótkie okresy podporządkowania w zamierzchłych czasach czynią te ziemie polskimi, to może Niemcy też mają prawo uważać za swoje tereny należące obecnie do Polski, którymi władali przez setki lat? Przecież w znacznie większym stopniu odcisnęli piętno na Śląsku, Pomorzu, Warmii, miastach takich jak Wrocław, Katowice czy Gdańsk, niż Polacy na Pomorzu. A jeśli już Polacy odciskali, to chyba niekoniecznie na korzyść tych ziem. Dziękujcie nieboszczykowi Stalinowi i niezwykłej Armii Czerwonej za niezwykle hojny dar w postaci Ziemi Zachodnich, pilnujcie ich, ale nie wydurniajcie się z ich wydumaną i mocno nadmuchaną prapolskością.

Roland Wagner



ZDJĘCIE TYGODNIA



Tulipanowa gorączka trwa w najlepsze od XVII w. Turyści na polach tulipanów w holenderskim Lisse. 27 kwietnia 2025 r.

Szacuje się, że **99% światowej populacji oddycha niezdrowym powietrzem**. Najgorsza jakość powietrza jest w Czadzie, Bangladeszu, Pakistanie, Demokratycznej Republice Konga oraz w Indiach („Angora”).

55 mln ludzi na świecie cierpi na demencję. W Polsce ich liczbę szacuje się na **600 tys.**

Dogorywa inicjatywa Trójmorza. Polska wpłaciła do jego funduszu inwestycyjnego 750 mln euro. Czechy, Austria i Słowacja nie przekazały nawet 1 euro. Tak się kończą pomysły odchodzącego prezydenta Dudy i jego papierowe idee.

„Dzień świra” Marka Koterskiego wygrał plebiscyt „Gazety Wyborczej” na film 25-lecia. W pamiętnej roli głównego bohatera, sfrustrowanego inteligenta, wystąpił Marek Kondrat. Drugie miejsce zajęł „Kler” Wojciecha Smarzowskiego, a kolejne „Zimna wojna” Pawła Pawlikowskiego i „Chłopaki nie płaczą” Olafa Lubaszenki.

Aż 48 osób reprezentowało polski parlament na pogrzebie papieża Franciszka. Większość pokazała swoje oblicza na zdjęciach z Watykanu. A ile kosztowała ta wyprawa?

Narodowy Bank Polski kolejny rok zakończył stratą. W ubiegłym roku było to 13 mld zł.

Stratą 7,3 mld zł (netto) zakończyła rok 2024 Jastrzębska Spółka Węglowa.

Po polskich drogach jeździ coraz więcej niebezpiecznego złomu. W pierwszym kwartale 2025 r. **wjechało do Polski 216,6 tys. używanych samochodów**

osobowych. 56% miało ponad 10 lat. W przypadku samochodów sprowadzonych z USA aż 93,6% to auta powypadkowe. Podobnie jest z mercedesami (75% z uszkodzeniami), bmw (72%), audi (70%) i fordami (63%).

W sztabie Karola Nawrockiego jest grupa oficerów, którzy za rządów Mariusza Błaszczaka pełnili ważne funkcje w wojsku, m.in. gen. broni Krzysztof Radomski, gen. Mirosław Bryś i gen. Andrzej Kowalski. Teraz już nikt nie może mieć złudzeń, dlaczego tak szybko awansowali.

Viktor Orbán dał dobrze płatną posadę Marcinowi Romanowskiemu, byłemu wiceministrowi sprawiedliwości i posłowi PiS. Choć Romanowski ma 11 zarzutów, za które może dostać karę do 25 lat więzienia, stanął na czele Polsko-Węgierskiego Instytutu Wolności finansowanego przez rząd węgierski.

W roczniku 2023/2024 **780 tys. osób studioowało stacjonarnie, a ok. 450 tys. niestacjonarnie**, na 130 uczelniach publicznych i ponad 260 niepublicznych. Już 46% osób w wieku 25-34 lata ma wykształcenie wyższe.

317 tys. osób, które w Niemczech pozostają bez pracy ponad rok, nie ma niemieckiego obywatelstwa.

Najdroższe grunty rolne są **na Malcie, gdzie za hektar trzeba zapłacić 283 039 euro**, w Holandii (91 154 euro) i Luksemburgu (42 540). Najtańsze są w Chorwacji i na Łotwie (po 4591 euro) oraz na Słowacji (5189) i Litwie (5417).

W Polsce jest 100 tys. zarejestrowanych pszczelarzy.

PRZEBŁYSKI

Amnezja Dudy

Coraz żałośniejsza jest końcówka prezydentury Dudy. Jeszcze niecałe 100 dni. Będzie więc sporo okazji do kolejnych kompromitacji. Nawet jego fanów musi martwić tak szybko postępująca amnezja. Duda zapomina nawet to, co było miesiąc temu. Choćby własne słowa, że w wyborach prezydenckich nie poprze nikogo. Wtedy jeszcze wierzył Mastalerkowi i Rzepeckiemu, że w finale wyborów będzie Mentzen. A sojusz z Konfederacją będzie trampoliną dla Dudy. No i oczywiście dla tych dwóch miglanców.

Sfrustrowany tymi mrzonkami Duda bez ich wiedzy pojechał do Łodzi. I poparł Batyra (Nawrockiego). Tak się przy tym rozpędził, że opowiadał pisowskim aparatczykom o swoich niebywałych sukcesach. Zapominając, że mówi do partii przekrętasów, złodziejstwa i zorganizowanej przestępczości.



Nieświeża sałatka Stanowskiego

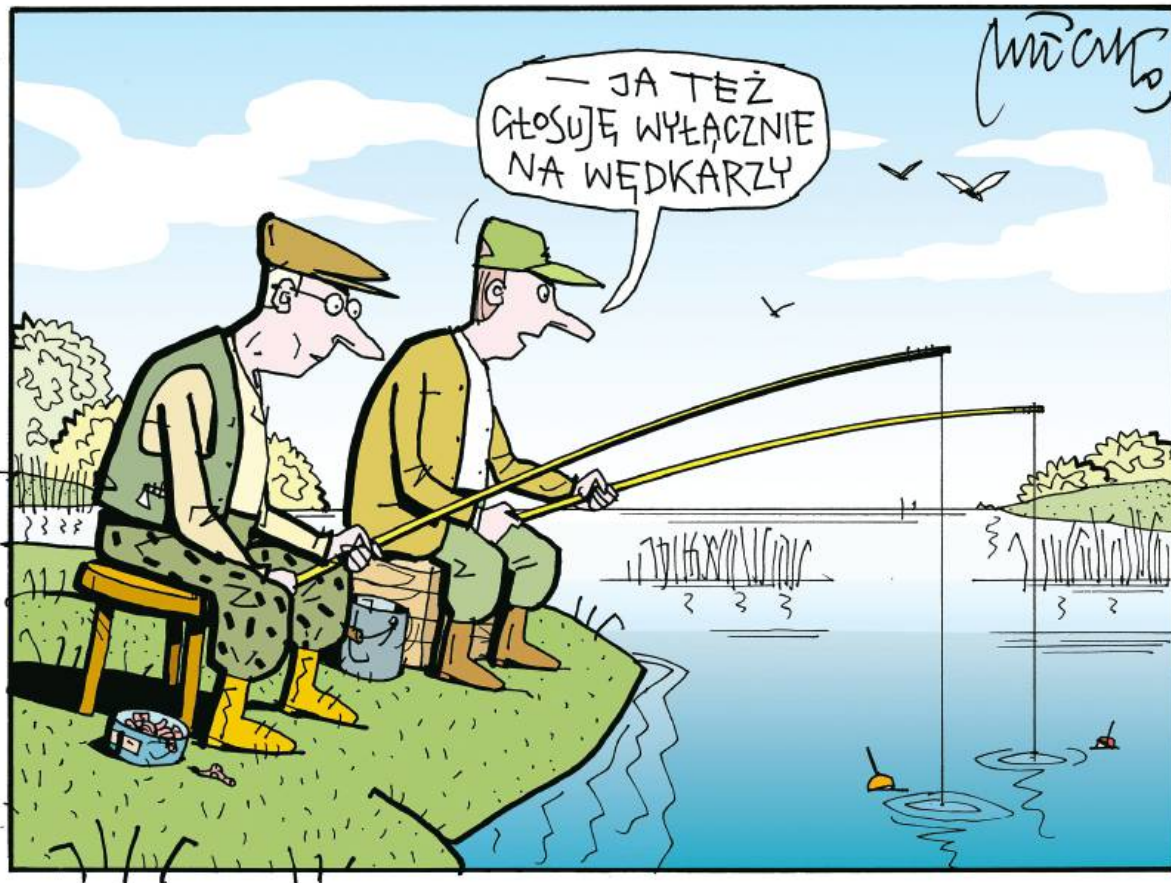
Taki kandydat w ogóle nie powinien być zarejestrowany. W ten sposób kandydaturę Krzysztofa Stanowskiego ocenia Wojciech Hermeliński, były przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej. Gołym okiem widać, że Stanowski pomylił konkurencje. Nie załapał się do „Tańca z gwiazdami”, to próbuje zaistnieć w innych zawodach.

Dzięki zakumplowanej Konfederacji udało mu się zebrać podpisy. Ale pseudokampania idzie topornie. Rozmówki z kandydatami są cieniutkie, bo Stanowski sam nie wie, w której z czterech ról występuje. Czy jest satyrykiem, dziennikarzem, właścicielem Kanału Zero czy może kandydatem na prezydenta? Miesza mu się to tak, że w efekcie produkt jest mocno nieświeży. Ot, sałatka wielkanocna w maju.

Donosy Moskala

Michał Moskala, krągłolicy pupil prezesa Kaczyńskiego, doniósł na Mateusza Morawieckiego, Andrzeja Adamczyka i Marcina Horałę. Skandalista z Bogdanki, który urządził sobie zaręczyny kilometr pod ziemią i sparaliżował pracę kopalni, nie poniósł jeszcze za to kary. A należy się ona Moskalowi bankowo. Za głupotę również. Gdy pisał interpelację do ministra infrastruktury Dariusza Klimczaka z donosem na Jacka Poniewierskiego, że jest agentem wptywu Kim Dzong Una, zabrakło mu wiedzy. Do główki Moskala jakoś nie dotarło, że oskarżony przez niego Jacek Poniewierski był ważnym urzędnikiem od 2020 r. – za czasów PiS. Pracował na stanowiskach, które podlegały Morawieckiemu, Adamczykowi i Horale. ABW dopuściła go wówczas do dokumentów poufnych. Czyżby rządy PiS były tak rozgarnięte jak tenże Moskala?





PYTANIE TYGODNIA | Czy testy na egzaminach oduczają logicznego myślenia?

SŁAWOMIR BRONIARZ,

prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego

Ważny jest kontekst. Jeśli mówimy o testach robionych w ramach klasówek, to taka formuła służy do krótkoterminowego, szybkiego zweryfikowania wiedzy uczniów z przepracowanego materiału. Siłą rzeczy tam nie będzie pogłębionych pytań, ale na kartkówkach zazwyczaj zadaje się pytania podstawowe. Z drugiej strony mamy testy w ramach zestawów egzaminacyjnych, takich jak egzamin ósmoklasisty czy matura. Formuła testowa daje tutaj szansę na zweryfikowanie wiedzy ucznia w maksymalnie obiektywny sposób. Nie ma pytań płytkich czy prostych. Odwołują się one do procesów myślowych i kojarzenia większej ilości faktów.

ANETA KORYCIŃSKA „BABA OD POLSKIEGO”,

nauczycielka, autorka książki „Radio w mojej głowie. Opowieści o ADHD”

To nie format testowy jest źródłem problemu, lecz jakość jego konstrukcji. Test może rozwijać myślenie logiczne, jeśli opiera się na analizie, interpretacji, porównywaniu stanowisk, rozumieniu kontekstów i formułowaniu wniosków. Wówczas stanowi narzędzie diagnozy kompetencji poznawczych, a nie tylko pamięciowych. Kiedy jednak pytania sprowadzają się do rozpoznawania schematów, wyszukiwania słów kluczy lub odgadywania intencji autora zadania, dochodzi do redukcji procesu

poznawczego – uczniowie uczą się strategii testowych, a nie myślenia. Dlatego nie można mówić, że testy jako takie „uczają” lub „oduczają” – wszystko zależy od tego, jaką wiedzę i jakie umiejętności mają weryfikować. Odpowiedzialność spoczywa na projektujących narzędzia, nie na formacie.

MIRON NALAZEK,

filozof, rodzic

Pamiętam, jak byłem dzieckiem i mój ojciec jeszcze w latach 90. narzekał, że testy ogłupiają. Nie zgadzam się z nim. Chodzi o to, jak pytać, aby rozwijać myślenie krytyczne. Test wielokrotnego wyboru jest najprostszym przykładem. Patrząc na swoje dzieci, widzę, że problemem jest system, który nie potrafi testów odpowiednio wykorzystać. Wydawnictwo Nowa Era, z którego dziwnym trafem pochodzi miazdząca liczba podręczników do każdego przedmiotu, chciało ułatwić nauczycielom pracę. Stworzyło testy do każdego rozdziału. Część pedagogów korzysta z tego rozwiązania. Uczniowie nie są jednak głupi i szybko znaleźli w internecie dokładnie ten sam generator testów, z którego korzystają nauczyciele. Czy można powiedzieć, że uczniowie chodzą na sprawdziany nieprzygotowani? Nie. Czy można powiedzieć, że czegoś się uczą? Niespecjalnie, jeśli chodzi o pogram. Sporo, jeśli chodzi o życie. Trudno jednak, żeby mieli inne nastawienie, skoro szkoła od dekad działa na zasadzie trzech Z: zakuć, zdać, zapomnij.

Żołnierze 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki na ulicach Berlina po podpisaniu aktu kapitulacji.



TO BYŁO NASZE ZWYCIĘSTWO

W III RP Dzień Zwycięstwa został wykreślony z listy świąt, gdyż kojarzył się z PRL

Paweł Siergiejczyk

Wojna jest, niestety, stałym składnikiem ludzkiej historii. Przekonuje się o tym każde pokolenie, choć na szczęście nie każde tak samo dotkliwie i na własnej skórze. Wojna to specyficzny sposób uprawiania polityki – walka o władzę (nad całymi krajami, narodami, a nawet kontynentami) doprowadzona do skrajności. Każda wojna ma na celu pokój, tyle że zawarty na zasadach narzuconych przez zwycięzcę. Kiedy jednak pokój następuje, większość ludzi w naturalnym odruchu cieszy się z zakończenia wojny, nie zważając na jej polityczne implikacje. Te interesują głównie polityków, a później już tylko historyków.

Zwykli śmiertelnicy bez wahania podpisują się pod hasłem: nigdy więcej wojny! Choć następna prędzej czy później wybuchnie.

80 lat po podpisaniu kapitulacji III Rzeszy wyraźnie widać, jak dramatycznym momentem w dziejach była II wojna światowa i jak wielkim błogosławieństwem dla ludzkości było jej zakończenie.

Wcale nie jest tak, że w polityce – także międzynarodowej – nie należy odróżniać dobra od zła, bo liczą się jedynie skuteczność i egoistyczne interesy. Taka darwinistyczna wizja stosunków między państwami i narodami imponuje dziś wielu ludziom, lecz nie ma żadnego powodu, aby miała być atrakcyjna dla nas, Polaków. I to nie tylko dlatego, że nie należymy

do narodów bogatych i potężnych. Przede wszystkim dlatego, że ma to być któryś naród tak boleśnie jak nasz doświadczył skutków polityki, której kwintesencją była tragedia z lat 1939-1945.

Jaką miarę zastosować, dokonując bilansu II wojny światowej dla całej ludzkości i dla poszczególnych narodów? Zwykle w pierwszej kolejności podaje się liczby zabitych. Te są przerażające, choć cały czas dyskusyjne. Na przykład prof. Antoni Czubiński w swojej „Historii powszechnej XX wieku” wyliczał straty ludzkie państw Osi (Niemiec, Japonii i ich sojuszników) na 11,5 mln, w tym 7 mln żołnierzy, natomiast straty państw alianckich na ponad 43 mln, w tym 29 mln żołnierzy. Nigdy wcześniej

w ludzkiej historii – i na szczęście już nigdy później – wojna nie pociągnęła za sobą tylu ofiar, zarówno wojskowych, jak i cywilnych.

Za tymi milionami poległych i zamordowanych szły straty materialne i zapaść gospodarcza, jakich również nigdy dotąd nie spowodowała żadna katastrofa, zwłaszcza w dziejach naszego kontynentu. „Europa stała się przed czarną perspektywą niemożności zaspokojenia choćby tylko najbardziej podstawowych potrzeb swoich mieszkańców. Milionom ludzi groziła śmierć głodowa, choroby oraz brak odpowiedniej odzieży i dachu nad głową. Zwycięzcy i zwyciężani cierpieli jednakową biedę”, pisał prof. Rondo Cameron, amerykański autor „Historii gospodarczej świata”.

Przegranani

Czy w obliczu takiej skali indywidualnych i zbiorowych nieszczęść można w ogóle mówić, że tę wojnę ktoś wygrał? Z jednej strony to pytanie retoryczne, ale z drugiej trzeba pamiętać, że II wojna światowa miała też skutki polityczne – nie tylko radykalnie zmieniła życie poszczególnych ludzi, rodzin i społeczeństw, lecz także otworzyła nowy rozdział w dziejach państw i narodów oraz ich wzajemnych relacji. Jedni zatem tę wojnę wygrali, a drudzy przegrali, zwycięzcy mogli współtworzyć powojenny porządek świata, a przegrani musieli go pokornie zaakceptować.

Wśród tych ostatnich są przede wszystkim Niemcy. Dla tego narodu, który przez kilka stuleci dawał Europie wybitnych muzyków i filozofów, pisarzy i uczonych oraz masę praktycznych wynalazków, maj 1945 r. był największą katastrofą dziejową. Warto pamiętać, że zaraz po wojnie terytorium Niemiec podzielono na cztery strefy okupacyjne, a piąta część została przyznana Polsce odbudowanej w nowych granicach. Po czteroletniej okupacji państwowość niemiecka została przywrócona z łaski zwycięzców, ale w podwójnej wersji: zachodniej, podporządkowanej USA, i wschodniej, podporządkowanej ZSRR. Ten podział trwał 40 lat i mimo zjednoczenia Niemiec w 1990 r. jego skutki społeczne,

gospodarcze, a zwłaszcza mentalne nadal są widoczne.

W wielu kręgach, szczególnie prawicowych, modne jest dziś wypominanie Niemcom, że w gruncie rzeczy nie rozliczyli się z nazistowską przeszłością, ani w sensie moralnym, ani finansowym – dość przypomnieć pisowskie żądania reparacji wojennych od RFN. W rzeczywistości jednak żaden inny naród nie wyciągnął tak gruntownej nauki ze swojej katastrofy, w którą został wciągnięty przez Hitlera i jego partię (choć oczywiście za własną zgodą).

Powojenne dziesięciolecie to czas gruntownej reedukacji Niemców – zarówno tych zachodnich, jak i wschodnich – dzięki czemu dziś są oni chyba najbardziej antywojennymi, antyrasistowskim i wyzbytym nacjonalizmem, a przy tym niemal wzorcowym liberalno-demokratycznym (i w dużym stopniu lewicowym) społeczeństwem w Europie. Nawet populistyczna Alternatywa dla Niemiec, która jest izolowana na berlińskiej scenie politycznej, stara się jawnie nie łamać antyfaszystowskiego konsensusu, narzuconego przez zwycięzców i zaakceptowanego przez ogół Niemców po 1945 r.

Naród niemiecki nie zmarnował więc tych 80 lat, w gruncie rzeczy stał się nowym narodem, znacznie lepszym pod każdym względem, gdyż po raz pierwszy w swojej historii nie stanowiącym zagrożenia dla nikogo.

Niemcy wykorzystali ten czas również na odbudowę swojej siły gospodarczej, która jednak – w przeciwieństwie do czasów II i III Rzeszy – nie jest skierowana przeciwko komukolwiek i stanowi motor integracji europejskiej, tak dziś opluwanej i atakowanej przez nacjonalistyczną prawicę we wszystkich krajach naszego kontynentu, niestety także u nas.

Nie jest zresztą chyba dziełem przypadku, że duża część sukcesów współczesnych nacjonalistów ma miejsce w krajach, które podczas II wojny światowej były sojusznikami Hitlera. Takie państwa jak Węgry, Rumunia, Słowacja czy znacznie od nich większe Włochy, a nawet Francja, nad którą od lat krąży widmo zwycięstwa ruchu pani Le Pen, niewątpliwie podchodzą do swojej wojennej przeszłości znacznie mniej

uczciwie niż Niemcy. O ile bowiem dla tych ostatnich moralna ocena reżimu hitlerowskiego jest jednoznaczna, o tyle działalność takich postaci jak marszałkowie Pétain i Antonescu, adm. Horthy, ks. Tiso czy nawet Benito Mussolini, wcale nie spotyka się ze zdecydowanym potępieniem w ich ojczyznach.

To samo dotyczy wschodnioeuropejskich kolaborantów III Rzeszy, czego jaskrawym przejawem jest kult Ukraińskiej Powstańczej Armii i jej nacjonalistycznych liderów we współczesnej Ukrainie czy podobnych formacji w krajach bałtyckich. Nie trzeba chyba dodawać, że każda forma kolaboracji z Hitlerem splamiona była krwią niewinnych cywilów – przede wszystkim Żydów, ale także ludzi innych narodowości (w przypadku UPA – Polaków).

Zwycięzcy

A kogo można uznać za zwycięzców tamtej wojny? Na pewno Amerykanów, którzy w latach 1943-1945 wyzwolili zachodnią Europę, potem pokonali Japonię, wcześniej zaś umożliwili Brytyjczykom i Sowiecom dzięki pomocy materialnej skuteczny opór wobec Niemców. Nie można też zapominać o kluczowej roli Wielkiej Brytanii, która już 3 września 1939 r. wypowiedziała Hitlerowi wojnę w obronie Polski, a przez cały rok – od kapitulacji Francji w czerwcu 1940 r. do ataku niemieckiego na ZSRR w czerwcu 1941 r. – była jedynym państwem w Europie, które stawiało opór III Rzeszy, ponieważ jej premier Winston Churchill nigdy nie brał pod uwagę żadnego porozumienia z reżimem, który uważał za wcielenie zła.

Najwyższą cenę za zwycięstwo zapłacił trzeci uczestnik Wielkiej Koalicji, czyli Związek Radziecki. Jego straty ludzkie są gigantyczne – badacze rosyjscy w latach 90. podawali liczbę 27 mln zabitych i zmarłych, w tym 17 mln żołnierzy i 10 mln cywilów. Być może te liczby należałoby jeszcze powiększyć, choć precyzyjnych danych zapewne nigdy nie poznamy. Stalinowski sposób prowadzenia wojny i hitlerowska polityka na okupowanych terenach ZSRR sprawiły, ▶

► że Wielka Wojna Ojczyźniana jest dla mieszkańców tej części świata zarówno doświadczeniem traumatycznym (bo każda rodzina poniosła jakieś straty), jak i powodem do patriotycznej dumy (bo w każdej rodzinie był ktoś, kto walczył na froncie i przyczynił się do pokonania III Rzeszy). Na tym zwycięstwie, zwieńczonym zdobyciem Berlina i pokonaniem nazizmu, władze dzisiejszej Rosji budują zbiorową tożsamość swojego państwa i społeczeństwa. Skądinąd trudno się temu

wszystkim Słowianom, których miał czekać taki sam los, tylko trochę później.

Zwycięstwo Hitlera, które przecież było całkiem możliwe w pierwszych latach wojny, oznaczałoby zatem koniec Europy samodzielnych narodów i groźbę unicestwienia dużej części ludności, zwłaszcza we wschodniej części kontynentu. Taka była stawka tamtej wojny, o czym do dziś pamięta się w Izraelu, ale też w szeroko pojętym świecie zachodnim. Nie chce się

wschodniego forsowną sowietyzację. Ale, po pierwsze, owa sowietyzacja nie była tym samym, co dawniej rusyfikacja czy germanizacja, bo dotyczyła tylko modelu ustrojowego, a nie kultury i języka, po drugie, okazała się skrajnie nieskuteczna i w 1956 r. została stanowczo odrzucona. Od tej pory powojenna Polska mniej czy bardziej szczęśliwie szła już własną „drogą do socjalizmu”, wyznaczaną przez polskie władze w Warszawie, znajdujące się pod coraz słabszą kurtelą Moskwy. Najważniejsze jednak jest to, że w wyniku II wojny światowej ostatecznie zniknęła groźba fizycznej i duchowej zagłady narodu polskiego, która była bardzo prawdopodobna, gdyby zwyciężył hitleryzm. Jeżeli ktoś nie rozumie tej zasadniczej różnicy, to znaczy, że w ogóle nie rozumie naszej historii i nie powinien się o niej wypowiadać.

Polska i Europa

Nie ma więc żadnego powodu, by nie zaliczać Polski i Polaków do obozu zwycięzców tamtej wojny. To niewątpliwie było polskie zwycięstwo, na pewno jedno z najważniejszych w naszej historii. Co prawda, dzięki zwycięstwom w listopadzie 1918 r. i w sierpniu 1920 r. odzyskailiśmy i uratowaliśmy naszą państwowość, ale w maju 1945 r. wzięliśmy udział w pokonaniu zła, które realnie zagrażało naszej narodowej egzystencji. Moralny i historyczny wymiar tego zwycięstwa jest tym większy, że klęska III Rzeszy umożliwiła zbudowanie nowego porządku europejskiego i światowego, opartego na potępieniu wojny i rasizmu oraz uznaniu prawa narodów do samodzielnego rozwoju.

Filarem tego ładu miała być Organizacja Narodów Zjednoczonych, utworzona już w czerwcu 1945 r. na konferencji w San Francisco z udziałem wszystkich istniejących wówczas państw. W gronie założycieli ONZ znalazła się Polska, której pierwszy powojenny rząd – zdominowany przez ludzi promoskiewskiej lewicy – został uznany przez USA i Wielką Brytanię już 5 lipca 1945 r.

To prawda, że II wojna światowa nie dała Polsce pełnej suwerenności ani uczciwej demokracji. Na jedną

Mało który naród tak boleśnie jak nasz doświadczył skutków polityki, której kwintesencją była tragedia z lat 1939-1945.

dziwić, skoro poprzedni fundament tej tożsamości – wielkie marzenie o zwycięstwie radzieckiego komunizmu – rozsypał się na przełomie lat 80. i 90., a powrotu do przedrewolucyjnej, carsko-prawosławnej Rosji nikt nie potrzebował.

Pamięć Wielkiej Wojny Ojczyźnianej stanowi również fundament rosyjskiej polityki w wymiarze międzynarodowym. „Denazyfikacją” może prezydent Putin uzasadniać swoją agresję na Ukrainę, a wyzwolenie hitlerowskich obozów zagłady przez Armię Czerwoną to najtrwalsze spoiwo dobrych stosunków między Moskwą a Tel Awiwem.

Nie tylko zresztą w Izraelu docenia się kluczową rolę stalinowskiej maszyny wojennej w pozytywnym rozstrzygnięciu II wojny światowej. Nawet w najmroźniejszych okresach zimnej wojny historycy ani politycy w USA, Wielkiej Brytanii i innych krajach Zachodu nie stawiali na równi niemieckiego nazizmu i radzieckiego komunizmu, choć zdawano sobie sprawę, że obaj dyktatorzy mieli na sumieniu masowe zbrodnie.

Różnica bowiem jest zasadnicza. ZSRR przy wszystkich swoich zbrodniczych praktykach epoki Stalina kierował się ideologią internacjonalistyczną, oficjalnie głoszącą równość wszystkich ludzi i narodów, niosącą na sztandarach wyzwolenie społeczne i narodowe. Tymczasem ideologią III Rzeszy był zbrodniczy rasizm, skierowany nie tylko przeciw Żydom i Cyganom, lecz także przeciwko

natomiast pamiętać w Polsce, gdzie już niemal powszechna stała się wersja narzucona przez propagandę IPN, o „dwóch zbrodniczych totalitaryzmach” i o tym, że w 1945 r. „okupację niemiecką zastąpiła sowiecka”.

W III RP Dzień Zwycięstwa został wykreślony z listy świąt, gdyż kojarzył się z czasami PRL (w dodatku wtedy obchodzono go 9 maja, na wzór radziecki, a nie 8 maja, jak na Zachodzie – jakby ta różnica miała jakiegokolwiek znaczenie). W czasach triumfu radykalnego antykomunizmu – antyfaszyzmu już nie jest tak dobrze widziany – II wojna światowa ma się kojarzyć Polakom z 23 sierpnia, czyli zawarciem paktu Ribbentrop-Mołotow, i 17 września, a więc radziecką winą za upadek II Rzeczypospolitej. Złem absolutnym ma być Moskwa i głoszona przez nią ideologia, co pozwala usprawiedliwiać, a nawet wystawiać postawę głosicieli polskiej wersji faszyzmu z Obozu Narodowo-Radykalnego i Narodowych Sił Zbrojnych, pod koniec wojny uznających ZSRR za wroga groźniejszego niż III Rzesza.

Czy współcześni apologetci Brygady Świętokrzyskiej i innych formacji nacjonalistycznej prawicy zdają sobie sprawę, że dla nas, Polaków, wojna zakończyła się zwycięstwem tej strony, która uznawała, że mamy prawo do własnego państwa i rozwoju narodowego?

To prawda, że kilka lat po wojnie ten sam Stalin, któremu zawdzięczamy powojenne granice, postanowił narzucić Polsce i innym krajom bloku

i drugą trzeba było poczekać jeszcze 45 lat. Lecz nie był to bynajmniej czas stracony, bo w nowym państwie Polacy odbudowali swój byt narodowy na poziomie z całą pewnością wyższym niż ten sprzed 1939 r.

Wystarczy jeden wskaźnik, ale zasadniczy – liczba ludności Polski. Tuż przed wojną dochodziła ona do 35 mln, a w wyniku wojny spadła do niespełna 24 mln. Powojenny „cud demograficzny” sprawił, że już w latach 70. Polaków w PRL było więcej niż obywateli II RP i do końca XX w. cały czas ich przybywało. Dziś wprawdzie nie ma już szans, byśmy stali się narodem 40-milionowym, lecz pozycja piątego pod względem liczby mieszkańców państwa Unii Europejskiej (na 27 jej członków) to przecież ogromne osiągnięcie narodu niegdyś skazanego przez Hitlera na zagładę.

80 lat, które minęły od bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy, to zasadniczo dla Europy i świata czas szczęśliwy. Bo choć po drodze mieliśmy zimną wojnę między najważniejszymi uczestnikami Wielkiej Koalicji – USA i ZSRR – to nigdy ich wrogość nie posunęła się tak daleko, by wybuchła III wojna światowa. Europa co prawda straciła dawną pozycję i zamorskie kolonie, ale to z pewnością wyszło jej na dobre, bo zamiast ekspansji zewnętrznej wybrała wewnętrzną integrację, na której dobrze wychodzi, stanowiąc wspólnie największą potęgę gospodarczą świata i obiekt zazdrości milionów, a może i miliardów ludzi na całym globie.

Można więc bez nadmiernej przesady powiedzieć, że w 1945 r. zwyciężyło dobro, a przegrało zło. Po 1989 r. wydawało się, że koniec zimnej wojny stanowi ostateczne zwycięstwo zasad, które zatriumfowały wraz z pokonaniem hitleryzmu. Dziś już widać, że był to optymizm nadmierny; obecna atmosfera polityczna i kulturowa coraz bardziej przypomina tę z lat 30. XX w., gdy świat się zbroił, a popularność i władzę zdobywali przywódcy głoszący narodowy egoizm zmieszany z nienawiścią do „obcych”.

Coraz bardziej dramatycznie brzmi zatem pytanie, czy uda się nam uratować dorobek tamtego zwycięstwa z maja 1945 r.

Paweł Siergiejczyk

Nigdy więcej wojny!

Sprzeciwiamy się dzieleniu żołnierskiej krwi na lepszą i gorszą



Michał Syska z weteranami 1. Armii Wojska Polskiego w Drawsku Pomorskim i Kołobrzegu, marzec 2025 r.

Rozmawia Paweł Dybicz

Co się zmieniło w postrzeganiu II wojny światowej w ostatnich latach, a nawet miesiącach?

– 80. rocznicę zakończenia II wojny światowej obchodzimy w bardzo niespokojnych czasach. Za naszą wschodnią granicą toczy się wojna wywołana przez putinowską Rosję. Za oceanem nowa administracja amerykańska dokonuje znaczących zmian, które kształtują rolę USA na arenie międzynarodowej. W wielu krajach europejskich odnotowujemy wzrost poparcia dla partii, które mobilizują wyborców hasłami ksenofobicznymi, a część z tych ugrupowań wywodzi się niemal wprost z tradycji faszystowskiej. Trudno nie odnieść wrażenia, że w jakimś sensie kończy się porządek światowy ukształtowany w wyniku II wojny światowej, jej tragicznych skutków.

W jakim stopniu II wojna światowa wpływa na działania, myślenie polityków w Polsce i na świecie?

– Zagrożona jest wizja zjednoczonej Europy, mającej nas trwale

MICHAŁ SYSKA

– zastępca szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Podyplomowego Studium „Prawa i Wolności Człowieka” w Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Dyrektor wrocławskiego Ośrodka Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle’a, współtwórca Klubu Krytyki Politycznej we Wrocławiu.

chronić przed kolejną wojną. Wizja ta była zbudowana na przywiązaniu do wartości demokratycznych, na prawach człowieka i współpracy międzynarodowej. Została zbudowana na antyfaszystowskiej platformie, a zakorzeniona była w osobistym doświadczeniu i świadectwie milionów ludzi, którzy doświadczyli wojennych okrucieństw. Dziś odchodzą ostatni uczestnicy i świadkowie tamtych wydarzeń. To powoduje, że na nas i na kolejnych pokoleniach spoczywa obowiązek niesienia tej sztafety pamięci. A trzeba ją nieść, ▶

► by zapobiegać banalizacji zła, by ostrzegać.

Jak bardzo na oglądzie II wojny światowej odciska piętno napaść Rosji na Ukrainę?

– Rosyjska agresja na Ukrainę uzmysłowiła nam brutalnie, że wojna znów staje się czymś realnym. Przypomina nam także, czym jest imperializm. Trudno od tego abstrahować podczas rocznicowych uroczystości. Trudno też nie dostrzegać, że coraz powszechniejszy język nacjonalizmu, dyskryminacji i narodowego egoizmu przypomina retorykę, dzięki której naziści zdołali uzyskać masowy pokłask w niemieckim społeczeństwie dla swojej zbrodniczej polityki. To jest ten niepokojący kontekst, w którym obchodzimy 80. rocznicę zakończenia wojny.

Chcemy, by szacunek dla weteranów walk o niepodległość Polski łączył, a nie dzielił.

Pamięć o niej i o tym, co nastąpiło później, dzieli. Podziały te przebiegają między narodami, jak i wewnątrz społeczeństw. Tak jak w Polsce.

– Pamięć historyczna jest częstokroć narzędziem ofensyw ideologicznych i doraźnej polityki. Doświadczaliśmy tego wielokrotnie przez osiem lat rządów PiS. Doświadczali tego np. samorządowcy w różnych zakątkach Polski, których próbowano zmuszać do realizacji polityki pamięci sprzecznym z pamięcią lokalnych społeczności. Na Ziemiach Zachodnich próbowano wymazywać pamięć o żołnierzach 1. i 2. Armii WP, zapominając, że najczęściej ich pomniki są jedynymi symbolami polskości na tych terenach. Na szczęście olbrzymia determinacja samorządowców i samych mieszkańców pozwoliła w dużej mierze powstrzymać to szaleństwo. **Czy urząd odszedł od narracji PiS i IPN o zastąpieniu jednej okupacji drugą?**

– Jako Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych realizujemy inną wizję. Chcemy, by szacunek dla weteranów walk o niepodległość Polski łączył, a nie dzielił.

I sprzeciwiamy się dzieleniu żołnierskiej krwi na lepszą i gorszą. Dlatego byliśmy w Bredzie oddać hołd pancerniakom gen. Maczka, uczciliśmy spadochroniarzy gen. Sosabowskiego, organizowaliśmy 80. rocznicę wyzwolenia Bolonii przez gen. Andersa. Ale byłem też w Wałczu, Drawsku Pomorskim i Kołobrzegu, by oddać hołd żołnierzom 1. Armii WP, byłem w Wymiarkach i Zgorzelcu, by pokłonić się żołnierzom 2. Armii WP. 2 maja z ostatnimi żyjącymi weteranami świętowaliśmy 80. rocznicę zatknięcia biało-czerwonej flagi nad stolicą III Rzeszy. Z inicjatywy urzędu ustanowiono nowe święto państwowe – Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej. To aż dziwne, że największa armia podziemna w Europie nie była dotąd w ten sposób

upamiętniona. Pamiętamy również o innych formacjach konspiracyjnych. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat przedstawiciel urzędu był obecny na uroczystości na warszawskiej Starej Wsi na cześć członków sztabu AL. Warto sobie przypomnieć, że podczas powstania członkowie AL walczyli pod komendą AK i z rąk Borawskiego odbierali za swoje męstwo Virtuti Militari.

Losy polskich żołnierzy często są diametralnie różne.

– Dlatego podczas każdej uroczystości przypominamy o skomplikowanych, często tragicznych losach polskich żołnierzy, którzy walczyli na wszystkich frontach II wojny światowej. Dla wielu droga do powojennej Polski była zamknięta. Pełną suwerenność uzyskali dopiero po przeszło czterech dekadach od zakończenia wojny, ale ten czas nie był przecież czarną dziurą. W odbudowę powojennej Polski włączyli się weterani walk na wszystkich frontach II wojny oraz członkowie krajowej konspiracji, w tym znamienite postaci związane z Armią Krajową. Gdyby nie ich pozytywistyczna praca na rzecz polskiej nauki, kultury i gospodarki, nie byłoby dziś tak zasobnej

Polski w europejskiej rodzinie demokratycznych państw.

Co jest teraz głównym zadaniem urzędu?

– Podstawowym zadaniem jest niesienie pomocy weteranom walk o niepodległość. Jest ich coraz mniej, często są schorowani. Dzięki naszym staraniom rząd i obecna większość parlamentarna zwiększyła o 10 mln zł środki na opiekę nad kombatantami. To nie tylko wymierna pomoc, ale też symbol stosunku aktualnych władz do bohaterów naszej wolności.

W Polsce dzieli się ich na tych prawdziwych i tych, co przynieśli stalinizm.

– My tego nie robimy. Szanujemy i oddajemy hołd wszystkim, którzy walczyli z Hitlerem i jego sojusznikami. Każde spotkanie z nimi jest lekcją historii. Mimo zaawansowanego wieku – większość z nich to stulatki – chętnie uczestniczą w uroczystościach, także tych poza granicami kraju. W ich postawie widać ogromną więź z poległymi towarzyszami broni i poczucie obowiązku w niesieniu pamięci o kolegach, którzy nie dożyli końca wojny. W marcu miałem zaszczyt towarzyszyć weteranowi 1. Armii WP, który dopiero po 80 latach odnalazł grób kolegi, który w trakcie walk o Wał Pomorski skonał na jego rękach postrzelony przez niemieckiego żołnierza. Było to niezwykle wzruszające – móc mu towarzyszyć na cmentarzu w Drawsku Pomorskim w tej historycznej chwili.

To chyba ostatnia okrągła rocznica z udziałem uczestników II wojny.

Pan się z nimi spotyka, rozmawia. O czym mówią? Co podnoszą?

– Podczas rozmów weterani opowiadają o różnych epizodach ze swojego bojowego szlaku. Czasem to zabawne anegdoty, ale często są to wstrząsające historie pokazujące okrucieństwo wojny. W tych opowieściach mało jest romantyzmu, a dużo bólu. Często słyszę od nich, że wojna jest straszna. Przestrzegają, by takie piekło już się nie powtórzyło. Dlatego 80 lat od tamtych wydarzeń, gdy została już z nami zaledwie garstka uczestników i świadków, warto powtarzać: nigdy więcej wojny!

Paweł Dybicz

p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Joanna Senyszyn dość niespodziewanie zebrała 100 tys. podpisów, zarejestrowała komitet wyborczy i ruszyła do boju.



Pierwsza tura jak plebiscyt

Dla wyborców lewicy obecne wybory mają znaczenie: Biejat, Senyszyn, Trzaskowski czy Zandberg

Robert Walenciak

„W pierwszej turze głosujcie sercem! – apeluje do wyborców lewicy Magdalena Biejat. – W drugiej możecie rozumem”. Nie jest to puste wezwanie. Wcale bowiem nie jest tak, jak pisze wielu publicystów, że troje kandydatów lewicy dzieli się „torcikiem”, a w zasadzie jego kawałkiem, którym są wyborcy lewicy.

Po pierwsze, to nie jest dzielenie się małym kawałkiem. Badania pokazują, że wyborców lewicowych jest w Polsce ok. 20%, dziś może trochę mniej. To pokaźna siła. Po drugie, kandydatów, na których 18 maja zamierzają głosować lewicowi wyborcy, jest nie troje, ale czworo. Po trzecie, ich wyniki zbudują nową

hierarchię po lewej stronie sceny politycznej, nowy układ sił, będą też miały wielki wpływ na kształt całej polityki. To jest ta gra.

Zacznijmy od czwórki kandydatów. Pierwszym jest... Rafał Trzaskowski. Według badań to on zbiera największą grupę wyborców lewicowych. Ba! Sam zbiera więcej niż pozostała trójka. Około 50-60% wyborców o lewicowych poglądach jest gotowych oddać na niego głos już w pierwszej turze.

Widać w tym pewną logikę – od lat obserwujemy, że wyborcy lewicy coraz chętniej głosują na Platformę Obywatelską. A ona powoli staje się partią centrolewicową, jeśli chodzi o bazę społeczną, i centroprawicową, jeśli chodzi o kierownictwo.

Można rzec, że Platforma żywi się dziś wyborcami lewicy, niespecjalnie przejmując się ich oczekiwaniami. Dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź jest prosta, pisaliśmy o tym wiele razy. Dlatego, że tych wyborców nie potrafią przytrzymać partie lewicowe. Czy raczej szefowie tych partii. To ich mierność, ich niemądre działania napędzają kolejnych wyborców Donaldowi Tuskowi. A dlaczego Tusk nie musi zbyt wiele liczyć z ich oczekiwaniami? Tu również nie ma co dumać nad odpowiedzią – elektorat lewicy jest mocno antypisowski, retoryka PiS jest dla niego szczególnie bolesna, wybiera zatem mniejsze zło.

Ci ludzie są bowiem proeuropejscy, otwarci na świat, życzliwi państwu demokratycznemu, przewidywalnego, oddzielnego od ▶

► Kościoła, gwarantującego prawa kobiet. Partia Tuska jest tej wizji zdecydowanie bliższa niż partia Kaczyńskiego. Wystarczyło, by zrezygnowała z antypeerelewskiej retoryki, i większość wyborców ją zaakceptowała. Ba! W tej partii najbliższy lewicy jest Trzaskowski, więc głosowanie na niego uważa się za naturalne. No bo czy jest wyraźna różnica między nim a Magdaleną Biejat?

Biejat jest w tych wyborach kandydatką Nowej Lewicy, ugrupowania powstałego na gruzach SLD i Wiosny. Jej zadanie jest proste i zarazem

Platforma żywi się dziś wyborcami lewicy, niespecjalnie przejmując się ich oczekiwaniami.

trudne. Startuje, gdyż partia, która ma ambicje, musi mieć swojego kandydata. Inaczej sama się poddaje. Teoretycznie nie ma za wysoko ustawionej poprzeczki. W 2015 r. kandydatką SLD była Magdalena Ogórek, która zgromadziła 353 tys. głosów, co przełożyło się na 2,38% poparcia. W 2020 r. startował Robert Biedroń. Zebrał 432 tys. głosów, ale ponieważ w 2020 r. była wyższa frekwencja, przełożyło się to na ledwie 2,22% głosów. Oto więc próg przyzwoitości (niezbyt wysoki, prawda?), który Biejat musi przeskoczyć. Musi być lepsza od Ogórek i Biedronia.

Dodajmy jeszcze jedno – 15 października 2023 r. lewica (czyli sojusz Nowej Lewicy, Razem, Unii Pracy i PPS) zdobyła 1,85 mln głosów, czyli 8,61%. To jest rezerwuwar wyborców, których Biejat powinna przyciągnąć. Wtedy oddali głos na lewicę, wiedząc, że będzie ona – w przypadku zwycięstwa ugrupowań demokratycznych – jedną z partii koalicyjnych, i to nie największą. Dziś mamy podobną sytuację: nikt się nie spodziewa, że Magdalena Biejat wejdzie do drugiej tury. Oczekiwanie ograniczają się do tego, że wykręci dobry wynik, tak jak w Warszawie, startując na prezydenta miasta, że zmobilizuje działaczy lewicy i wyborców. Czy to możliwe?

Start miała słaby, przeciwnicy złośliwie komentowali pustki na jej spotkaniach. Mówiono, że nie ma pomysłu na kampanię ani wyraźnej

agendy programowej i wizerunkowej. Bo z jednej strony trudno być w koalicji i się od niej odróżnić, a z drugiej – trudno odgrywać rolę twardego polityka, gdy ma się emploi miłej pani z uniwersytetu. Niełatwo też walczyć o głosy wyborców tradycyjnie lewicowych, tych pamiętających czasy SLD, jeżeli jest się dla nich spadochroniarzem, osobą z zewnątrz. Magdalena Biejat była bowiem współprzewodniczącą partii Razem i w takiej roli kandydowała w ostatnich wyborach. Ale po rozłamie w Razem (o tym za chwilę) została w Lewicy. I ostatecznie to ją

zrzucono do boju o Pałac Prezydencki.

Oddech złapała w Końskich. Tęcza flaga, którą przejęła od Rafała Trzaskowskiego, dała jej sporo dobrych komentarzy. Do obrony praw społeczności LGBT Biejat dokłada prawo kobiet do aborcji, a także kwestie ochrony zdrowia i konieczności zwiększania nakładów na nią oraz taniego budownictwa czynszowego. Z tym jeździ po kraju, gdzie ją pytają, dlaczego poszła do Andrzeja Dudy, prosząc o zawetowanie ustawy zmniejszającej składkę zdrowot-

Joanna Senyszyn jako jedyna na lewicy opowiada się za ograniczeniem zbrojeń.

nią dla przedsiębiorców. Przecież było wiadomo, że on ją zawetuje. „Czy czerpię przyjemność z rozmawiania z Andrzejem Dudą? Nie – ale fakty są takie, że to jest obecnie nasz prezydent”, tłumaczy. Dodając, że w sprawie ochrony zdrowia jest gotowa rozmawiać z każdym.

W wystąpieniach Magdaleny Biejat nie ma całościowego obrazu Polski, nie ma odniesień do historii, jest kilka haseł, które możemy odczytać jako reprezentowanie lewego skrzydła koalicji rządzącej. Czy to może przynieść sukces? Sytuację utrudnia fakt, że Biejat jest kojarzona z Czarzastym i Żukowską, a to nie są na lewicy dobre adresy. Za

to pomagają autentyczność w kwestii praw kobiet.

Sondaże dają jej na razie od 3% do 6% poparcia. Przynajmniej, to nie jest precyzyjny odczyt. Ale dzieje się tak z dwóch powodów. Trudno dobrze wyliczyć tak małą próbę, tu każde wahnięcie zmienia rezultat. Poza tym na lewicy, tej wywodzącej się z SLD, Wiosny i Razem, sytuację mamy dynamiczną. Oprócz Magdaleny Biejat jeszcze dwójka kandydatów odwołuje się do tego elektoratu – Adrian Zandberg i Joanna Senyszyn.

Będziemy więc mieli brato- i siostrobójką walkę między niedawnymi liderami Razem, bo Biejat i Zandberg w latach 2022-2024 byli współprzewodniczącymi tej formacji. W roku 2024, gdy partia zdecydowała się na przejście do opozycji, Biejat z niej wystąpiła, zostając w Klubie Parlamentarnym Lewicy. Natomiast Zandberg przeszedł do opozycji. Teraz startuje jako przedstawiciel lewicy antyrządowej, bardziej radykalnej niż ta, która ma swoich ministrów. Czyli jako twardego przeciwnik Magdaleny Biejat (bo ona w rządzie, a on w opozycji).

„Magda zdecydowała, że chce dołączyć do kolegów z Nowej Lewicy i że chce być częścią tej rządowej koalicji – mówi o niej. – To była jej decyzja. Partia podjęła decyzję, że patrząc na to, co ten rząd wyprawia,

nie możemy tego żyrować, bo po prostu coś innego obiecywaliśmy półtora roku temu wyborcom”. A na koniec punktuje: „Dwoma podstawowymi obietnicami, jakie składaliśmy przed tamtymi wyborami, z października 2023 r., było to, że skrócimy kolejki do lekarzy i że postawimy na nogi rynek mieszkaniowy. I prawda jest taka, że ten rząd zdecydował – bo to nie stało się przypadkiem – że nie będzie tego robił”.

Można więc rzec, że programowo Biejat od Zandberga odróżniają co najwyżej przecinki. Biejat wierzy, że w koalicji da się przynajmniej część postulatów lewicy zrealizować, że ma się wpływ na rządzących. Zandberg

uważa, że nie, wszystko albo nic, a popieranie rządu Tuska to polityczne samobójstwo.

„Mnie dzisiaj, teraz, w najbliższych tygodniach interesuje to, żeby dotrzeć do jak największej liczby osób z prospołecznym, wolnościowym programem. Żeby przekonać je do tego, że nie są skazane na wybór: albo kandydaci rządowi, albo Mentzen bis, czyli pan Nawrocki”, wyjaśnia w rozmowie z dziennikarkami OKO.press. Innymi słowy, jeżeli Biejat widzi swoich wyborców w grupie dawnych wyborców Lewicy, tych popierających koalicję, to Zandberg chciałby

Takie jak lewicowe Die Linke i Sojusz Sahry Wagenknecht w Niemczech czy lewica Mélenchona we Francji. Jest na taką lewicę w Europie miejsce, i to całkiem spore. Zobaczymy.

Ale Magdalenie Biejat wyborców chce odbierać nie tylko Zandberg, bo i Joanna Senyszyn. Dość niespodziewanie zebrała 100 tys. podpisów, zarejestrowała komitet wyborczy i ruszyła do boju. Z czerwonymi koralami na szyi. Już tym różni się od Trzaskowskiego, Biejat i Zandberga, że nie wstydi się koloru czerwonego (barwy Razem są purpurowe, a kampanii Biejat – seledynowe).

Wynik pierwszej tury będzie wskazówką, czy partia Razem, która deklaruje, że w 2027 r. będzie startować samodzielnie, ma szansę na istotną rolę w polityce.

tować szerzej – także (a może przede wszystkim) w elektoracie protestu.

„Wydaje mi się, że łowienie w coraz bardziej wysychającym, mniejszym jeziorku, które nazywa się Byli Wyborcy Komitetu Lewica, jest drogą do śmierci – to jego słowa. – My potrzebujemy dla prospołecznej, wolnościowej polityki w Polsce zdobyć głosy ludzi, którzy dotąd zupełnie nie rozważali głosowania na tamten komitet. Dotarcie tam, gdzie są niezadowoleni z tej władzy. Bo to tam są ludzie, których interesy jako pracowników, pacjentów, emerytów, lokatorów są naruszane przez politykę realizowaną przez ten rząd. I naszym zadaniem jest mobilizowanie ich do tego, żeby poszli na wybory i żeby mieli po co pójść na wybory. Właśnie po to startuję”.

Sondaże Zandberga falują jeszcze mocniej niż w przypadku Biejat – od 2% do 5%. Tu też wszystko będzie się rozstrzygało do 18 maja. On również nie ukrywa, że wynik pierwszej tury będzie wskazówką, czy partia Razem, która deklaruje otwarcie, że w 2027 r. będzie startować samodzielnie, ma szansę odegrać istotną rolę w polskiej polityce. To mała partia, z 800 działaczami w całej Polsce (przedwojenna KPP liczyła ok. 5 tys. członków), ale ma swoje ambicje.

W czasach SLD Joanna Senyszyn reprezentowała lewe skrzydło Sojuszu, feministyczne i antyklerykalne. I to są trzy filary jej kampanii. „Wszyscy mówią tylko o Funduszu Kościelnym – to jest 275 mln zł rocznie – podczas gdy Kościół dostaje z budżetu państwa w różnej formie co najmniej 10 mld, a może i 15 mld zł. Główną pozycją, jaką należy zlikwidować, jest uprzywilejowanie podatkowe Kościoła”, mówi. Jest też zdecydowanie progender i tego się nie boi. W sprawach Unii Europejskiej stawia na federalizację. I jako jedyna na lewicy opowiada się za ograniczeniem zbrojeń.

Ale jej głównym, niewypowiedzianym argumentem jest sentyment do SLD. Senyszyn należy do tych polityków, którzy nie pogodzili się z rozwiązaniem SLD i stopieniem go z Wiosną w nową formację, w – jak sama mówi – prywatną partię Czarzastego. Nie pogodziła się także z przemilczaniem dorobku Sojuszu, z udawaniem, że lewica narodziła się wczoraj.

Tradycja „starej” lewicy – zupełnie obca u Zandberga, Biejat, Żukowskiej – odżywa u Senyszyn. Jeżeli razemici są zafiksowani na pozyskiwaniu nowych wyborców, to ona myśli w dużo większym stopniu

o wyborcach „sentymentalnych”, pamiętających lewicę jako ugrupowanie polityków zrównoważonych, poważnych, kompetentnych. I pamiętających Włodzimierzowi Czarzastemu dyktatorskie kierowanie partią, zawieszanie niepokornych.

Sondaże dają Senyszyn ok. 1%. Ale gdyby zdobyła 2%, to już byłby sukces. Bo przecież startuje bez żadnych struktur i pomocników (poza tygodnikami „Nie” oraz „Fakty i Mity”, co też jest symptomatyczne).

Oto więc mamy elektorat szczególnie dopieszczony. Wyborcy lewicy zyskali sprawczość. Pięć i 10 lat temu, a nawet 15, ich głos był głosem hobbyistycznym. Liczyło się to, co w drugiej turze. Teraz, 18 maja, to, na kogo zgłoszą, będzie się liczyło, wpłynie bardzo na układ sił po lewej stronie sceny.

Jeżeli Trzaskowski zmiecie pozostałą trójkę, oznaczać to będzie, że lewica w obecnej postaci kończy bieg, że powinna szukać szczęścia u jego boku, a ci, którzy nie chcą, muszą de facto zaczynać od nowa.

Jeżeli dobry wynik, wyraźnie lepszy od osiągniętego przez Zandberga, uzyska Biejat, będzie to oznaczało, że jej partia jest hegemonem na lewicy, a Razem ma kłopoty jako formacja zbyt radykalna, oderwana od rzeczywistości. I być może jest to koniec jej politycznej drogi.

A jeżeli Zandberg przeskoczy Biejat, dostaniemy sygnał, że to Razem będzie budować lewicę. Resztki partii Czarzastego przystąpią albo do Zandberga, albo do Trzaskowskiego.

Dobry wynik Joanny Senyszyn będzie z kolei oznaczał, że lewica musi pamiętać o swojej historii, że nie da się jej zbudować, odrzucając pamięć o SLD i o Polsce Ludowej. Że każda partia, by być poważna, musi mieć swoją opowieść, swoją historię i bohaterów, musi być w społeczeństwie zakorzeniona.

Oto więc lewicowi wyborcy otrzymali od losu wielką możliwość – dla nich pierwsza tura będzie jak plebiscyt. Zdecydują, jakiej chcą lewicy. Z jakimi liderami. Tylko wybierać!

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Gigantyczne prowizje i polityczna sitwa

Gdyby zdobywanie pieniędzy było konkurencją sportową, Radosław Piesiewicz byłby mistrzem wszech czasów

Andrzej Sikorski

Radosław Piesiewicz, zwany „Piesiewiczem”, namaszczony przez PiS prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego, znów jest w centrum uwagi. Najpierw było o nim głośno, bo jako jedyny szef tej najbardziej szacownej organizacji sportowej, mającej przeszło stuletnią historię, wypłacał sobie po cichu pensję. I to niemałą, bo sięgającą kilkudziesięciu tysięcy złotych miesięcznie. Teraz może się okazać, że ta przesadna miłość do pieniędzy zaprowadzi Piesiewicza do więzienia. Agenci CBA wspólnie z funkcjonariuszami KAS na polecenie Prokuratury Regionalnej w Gdańsku przeprowadzili przeszukania m.in. w siedzibie PKOl, Polskiego Związku Koszykówki, Polskiej Ligi Koszykówki SA, a także w miejscach zamieszkania osób z zarządów tych organizacji. Przeszukano domy Piesiewicza i jego rodziców. Zarekwirowano dokumenty i elektroniczne nośniki pamięci.

Prowizja od sponsorów

„To niezwykła korelacja zdarzeń. Wczoraj odbyło się spotkanie z kilkoma osobami u księcia Lubomirskiego. Tam bardzo długo dyskutowaliśmy i padła mocna deklaracja z mojej strony – nie zrezygnuję z prezesowania w PKOl, ponieważ zostałem wybrany w demokratycznych wyborach. Nie mam sobie nic do zarzucenia i zapraszam wszystkich chętnych do wyborów w 2027 r.”, bronił się Piesiewicz, jak gdyby działania służb miały na celu usunięcie go ze stanowiska. Tymczasem chodzi o bezczelny przekręt.

Według informacji przekazanych przez prokuraturę Piesiewicz, w czasie gdy był prezesem Polskiego Związku Koszykówki i Polskiej Ligi Koszykówki, oprócz tego, że otrzymywał sówite wynagrodzenie (kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie), miał zarejestrowaną jednoosobową działalność gospodarczą i wystawił organizacjom koszykarskim faktury VAT na kwotę ponad 9 mln zł za fikcyjne usługi, które dotyczyły „pośrednictwa handlowego”, z czego otrzymał ponad 7 mln zł. Takich pieniędzy, nawet gdyby pracowali 50 lat, nie zarobią nauczyciele, żołnierze, policjanci, pielęgniarki, ale dla Piesiewicza było to jak pstryknięcie palcami.

To pośrednictwo handlowe stanowiło procent od umów ze spółkami skarbu państwa, które sponsorowały koszykówkę. Państwowe firmy pewnie nie byłyby do tego chętne, ale Piesiewicz przyjaźnił się z Jackiem Sasinem, ówczesnym wicepremierem i ministrem aktywów państwowych, który sprawował nadzór nad spółkami. Zatem jako szef organizacji sportowych dzięki układom politycznym nagał sponsorów i jeszcze brał za to dodatkowe pieniądze. Modus operandi był genialny i nie wymagał żadnego nakładu pracy.

Jak zauważył w rozmowie z „Polityką” prof. Michał Romanowski, adwokat, specjalista w dziedzinie prawa cywilnego i handlowego, „pobieranie przez pana Piesiewicza prowizji w sytuacji, kiedy pełnił funkcję prezesa koszykarskich podmiotów, jest nieetyczne”, gdyż „pośrednik nie może być związany z żadną ze stron transakcji, a tym bardziej nie powinien żadnej z tych stron reprezentować”. Zdaniem mec. Romanowskiego

Piesiewicz „był jak Dr Jekyll i Mr Hyde, ta sama osoba o dwóch twarzach. (...) Pytanie, czy prokuratura da temu wiarę. Pan Piesiewicz podkreślał bardzo wyraźnie możliwość pozyskania sponsorów, wskazując na siebie jako osobę, a nie na swoją firmę, którą zresztą był on sam”.

Sledczy przyglądają się też spółce Olympic Sky, która powstała w 2023 r. z inicjatywy Piesiewicza. Prowadzi ona ekskluzywną restaurację o tej samej nazwie na ostatnim piętrze Centrum Olimpijskiego w Warszawie. W tym samym miejscu działała już restauracja, ale Piesiewicz wkrótce po tym, jak został prezesem PKOl, wypowiedział umowę najemcy. Właścicielami Olympic Sky są PKOl (70% udziałów) i przyjaciółka Piesiewicza Julita Słowikowska (30% udziałów). Bizneswoman była niegdyś dyrektorką biura PZKosz i menedżerką hotelu. Wyrzucenie poprzedniego właściciela restauracji, który płacił PKOl czynsz, wydaje się niedorzeczne. Piesiewicz wpomógł w remoncie i wyposażeniu lokalu ok. 1,5 mln zł, co można traktować jako działanie na szkodę PKOl, bo poniesione wydatki raczej nieprędko się zwrócą. Czyżby Olympic Sky była pralnią pieniędzy? To będą wyjaśniać prokuratorzy.

Sitwa

Zagorzały wróg Piesiewicza, minister sportu Sławomir Nitras, podczas wystąpienia w Sejmie zwrócił się do Jarosława Kaczyńskiego: „Sprawa jest niezmiernie poważna. (...) W latach 2022-2024 pan Piesiewicz wystawił sobie faktury, na prywatną firmę, na kwotę niemal 11 mln zł, a dodatkowo wypłacił sobie wynagrodzenie



Prezydent Andrzej Duda i prezes PKOI Radosław Piesiewicz na otwarciu Domu Polskiego w Paryżu w ramach igrzysk olimpijskich. Paryż, 26 lipca 2024 r.

na poziomie 1,5 mln zł (...). Dla sportowców na całe igrzyska – 7,5 mln zł, dla pana Piesiewicza – 13 mln zł. Ale to jest dopiero początek, dlatego że skala wyprowadzania pieniędzy z instytucji, którymi zarządzał pan Piesiewicz, jest znacznie większa – koledzy, spółki zaprzyjaźnione. Panie prezesie Kaczyński, mówię to do pana: to pana ludzie stworzyli ten korupcyjny, złodziejski system. Mówię »złodziejski«, bo ludzie na ulicach Piesiewicza i tej jego sitwy nie nazywają inaczej niż złodziejami. To wy jesteście temu winni: okradliście polskich sportowców, okradliście ludzi, którzy z białoczerwoną flagą zdobywają dla nas medale, i dalsicie te pieniądze takim ludziom. (...) Nie wiem, czy państwo wiecie, ale najbliżsi współpracownicy pana Piesiewicza, najbliżsi współpracownicy, członkowie zarządu Polskiego Komitetu Olimpijskiego, są dzisiaj w komitecie honorowym Karola Nawrockiego. Co to za komitet honorowy? Wstyd w takim ciele zasiadać z takimi ludźmi. Powiązania między Prawem i Sprawiedliwością, Karolem Nawrockim, Andrzejem Dudą i panem Piesiewiczem to jest niestety jedna, mówię to z przykrością, sitwa. (...) Pytanie, gdzie trafiły te pieniądze, do kogo na końcu – na to odpowie Krajowa Administracja Skarbowa, odpowie prokuratura. Ja mogę państwu powiedzieć tylko tyle: to nie jest kwestia Piesiewicza. To jest kwestia

głębokiego układu sięgającego od pana Śliwki, przez pana Sasina, przez pana Glińskiego, do pana Kaczyńskiego, do pana Dudy, a kończy się na panu Nawrockim”.

Wywołało to wściekłość prezesa PiS, który odgryzał się: „Otóż niech ten osobnik, który tu przemawiał, powie to samo, tylko nie korzystając z immunitetu materialnego. Będzie miał procesy i wtedy będzie musiał udowodnić, jakie ja mam związki z panem Piesiewiczem”.

Ręka rękę myje

To, że prezes PiS ma związki z Piesiewiczem poprzez wspomnianego Jacka Sasina, jest oczywiste. Panowie przyjaźnią się od lat. To dzięki Sasinowi Piesiewicz w 2012 r. dostał posadę doradcy burmistrza podwarszawskiego Wołomina Ryszarda Madziara. Nie wiadomo, czym się zajmował, ale w ciągu dwóch lat zarobił 170 tys. zł. Potem próbował sił w prywatnych biznesach, z marnym skutkiem. Biuro turystyczne Alfa Star, gdzie był doradcą prezesa Sylwestra Strzylaka (działacza Polskiego Związku Piłki Siatkowej), upadło z hukiem latem 2015 r. W tym samym czasie w kłopoty wpadła deweloperska spółka Włodarzewska, która nie płaciła podwykonawcom. We Włodarzewskiej Piesiewicz był doradcą prezesa i głównego akcjonariusza Jerzego

Szymańskiego, działacza Polskiego Związku Golfa.

To dzięki powoływaniu się na wpływy w PiS i przyjaźń z Jackiem Sasinem Piesiewicz został wiceprezesem Polskiego Związku Piłki Siatkowej, a potem prezesem Polskiej Ligi Koszykówki i Polskiego Związku Koszykówki. Choć z siatkówką, koszykówką ani w ogóle ze sportem nie miał wcześniej do czynienia. Ale działacze sportowi wiedzieli, że bez państwowej kroplówki biznes będzie kulał. Wybór na szefa PKOI stanowił ukoronowanie kariery Piesiewicza, który ponownie zastosował sprawdzoną taktykę. Działacze zapewniali, że jeśli go wybiorą, dzięki wpływom w PiS zapewni deszcz pieniędzy ze spółek skarbu państwa. I tak się stało. Spółki przekazały PKOI prawie 70 mln zł, choć nie wiadomo, gdzie miliony się podziały, bo do związków trafiła tylko niewielka część tej kwoty.

Lewe faktury i wyłudzenie pieniędzy z organizacji sportowych to niejedyny zmartwienie Piesiewicza. Kłopoty może też mieć jego żona. Agnieszka Piesiewicz dzięki politycznej protekcji została doradcą prezesa Pekao SA i w zaledwie kilka miesięcy zarobiła ponad 1 mln zł. Nie wiadomo, jakie cenne rady przekazała prezesowi Leszkowi Skibie (byłemu wiceministrowi finansów w rządzie Mateusza Morawieckiego), gdyż nie pozostawiła po sobie żadnych śladów aktywności zawodowej. I nie ma co się dziwić, bo wcześniej pani Piesiewicz zajmowała się handlem artykułami biurowymi, a jej znajomość języka angielskiego była na poziomie komunikatywnym.

Bank Pekao za rządów PiS był przechowalnią nominatów partyjnych i znajomych królika, którzy otrzymywali gigantyczne pensje za nicnierobienie. W zarządzie Pekao zasiadał m.in. Piotr Zborowski, były szef biura Jacka Sasina w Ministerstwie Aktywności Państwowych, a złote stółki doradców przypadły również wspomnianemu byłemu burmistrzowi Wołomina Ryszardowi Madziarowi (zarobił prawie 3 mln zł) i Jarosławowi Olechowskiemu, szefowi informacji w TVP w czasach Jacka Kurskiego (zarobił prawie 1,4 mln zł). ■

Prace domowe wracają jak bumerang

Według rodziców, nauczycieli, a nawet uczniów zeszłoroczny zakaz to niewypał

Kornel Wawrzyniak

– Trzeba wrócić do dyskusji o ocenianiu prac domowych. Nauczyciele krytykują przepisy, rodzice proszą ich o prace domowe – powiedziała Polskiej Agencji Prasowej rzeczniczka prasowa Związku Nauczycielstwa Polskiego Magdalena Kaszulanis.

Nowacka sprawdza samą siebie

Przypomnijmy, że od 1 kwietnia 2024 r. obowiązują przepisy ograniczające zadawanie prac domowych w szkołach podstawowych. W klasach I-III nie zadaje się prac domowych z wyłączeniem ćwiczeń usprawniających motorykę małą. W klasach IV-VIII zadania są nieobowiązkowe, a zamiast oceny uczeń otrzymuje informację, co wymaga poprawy, a co zrobił dobrze.

– Dzieci po raz kolejny padły ofiarą nieudolności polityków. Poprzednia ekipa w Ministerstwie Edukacji Narodowej z Przemysławem Czarńskim na czele nieumiejętnie przeprowadziła dzieci przez pandemię i naukę zdalną. Kolejna, już z Barbarą Nowacką, równie bezmyślnie ograniczyła zadawanie prac domowych. Tam, gdzie potrzeba było chirurgicznej precyzji, użyto tępej siekiery. Skutki okażą się opłakane, bo dzieci po prostu będą głupie. Polska szkoła bez zadań domowych nie radzi sobie w należyty sposób z edukacją. Chciałabym zapytać panią minister, skąd ta ewaluacja, którą chce przeprowadzić, skoro rok temu głosiła, że wszystko ma przegadane ze specjalistami – ironizuje pani Anna, nauczycielka i matka dwójki dzieci z klas V i VI.

Po roku nie tylko rodzice mają wątpliwości. ZNP zgłaszał wątpliwości co do zakazu już na etapie projektowania zmian. Nauczyciele argumentowali: „Prace domowe rozwijają u uczniów systematyczność, odpowiedzialność oraz motywują do pogłębiania wiedzy”. I to nie one są powodem przeciążenia uczniów nauką, ale nadmiar treści zawartych w podstawach programowych dla poszczególnych przedmiotów. Według sondy przeprowadzonej przez Ogólnopolskie Stowarzyszenie Kadry Kierowniczej Oświaty dla „Dziennika Gazety Prawnej” aż 81,2% ankietowanych dyrektorów opowiada się za przywróceniem obowiązkowych prac domowych. 89,1% respondentów uważa, że wprowadzenie nowych regulacji negatywnie wpłynęło na przygotowanie uczniów do zajęć.

– Strach przyznać, ale w zeszłym roku nawet się ucieszyłem, że moje dzieciaki nie będą miały zadań domowych. Ogrom materiału, który przynosiły do domu, przytłaczał i wymagał sporej pracy z naszej strony. Po roku widzę, że rozprężenie jest zbyt duże. Dzieci nie mają żadnego poczucia szkolnego obowiązku. Ba! Jakiegokolwiek obowiązku. Do nauki siadają tuż przed sprawdzianem i to naprawdę odbiło się na ich wynikach. Podkreślę, że wcześniej nikt ich do lekcji nie gonił. Jak było zadane, to robiły i tyle – zauważa pan Mariusz, ojciec dwójki uczniów z klasy V i VII.

ZNP podtrzymuje dziś swoje stanowisko, w dodatku związkowcy już rok temu twierdzili, że nauczyciel powinien mieć jednak możliwość oceny pracy domowej. Magdalena Kaszulanis zauważa, że do przedyskutowania jest ustalenie strategii: czy ocena

miałaby być wystawiana na wniosek ucznia, a może ograniczyć wstawianie ocen niedostatecznych za pracę domową? Zdaniem rzeczniczki ZNP warto wrócić do rozmowy o ocenianiu prac domowych, bo już w tym roku szkolnym zmieniła się podstawa programowa – jest o 20% chudsza niż w momencie wprowadzenia przepisów. W przyszłym roku zaś szkoły czeka duża reforma programowa.

Inaczej widzi tę kwestię ministra Nowacka, która w wywiadzie dla RMF FM powiedziała, że „prace domowe nauczyciele mogą zadawać i bardzo często je zadają. Mogą je sprawdzić, ale nie musi to być ocena cyfrowa, mogą to być inne narzędzia, a nauczyciele mają ich mnóstwo”.

To nie działa

MEN na razie nie planuje zmian w przepisach ograniczających prace domowe, ale bacznie przygląda się skutkom własnej reformy. Co brzmi dość komicznie, ale też skłania do przypuszczeń, że albo ministra powoływała się rok temu na zmyślonych specjalistów, albo byli to marni eksperci, skoro resort nie ma przygotowanych i upublicznionych prognoz co do skutków tej zmiany. We wspomnianej ewaluacji ma być uwzględniony głos nauczycieli, uczniów i rodziców. To jak powtórka z kielbasy wyborczej.

Przed wyborami parlamentarnymi Donald Tusk obiecał wszak zniesienie zadań domowych. Barbara Nowacka tę polityczną wolę wykonała szybko i bez większej refleksji nad losem dzieci. Dzisiaj ekipa Tuska nadal stara się pokazywać sprawczość i tym samym wzmocnić wizerunek swojego



kandydata na prezydenta. Wpadkę przemienia w ewaluację swoich działań.

Resort edukacji podkreślał wielokrotnie, że odejście od prac domowych jest zmianą oczekiwaną przede wszystkim przez młode osoby. Ten ruch miał poprawić dobrostan uczniów i zapewnić im więcej czasu na rozwijanie zainteresowań czy uprawianie sportu. Decyzja o wprowadzeniu zakazu prac domowych w połowie roku szkolnego spotkała się z ostrą krytyką specjalistów, a nawet rzecznika praw obywatelskich.

MEN upierało się, że szybki termin zmian jest podyktowany pilną potrzebą odpowiedzi na powszechne oczekiwanie środowisk szkolnych. Jednak już w lutym zeszłego roku prof. Marcin Wiącek, rzecznik praw obywatelskich napisał w opinii dotyczącej projektu, że według dostępnej wiedzy głosy w debacie publicznej nie potwierdzają powszechności takich żądań. Również w lutym tryb wprowadzania zmian krytykowała prof. Małgorzata Żytka z Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego, która zachęcała do wprowadzenia ograniczeń w pracach domowych od września, równocześnie ze zmianami w podstawie programowej.

– Przez parę miesięcy od reformy mój 13-letni syn wracał ze szkoły, rzucał plecak w kąt i tłuł w konsolę

Dzieci nie mają żadnego poczucia szkolnego obowiązku. Do nauki siadają tuż przed sprawdzianem, co odbiło się na ich wynikach.

niemiłosiernie długo. Jako starego gracza gry wideo mnie nie przerażają, więc pomyślałem, że dam mu trochę czasu, aż się znudzi. Miałem rację. Okazało się to w wyjątkowo zaskakujących okolicznościach. Wróciliśmy z żoną do domu po pracy. Syn zakomunikował od wejścia, że posprzątał mieszkanie, opróżnił zmywarkę i zmył ręcznie pozostałe naczynia. Dodał, że wreszcie chciał się czymś zająć. Zapytany o naukę przyznał, że to najmniej interesujące, bo szkoła była prosta jeszcze przed okrojeniem podstawy programowej. Teraz to już w ogóle nie ma tam nic do roboty – opowiada Mariusz.

Gdyby nie smartfony

Z badania „Dziennik codziennej aktywności dzieci i młodzieży” przeprowadzonego przez Biuro Rzecznika Praw Dziecka w 2023 r. wynika, że wraz z wiekiem obserwowany jest wyraźny spadek zaangażowania w poszczególne aktywności związane z edukacją. Dość dziwne w takim kontekście jest zrezygnowanie z zadań domowych do klasy VIII, aby w szkole średniej wrócić do nich, i to

z całą mocą. Spadek zainteresowania szkołą łączy się w fatalną całość z nadużywaniem przez dzieci w wieku szkolnym smartfonów. Z raportu Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom „Nadużywanie mediów elektronicznych przez dzieci i młodzież: badanie rozpowszechnienia problemu, jego determinantów i nowej interwencji profilaktycznej redukującej skalę problemu” z 2023 r. wynika, że najpopularniejszym urządzeniem elektronicznym wśród uczniów szkół podstawowych jest telefon komórkowy, użytkowany przez 95,4% dzieci. 86,3% badanych korzysta ze smartfona codziennie.

Co ciekawe, zaledwie 11,5% uczniów gra na co dzień w gry wideo. Większość badanych (95,9%) ogląda krótkie filmiki. Przeróżające

jest to, że jeśli rolka na TikToku trwa 15-30 sekund, dziecko może obejrzeć 120-240 tzw. shortsów w ciągu godziny. Średni czas spędzany przed ekranem wynosi dziś pięć i pół godziny. WHO zaleca ograniczenie go dzieciom do dwóch godzin dziennie, niezależnie od tego, czy chodzi o smartfon, czy o telewizor.

Spójrzmy na sprawę realnie. Ile dzieciaków dzięki zakazowi prac domowych rzeczywiście realizuje swoje pasje, a ile jeszcze dłużej wgapia się w ekran? Taki obrazek może spędzać sen z powiek. Uspokaja jednak najnowszy raport dotyczący czytelnictwa. Wynik od lat jest marny, nadal ok. 60% Polaków nie czyta w ciągu roku ani jednej książki, co jednak ważne, najwyższym poziomem czytelnictwa odznacza się najmłodsza brana pod uwagę w badaniu grupa wiekowa, czyli 15-18 lat. Niektórzy śmieją się, że wszystko dzięki obowiązkowym lekturom szkolnym. Ale to dobry punkt wyjścia do refleksji dla ministry Nowackiej, która okroiła o 20% już i tak mizerny kanon lektur. Chyba nie o takie odciążanie uczniów chodziło, prawda?

k.wawrzyniak@tygodnikprzeklad.pl



Spadkobiercy Twardowskiego

„Przez ciernie do gwiazd”. Polska droga na orbitę

Grzegorz Rudnik

Zgodnie z planem 29 maja 2025 r. inż. Sławosz Uznański-Wiśniewski ma polecieć na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS) w ramach prywatnej misji Axiom 4. Załogę stanowią: Amerykanka Peggy Whitson, która będzie dowodziła misją, Hindus Shubhanshu Shukla – pilot oraz Węgier Tibor Kapu, mający pełnić funkcję specjalisty. Kapsułę wyniesie w kosmos rakieta Falcon 9 wyprodukowana przez należącą do Elona Muska spółkę SpaceX.

Sławosz Uznański-Wiśniewski będzie drugim, po Mirosławie Hermaszewskim, Polakiem na orbicie. To ważny moment w realizacji Polskiej Strategii Kosmicznej.

Uwagę mediów przyciągnęła informacja o tym, że nasz rodak zabierze ze sobą pierogi przygotowane przez kielecką firmę LYFOOD.

Wiadomości o eksperymentach naukowych, które ma przeprowadzić na orbicie, wzbudziły marginalne zainteresowanie.

Polska nie należy do grupy państw wiodących w podboju kosmosu. Trudno też stwierdzić, byśmy mieli szczególne aspiracje w tym zakresie. Jednak swój program kosmiczny mieliśmy już w latach 70. XX w. Pierwsza polska rakieta, Meteor 2K, która osiągnęła wysokość 105 km, została wystrzelona w 1970 r. Wraz z innymi krajami socjalistycznymi Polska uczestniczyła w programie Interkosmos. Instrumenty badawcze zbudowane przez polskich uczonych, głównie z Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika PAN oraz Centrum Badań Kosmicznych, w roku 1973 znalazły się na pokładzie satelity Kopernik 500. W latach 80. polski sprzęt umieszczono też na pokładzie sondy Fobos 2, która badała Marsa, oraz sond Wega 1

i Wega 2, które badały Wenus i komętę Halleya.

Głównym osiągnięciem polskiego uczestnictwa w programie Interkosmos był lot Mirosława Hermaszewskiego w 1978 r. na radziecką stację Salut 6. Musiało upłynąć 47 lat, by kolejny Polak trafił na orbitę.

Pierwszym w pełni rodzimym sztucznym satelitą Ziemi był PW-Sat, niewielki sześcian o wymiarach 10 cm x 10 cm x 11,3 cm i masie 1,33 kg, zaprojektowany i zbudowany przez studentów Politechniki Warszawskiej. Z kosmodromu w Gujanie Francuskiej w lutym 2012 r. wyniosła go na orbitę europejska rakieta Vega.

Głównym zadaniem PW-Sat było przetestowanie systemu deorbitacji (bezpiecznego sprowadzania satelity z orbity do atmosfery ziemskiej) oraz sprawdzenie działania elastycznych ogniw fotowoltaicznych w warunkach kosmicznych. Misja trwała

Sławosz Uznański-Wiśniewski będzie drugim, po Mirosławie Hermaszewskim, Polakiem na orbicie.

20 miesięcy i została zakończona 28 października 2014 r.

W listopadzie 2012 r. Polska oficjalnie stała się członkiem Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA), co pozwoliło rodzimym firmom i instytucjom naukowym korzystać z infrastruktury naziemnej i kosmicznej agencji. W praktyce oznaczało to udział w ważnych misjach ESA, np. sondy Cassini-Huygens, misji Rosetta, sondy BepiColombo, której zadaniem jest zbadanie Merkurego, i realizowanej wspólnie z NASA misji Solar Orbiter, której celem jest szczegółowe badanie Słońca oraz wewnętrznej heliosfery, czyli najbliższego otoczenia gwiazdy. Udział polskich naukowców polegał na konstruowaniu urządzeń, które znalazły się na pokładach sond.

Do 2022 r. polskie firmy i instytucje naukowe zdobyły w ramach Europejskiej Agencji Kosmicznej kontrakty na ponad 140 mln euro. W realizacji projektów uczestniczyło ich ponad 300, a bezpośredni udział w realizacji misji i programów kosmicznych wzięło 150 polskich podmiotów.

Na tle innych europejskich krajów to niedużo. Można powiedzieć, że Polska jest na początku drogi. W tym roku roczna składka wniesiona przez Polskę do ESA wyniesie 193,4 mln euro. Oznacza to duży wzrost wydatków w porównaniu z minionymi latami, gdy do wspólnej kasy wpłacaliśmy ok. 48 mln euro. Rodzi się pytanie, czy będziemy umieli wykonać tę szansę.

Prezesi z czarnej dziury

W październiku 2016 r. premier Beata Szydło odwołała z funkcji prezesa Polskiej Agencji Kosmicznej (PAK) prof. Marka Banaszkiewicza. Decyzja ta nie była zaskoczeniem, gdyż nowa ekipa czyściła agencję z osób związanych z poprzednikami. Poza tym odrzucone zostało sprawozdanie finansowe i merytoryczne agencji za 2015 r., co zgodnie z art. 8 ustawy o PAK było jedną

z przestanek do odwołania prezesa przed upływem kadencji.

Oficjalnie ogłoszono, że zorganizowany zostanie konkurs, a do jego rozstrzygnięcia obowiązki prof. Banaszkiewicza będzie pełnił świeżo powołany wiceprezes ds. obronnych płk Piotr Suszyński. W wyższych kręgach politycznych stolicy krążyła informacja, że agencja stała się łupem ministra obrony Antoniego Macierewicza i de facto zmieniła się instytucję wojskową, która formalnie podlegała premier Szydło.

W praktyce płk Suszyński urzędował w Warszawie. Zgodnie z prawem funkcję p.o. prezesa mógł pełnić maksymalnie przez pół roku, lecz kto by się przejmował takimi drobiazgami. W odpowiednim terminie ogłoszono konkurs, który nie został rozstrzygnięty. Jak potem się okazało, w kwietniu 2017 r. p.o. prezes Suszyński podpisał zarządzenie,

Informację, że części rakiety Falcon 9 mogą spaść na terenie naszego kraju, Polska Agencja Kosmiczna przekazała do Ministerstwa Obrony Narodowej na nieaktywny od dawna adres mejlowy.

w którym... wyznaczył siebie na funkcję p.o. prezesa Polskiej Agencji Kosmicznej. Najwyższa Izba Kontroli uznała, że to zarządzenie miało na celu obejście przepisów prawa i usankcjonowało kierowanie agencją przez płk Suszyńskiego w sytuacji nieobradzenia stanowiska prezesa.

Pikanterii sprawie dodawał fakt, że w wyniku kontroli pracownicy NIK stwierdzili nieprawidłowości dotyczące m.in. zamówień publicznych realizowanych w 2017 r. O sytuacji w Polskiej Agencji Kosmicznej dyskutowali posłowie Komisji Gospodarki i Rozwoju w czerwcu 2018 r. Jednak płk. Suszyńskiego na spotkaniu nie było, gdyż w kwietniu odszedł na własną prośbę – do dymisji przychylił się premier Mateusz Morawiecki.

Obowiązki Suszyńskiego przejął dr Grzegorz Brona, który p.o. prezesem był do marca 2019 r. Też odszedł na własną prośbę, by wrócić do kierowania spółką Creotech Instruments, wiodącą w Polsce firmą z sektora techniki kosmicznej,

realizującą projekty dla Europejskiej Agencji Kosmicznej. Jego obowiązki przejął wiceprezes Agencji Rozwoju Przemysłu Michał Szaniawski, który w agencji odpowiadał za stworzenie programu wsparcia sektora technologii kosmicznych.

W lutym 2021 r. funkcję prezesa PAK objął prof. Grzegorz Wrochna i pełnił ją do 11 marca 2025 r. Odwołał go minister rozwoju i technologii Krzysztof Paszyk – powodem była afera po znalezieniu w okolicach Komornik pod Poznaniem fragmentów amerykańskiej rakiety Falcon 9. Informację o tym, że części rakiety mogą spaść na terenie naszego kraju, agencja przekazała do Ministerstwa Obrony Narodowej na adres mejlowy, który od dawna był nieaktywny. Gdyby resztki Falcona 9 spadły na Poznań lub Bydgoszcz, ktoś mógłby uznać, że Polska została zaatakowana przez Rosję.

Obecnie – zgodnie z tradycją – obowiązki prezesa PAK pełni kolejny wojskowy, płk Marcin Mazur.

Żli ludzie od dawna twierdzą, że korowody personalne w Polskiej Agencji Kosmicznej nie służą tej instytucji i w efekcie przypomina ona czarną dziurę, w której bezpowrotnie znikają pieniądze. Nie jest to prawda. Co nieco się udaje. Jednak pozycja agencji odpowiada pozycji polskiej gospodarki w świecie, która oparta jest nie na ambitnych badaniach naukowych i innowacjach, ale wciąż na węglu, wieprzownie i służbach specjalnych.

Creotech Instruments i inni

Najbardziej znaną i renomowaną polską spółką działającą w przemyśle kosmicznym jest mieszcząca się w Piasecznie Creotech Instruments. Jej największym udziałowcem jest Agencja Rozwoju Przemysłu, tuż za nią plasuje się OFE Allianz Polska, ale posiadaczami akcji są też Katarzyna ▶

► Kubrak, Paweł Kasprowicz i dr Grzegorz Brona, swego czasu p.o. prezes Polskiej Agencji Kosmicznych.

Najgłośniejszym osiągnięciem spółki była budowa, wspólnie z Centrum Badań Kosmicznych i wrocławską spółką Scanway, polskiego satelity EagleEye. 16 sierpnia 2024 r. 50-kilogramowy satelita został wyniesiony w kosmos na pokładzie rakiety Falcon 9 firmy SpaceX z kalifornijskiej bazy Vandenberg.

Najbardziej znaną polską spółką działającą w przemyśle kosmicznym jest Creotech Instruments, która współtworzyła m.in. polskiego satelitę EagleEye.

Po oddzieleniu się od rakiety obsługa naziemna nawiązała z nim łączność i potwierdziła, że wszystkie systemy działają prawidłowo. Niestety, po kilku dniach utracono nad nim kontrolę. EagleEye przestał reagować na polecenia z Ziemi i przesyłać dane.

Początkowo pracownicy spółki Creotech Instruments nie byli w stanie wyjaśnić, co się stało. W listopadzie 2024 r. wiceprezes Jacek Kosiec przekazał mediom, że wykryto błąd w oprogramowaniu, które – jeśli działałoby prawidłowo – powinno satelitę wyłączyć i z powrotem włączyć, a następnie ustawić go w optymalnej pozycji. Kierownictwo spółki nie traci nadziei, że uda się odzyskać kontrolę nad EagleEye.

Podobne zdarzenia nie są niczym nowym w branży kosmicznej. Rakiety Elona Muska regularnie wybuchają i nikt nie robi z tego problemu. Pod koniec marca br. z kosmodromu na norweskiej wyspie Andøya wystartowała zaś rakieta Spectrum zbudowana przez niemiecką spółkę Isar Aerospace. Po 30 sekundach jej lot zakończył się efektowną eksplozją w pobliżu platformy startowej. Nikt nie uznał tego za klęskę. Zebrane informacje pozwolą udoskonalić rakiety i jest nadzieja, że kolejne starty zakończą się sukcesem.

Mimo że Creotech Instruments odnotowała w pierwszym półroczu 2024 r. stratę w wysokości 7,5 mln zł, a rok wcześniej straciła 5,67 mln, notowania jej akcji ostatnio wzrosły do

rekordowych ponad 264 zł za jedną. Spółka podpisała też umowy m.in. z Europejską Agencją Kosmiczną, luksemburską spółką Odysseus Space i szwedzką Unibap. Jej przykład wydaje się jednak szczególny. W Polsce ok. 150 podmiotów wygrywa kontrakty na realizację projektów kosmicznych w ramach Europejskiej Agencji Kosmicznej. Z reguły nie są to wielkie, liczone w dziesiątkach milionów euro umowy.

Do najbardziej znanych firm należy VIGO Photonics specjalizująca się w produkcji wyrobów optoelektronicznych. Wytwarza ona najwyższej jakości matryce podczerwieni stosowane w kamerach termowizyjnych. Jej wyroby kupowane są zarówno przez NASA – detektory podczerwieni produkcji VIGO wykorzystano w łaziku marsjańskim Curiosity – jak i Europejską Agencję Kosmiczną. Zawierane przez tę spółkę umowy są liczone w dziesiątkach milionów złotych. Aczkolwiek zastosowania kosmiczne stanowią margines. Najpoważniejszym odbiorcą produktów VIGO jest wojsko.

Spółka SatRev specjalizująca się w budowie nanosatelitów dotychczas umieściła na orbicie 12 takich obiektów.

W Legnickiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej działa spółka SatRev, specjalizująca się w budowie nanosatelitów. Dotychczas umieściła na orbicie 12 takich obiektów. W planach ma budowę do 2028 r. komercyjnej konstelacji 1,5 tys. satelitów obserwacyjnych. Czy to się uda? Dowiemy się za trzy lata.

Wspomniana wcześniej spółka Scanway prezentuje się jako producent zaawansowanych systemów optycznych, kamer i teleskopów dla satelitów, m.in. jest dostawcą największego polskiego teleskopu do satelity EagleEye, z którym, jak wiadomo, utracono kontakt.

Z kolei założona w 2016 r. gliwicka spółka KP Labs specjalizuje się w produkcji oprogramowania mogącego służyć np. do autonomicznej kontroli satelitów i przetwarzania obrazów w czasie rzeczywistym. Thorium Space Technology produkuje zaś nowatorskie systemy telekomunikacyjne dla satelitów, w tym inteligentne anteny macierzowe.

W skali europejskiej polskie firmy to właściwie start-upy, z których może coś będzie. Ubiegają się o granty, zwłaszcza te ze środków unijnych. Szukają zleceń i inwestorów. Zatrudnieni w nich pracownicy zbierają doświadczenia.

Czasem jest czym się pochwalić. 3 lipca 2024 r. z kosmodromu Andøya wystartowała polska suborbitalna rakieta ILR-33 Bursztyn 2K zbudowana przez inżynierów z Instytutu Lotnictwa wchodzącego w skład Sieci Badawczej Łukasiewicz. Rakieta osiągnęła pułap 101 km, co uważa się za granicę kosmosu. Znalazła się tam, gdzie rakieta Meteor w roku 1970.

Nasze ambicje sięgają wyżej i dalej. Nie jest tajemnicą, że Wojsko Polskie chce mieć własne satelity obserwacyjne. Podobne plany ma administracja rządowa. Na to znajdują się pieniądze, a więc będą zlecenia.

Pytanie jest jedno: czy polskie firmy będą w stanie wyprodukować zarówno satelity, jak i rakiety

zdatne umieścić je na orbicie. Pozostaje ono otwarte. Dotychczasowe doświadczenia nie są zachęcające. Cóż, „per aspera ad astra”.

Na razie za symbol stanu rodzimej branży kosmicznej niech posłuży ustawiona na rynku w Węgrowie ławeczka z brązu, na której zasiada Mistrz Twardowski. Jak głosi legenda – pierwszy Polak na Księżycu. Są tacy, którzy twierdzą, że bardziej prawdopodobne jest to, iż XVI-wieczny alchemik zamieszkał na Srebrnym Globie, niż to, że przebywał w Węgrowie.

Grzegorz Rudnik

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Bez wątplenia jest więcej podejść do nadchodzących problemów cywilizacyjnych niż dwa podstawowe: szukanie w obliczu nowych wyzwań nowych rozwiązań i sięganie po stare sposoby na nowe czasy. Cóż, imponują mi poszukiwania nowych dróg, kiedy wyzwania są całkiem odmienne od minionych. Wśród nich mam jedno, które darzę niejaką estymą, i o nim będzie opowieść.

Najpierw problem. To praca. A raczej jej przyszłość. Pracy będzie coraz mniej. Czyli z jednej strony coraz mniej pracy, z drugiej np. praca krótsza, z trzeciej – dla mniej licznych. Rewolucja sztucznej inteligencji, choć pojawia się w każdej lodówce, wciąż jest wielką niewiadomą. Jej dynamika może jednak już dziś zadziwiać i zaskakiwać. Pytanie zatem, które staje przed nami jako ludźmi (jedno z tych kluczowych), brzmi: co dalej z taką pracą albo z jej

1,1 tys. do 2,6 tys. euro miesięcznie (dla porównania – płaca minimalna w Niemczech na koniec minionego roku wynosiła 1,9 tys. euro). Zgłosiło się 2 mln chętnych. Kolejne 1,5 tys. osób było tylko badanych, świadczenia nie dostawało.

Jakie są wyniki eksperymentu (to zresztą kolejny kraj, który go przeprowadził, wyniki poprzednich zasadniczo były bardzo zbliżone)? Co takiego się stało, kiedy ludzie zaczęli dostawać pieniądze za nic?

Nikt, powtórzmy, NIKT ze 122 osób nie zrezygnował z pracy. Natomiast w grupie badanych nieopłacanych zatrudnienie spadło w tym czasie na poziom niższy niż w grupie „okołaczonych”. Zatrudnienie w grupie otrzymującej środki nawet wzrosło o 4 pkt proc. i na koniec okresu testowego było w sumie o 5 pkt proc. wyższe niż wśród

O kołaczach poza pracą

brakiem czy ograniczeniem? Tak bardzo przywykliśmy do oczywistości ciężaru pracowania, że nawet w wyobraźni trudno sobie radzić z prognozami i wizjami.

Wśród tych, którzy mimo wszystko szukają odpowiedzi, pojawił się już lata temu pomysł gwarantowanego dochodu podstawowego. Pokróćcie mówiąc, to pomysł przecięcia niewidzialnej, acz nierozzerwalnej liny wiążącej od stuleci wynagrodzenie z wykonaną pracą i zapewnienia takiej czy innej, mniej lub bardziej licznej grupy płacy bez konieczności „zapracowania” na nią. Taki dochód bez warunków, w najśmielszej wizji dla wszystkich, którzy są ludźmi, za to, że są ludźmi właśnie.

Recz jasna, przeciwników jest mnóstwo, chociażby ci, którzy będą powtarzać jak mentzenowska katarynka: a skąd wziąć na to pieniądze? A to już zupełnie inna kwestia, na inną rozmowę. Wrócimy do niej, bo i tu narodziły się zajmujące pomysły. Inni zaczną się krzywić: jakaś praca i tak zostanie, a wszyscy pójdą na bezrobocie i wszystko przepiją. Tak jak wieszczono programowi 500+, co okazało się kompletnie chybioną krytyką.

Tymczasem ci, którzy za pomysłem optują, proponują wypróbowaną metodę weryfikacji – eksperymenty społeczne. Przetestujmy to modelowo. Tak jak sprawdzamy wszystko, co skonstruujemy i zbudujemy. Właśnie tak zrobiło społeczeństwo, gdzie praca otoczona jest szczególnie kultem, czyli Niemcy – zakończyli program pilotażowy, podczas którego przez trzy lata co miesiąc wylosowani uczestnicy (było ich 122) otrzymywali 1,2 tys. euro (ok. 5,3 tys. zł), a w zamian musieli jedynie regularnie brać udział w badaniu – ankietach i wywiadach z analitykami. Trzeba było mieć między 21 a 40 lat, prowadzić gospodarstwo domowe w pojedynkę i otrzymywać dochody od

osób, które nie dostawały świadczenia. Po pierwszym półroczu aż 17% osób, które dostawały dochód gwarantowany, zmieniło pracę. W grupie kontrolnej ten odsetek wynosił 13%. Wśród osób otrzymujących pieniądze 10% postanowiło podjąć studia, podczas gdy w grupie bez środków jedynie 7%. Była także różnica w czasie, który obie grupy spędzały z partnerami, rodzinami i przyjaciółmi – średnio nawet 1,7 godz. w skali tygodnia. Osoby z gwarantowanym dochodem podstawowym miały poza tym więcej czasu na sen. W skali tygodnia spały o 1,2 godz. dłużej niż te, którym nie wypłacano pieniędzy. W grupie opłacanej wzrosło poczucie sensu życia, zadowolenia z niego, jakości zdrowia i samopoczucia. Ten stan utrzymywał się jeszcze pół roku po zakończeniu badania.

Grupa, której wypłacano dochód gwarantowany, była w stanie zaoszczędzić średnio 770 euro miesięcznie, a grupa bez dodatkowej wypłaty 330 euro. Na co wydawano te pieniądze? Na wakacje i podróże.

Mimo że efekty wydają się jednoznacznie pozytywne, krytycy podnosili, oprócz źródeł finansowania, małą liczebność grupy badawczej. Często byli to ci sami ludzie, którzy, nie mając pojęcia o finansach publicznych, porównują te pieniądze do budżetów domowych. Tak w istocie pomysł trafia na niechęć i sprzeciw wobec faktów tylko z powodu mocno zasklepionych przekonania, wszak bez pracy...

Eksperyment w Polsce nie doczekał się realizacji, ponieważ nie znaleziono dla niego finansowania. No cóż, były inne wydatki: zbrojenia, Kościół. Ta historia jest bardzo znacząca, ponieważ bezwarunkowy dochód gwarantowany to niejedyny pomysł zapowiadający inne czasy, inne wartości i rozwiązujący realne problemy. Ale przecież nie ma kołaczy... ■

Konklawe: kto po Franciszku?

Rządził w trudnych czasach. Odszedł w jeszcze trudniejszych. Kto zostanie jego następcą?

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Już wkrótce zamkną się wrota kaplicy Sykstyńskiej, a prefekt ceremonii wypowie słowa: Extra omnes! (Wszyscy precz!). Kolegium Kardynalskie, liczące ponad 130 purpuratów (ostateczna liczba nie jest jeszcze przesądzona), wybierze spośród siebie nowego papieża.

W konklawe mogą uczestniczyć wyłącznie kardynałowie elektorzy, czyli ci, którzy w dniu wakatu na Stolicy Apostolskiej nie ukończyli 80 lat. Do niedawna ich liczba była ograniczona do 120. Ale Franciszek zmienił tę zasadę, przyznając znacznie więcej godności kardynalskich i faworyzując małe, peryferyjne wspólnoty kosztem tradycyjnych ośrodków. Dzięki tym decyzjom nadchodzące konklawe będzie najbardziej międzynarodowe w historii – kardynałowie pochodzą z 65 krajów – oraz najmniej eurocentryczne i zachodnie. Podczas dziesięciu konsystorzów Franciszek mianował aż 80% kardynałów, którzy wezmą udział w wyborze jego następcy. Nie oznacza to jednak, że nowy papież będzie wiernym kontynuatorem linii Jorge Maria Bergoglia. Tym bardziej że tych 110 powołanych przez argentyńskiego papieża elektorów, spośród 138 potencjalnych, nie tworzy jednolitego bloku.

Skład kolegium kształtuje się następująco: 54 kardynałów pochodzi z Europy, 24 z Azji, 22 z Ameryki Łacińskiej, 18 z Afryki, 16 z Ameryki Północnej i 4 z Oceanii.

Kardynałowie ze Starego Kontynentu – w tym aż 19 Włochów – nadal stanowią największą grupę, choć nie dominują już tak wyraźnie jak podczas poprzednich konklawe. Dziś purpuraci pochodzący z globalnego Południa mają niemal tyle samo głosów, co ich koledzy z Zachodu, a ich decyzje mogą przesądzić o wyborze następcy Franciszka.

Pod kluczem

Wybór nowego papieża to jedno z najbardziej fascynujących i tajemniczych wydarzeń w życiu Kościoła katolickiego. Konklawe kojarzy się nam z surowym rytuałem za zamkniętymi drzwiami kaplicy Sykstyńskiej i unoszącym się z komina dymem,

zwiastującym decyzję kardynałów. Jednak początki były zupełnie inne, gdyż książęta Kościoła nie zawsze mogli się dogadać w kwestii następcy na Tronie Piotrowym.

Nazwa konklawe pochodzi od łacińskiego cum clave, czyli pod kluczem, i bierze się od słynnej papieskiej elekcji w Viterbo w latach 1268-1271 – najdłuższej w dziejach Kościoła, bo trwającej aż 1006 dni. 19 kardynałów niemogących dojść do porozumienia zamknięto w Pałacu Papieskim, następnie drastycznie ograniczono im racje żywnościowe, aż w końcu zerwano dach budynku, aby purpuratów zmusić „głodem i chłodem” do podjęcia decyzji. Ostatecznie wybrano Teobalda Viscontiego, który przyjął imię Grzegorz X.

Rzym pełen kardynałów

Jak donosi „Corriere della Sera”, w Rzymie już czuć atmosferę nadchodzącego konklawe. „Duch Święty inspiruje, ale nie głośuje”, żartują duchowni, podkreślając, że proces wyboru nowego papieża ma także ludzki wymiar. Gazeta opisuje codzienne życie kardynałów elektorów: od kongregacji generalnych w Auli Pawła VI, przez udział w mszach, po spotkania z wiernymi. Poza obowiązkami są też chwile relaksu – niektórzy duchowni, jak hiszpański kardynał Santos Abril y Castelló, znajdują czas na mecze tenisa, inni spotykają się prywatnie na rozmowach. Najchętniej poza Watykanem, w restauracjach.

Nie brakuje na ten temat anegdot: jeden z kardynałów zagranicznych zaprosił kolegów na wieczorne spotkanie w pokoju w Domu Świętej Marty, nieświadomy, że wypite minibuski alkoholu zostaną doliczone do jego rachunku. Inni zaś, ostrzegani przez doświadczonych kolegów, starają się nie wyróżniać w restauracjach, by uniknąć wysokich rachunków.

Purpuraci typowani na faworytów unikają rozgłosu. Najbardziej aktywny w Kolegium Kardynalskim jest jednak filipiński kardynał Luis Antonio Tagle. Według „Corriere della Sera” papieska kampania wyborcza ruszyła na dobre – rozmowy i nieformalne spotkania pomogą ukształtować opinię o tym, kto powinien zostać nowym następcą św. Piotra.



Dziś przeprowadzenie wyboru głowy Kościoła wydaje się prostsze. Konkławe zostaje zwołane pomiędzy 15. a 20. dniem od śmierci papieża. Kardynałowie zjeżdżają się na pogrzeb (współcześnie głównie przylatują samolotami) nawet z najdalszych zakątków świata, a uroczystości pogrzebowe, poprzedzone kongregacjami, są dla nich okazją, by się poznać. Rezydują zazwyczaj w Domu Świętej Marty – miejscu, gdzie przez cały pontyfikat mieszkał Franciszek, rezygnując z komnat w Pałacu Papieskim i tradycyjnych przywilejów dworu.

W dniu rozpoczęcia konkławe kardynałowie w procesji udają się do kaplicy Sykstyńskiej, śpiewając hymn „Przybądź, Duchu Święty” i prosząc o jego natchnienie. Po wejściu składają uroczystą przysięgę milczenia i wierności. Następnie mistrz papieskich ceremonii liturgicznych (obecnie ks. Diego Giovanni Ravelli) nakazuje opuszczenie kaplicy wszystkim osobom postronnym. Wówczas drzwi zostają zamknięte, a konkławe przechodzi w fazę całkowitej izolacji.

Konkławe zostaje zwołane między 15. a 20. dniem od śmierci papieża. Kardynałowie zjeżdżają się na pogrzeb z najdalszych zakątków świata, a uroczystości pogrzebowe, poprzedzone kongregacjami, to okazja, by się poznać. Watykan, 27 kwietnia 2025 r.

Współcześnie elekcja papieska trwa znacznie krócej niż ta w Viterbo – co najwyżej dwa-trzy dni. Każdego dnia odbywają się maksymalnie cztery głosowania (dwa rano, dwa po południu), aż do uzyskania większości dwóch trzecich głosów. Głosowanie musi być tajne, pisemne i wyrażane indywidualnie (per scrutinium). Kardynałowie podchodzą pojedynczo do ołtarza i składają w specjalnej urnie kartkę z nazwiskiem wybranego. Po zliczeniu głosów kartki są spalane w piecu z dodatkiem specjalnych substancji. Piec ten, jak i komin są montowane na czas konkławe w kaplicy Sykstyńskiej. Jeżeli głosowanie nie przyniosło pozytywnego rezultatu, z kominą wydobywa się czarny dym, jeżeli zaś papież został wybrany – biały. Ten znak obserwują wierni zgromadzeni na placu św. Piotra, jak również media z całego świata. Franciszka wybrano po pięciu głosowaniach,

Benedykta XVI po czterech, a Jana Pawła II dopiero po ośmiu.

Nowo wybrany papież musi odpowiedzieć na pytanie dziekana Kolegium Kardynalskiego: „Czy przyjmiesz swój kanoniczny wybór na najwyższego kapłana?”, a także zdecydować, jakie przybierze imię. Później udaje się do „komnaty płaczu” – małego pomieszczenia obok kaplicy, gdzie pozostaje w samotności. Po założeniu papieskich szat nowy Ojciec Święty wychodzi do Łoży Błogosławieństw, czyli na balkon bazyliki św. Piotra, skąd kardynał protodiakon ogłasza słynne: „Habemus papam!” i przedstawia go światu.

Kto następny?

W dzisiejszych medialnych czasach elekcja papieska jest przygotowywana z dużym wyprzedzeniem. W przypadku Franciszka, który zmarł w wieku 88 lat i był trzecim w historii ▶

► Kościoła najbardziej długowiecznym papieżem (po Leonie XIII i Benedyktie XVI), kwestię sukcesji rozważano od dawna. Zwłaszcza jego długi pobyt w szpitalu oraz zły stan zdrowia zmusiły wszystkich do wzięcia pod uwagę możliwości wyboru nowego następcy św. Piotra jeszcze w tym roku. Toto-papa, czyli papieski tolotek, jak nazywają to włoskie media, trwa już od kilku miesięcy, a lista potencjalnych kandydatów jest długa. Otwierają ją trzej Włosi.

Pietro Parolin – obecny sekretarz stanu, uchodzi za doświadczonego dyplomata, który odegrał kluczową rolę w negocjacjach z Chinami. Cieszy się szacunkiem zarówno w Watykanie, jak i poza nim, ale nie jest charyzmatyczny.

Matteo Zuppi – przewodniczący episkopatu Włoch, związany ze wspólnotą Sant' Egidio, jest zwolennikiem dialogu i był specjalnym wysłannikiem papieża ds. Ukrainy mającym doprowadzić do negocjacji pokojowych – niestety bez skutku. Wnosi do Kościoła wrażliwość społeczną i otwartość – jest wskazywany

jako duchowy spadkobierca Franciszka i most między Wschodem a Zachodem.

Pierbattista Pizzaballa – patriarcha Jerozolimy, który jako franciszkanin prowadzi dialog z Żydami i Palestyńczykami. Jego kandydatura to sygnał otwartości Kościoła na Ziemię Świętą i Bliski Wschód.

Stosunkowo mocnym kandydatem europejskim jest **Péter Erdő** – konserwatysta z Węgier, arcybiskup Budapesztu i ceniony kanonista znający kilka języków. Kardynałem uczynił go jeszcze Jan Paweł II w 2003 r., a kształtował się w środowisku Josepha Ratzingera, gdy ten był prefektem Kongregacji Nauki Wiary. Erdő to główny kandydat nurtu konserwatystów. Jego wybór oznaczałby odejście od reform Franciszka.

Ciekawą postacią jest **Anders Arborelius** – pierwszy szwedzki kardynał od czasów reformacji. Karmelita i ekumenista, który swoją postugą pokazuje, że nawet w silnie zsekularyzowanych społeczeństwach Kościół może trwać. Arborelius wniósłby do niego skandynawską

równowagę pomiędzy tradycjonalistami a reformatorami.

Na uwagę zasługują również inni kandydaci „zachodni”, ale otwarci na resztę świata. Wśród nich przoduje **Jean-Claude Hollerich** – luksemburski jezuita, przewodniczący Komisji Episkopatów Unii Europejskiej, misionarz z Japonii, zaangażowany w walkę z głodem i wykluczeniem. Łączy duchowość z kompetencją intelektualną i byłby „bardziej umiarkowanym Franciszkiem”.

Jean-Marc Aveline – teolog z Marsylii, urodzony w Algierii. Od lat zaangażowany w dialog chrześcijańsko-muzułmański. Reprezentuje Kościół otwarty na Południe i wyzwania migracyjne.

Juan José Omella Omella – arcybiskup Barcelony, zaangażowany w pomoc migrantom, był misionarzem w Afryce, gdzie walczył z głodem. Publicznie krytykował antyimigrancką politykę, apelując o otwartość i miłosierdzie.

Joseph Tobin – arcybiskup Newark (USA), znany z otwartego sprzeciwu wobec deportacji rodzin

WYJĄTKOWO SKOMPLIKOWANY WYBÓR

O komentarz poprosiliśmy byłych watykanistów włoskiego dziennika „La Repubblica”, Marca Politiego oraz Marca Ansaldo.

Marco Politi

Wybór nowego papieża będzie wyjątkowo skomplikowany. Kościół potrzebuje kogoś, kto zdoła przezwyciężyć wewnętrzny konflikt, przywrócić jedność wspólnocie oraz nadać instytucjom nową architekturę – zarówno w zakresie prawa kanonicznego, jak i doktryny. Tego dziś brakuje: Franciszek wprowadził wiele reform, ale unikał zmian w zapisanym prawie, będąc świadomym, że nie ma wystarczającego poparcia.

Nowy papież musi być także postacią charyzmatyczną. Żyjemy w czasach, w których przywódca bez charyzmy nie jest w stanie skutecznie pełnić swojej funkcji. Benedykt XVI był wybitnym teologiem, ale brakowało mu siły oddziaływania Franciszka.

Sam Franciszek zasugerował, że chciałby, aby jego następcą został „Jan XXIV”. Wracając z Mongolii, powiedział: „Nie wiem, czy to ja pojedę do Wietnamu, czy zrobi to Jan XXIV”. Jest jednak mało prawdopodobne, by wybrano jego kontynuatora. Najbardziej realny scenariusz to wybór postaci centrowej – kogoś o odpowiednim autorytecie i charyzmie, kto będzie w stanie pogodzić podzielony Kościół.

Marco Ansaldo

To konklawe nie będzie oczywiste. Wizytę Donalda Trumpa w Rzymie interpretuję nie tyle jako wyraz szacunku wobec papieża Franciszka, ile jako przejaw agresywnej prezydentury, dążącej do rozszerzenia swoich wpływów nawet na obrady konklawe. Stany Zjednoczone potrzebują dziś spojwa nie tylko politycznego, nacjonalistycznego czy suwerennościowego, ale też religijnego. Wszyscy wiemy, jak ogromną siłę oddziaływania ma religia. Trump będzie próbował przejąć to duchowe i moralne dziedzictwo.

Widać to było wyraźnie po działaniach jego wiceprezidenta J.D. Vance'a, który usilnie zabiegał o spotkanie z papieżem dzień przed jego śmiercią. Chciał się uprawomocnić – on, który sam określił się mianem nowicjusza katolickiego, przyjąwszy katolicyzm zaledwie sześć lat temu – jako reprezentant najpotężniejszego człowieka świata w obecności Ojca Świętego. Spotkanie trwało pięć minut, a w prezencji Vance otrzymał trzy jajka Kinder. Nie wiem, czy był to żart papieża, czy może inicjatywa kard. Pietra Parolina.

Od teraz aż do momentu konklawe musimy zachować szczególną czujność, również w mediach społecznościowych. Doskonale wiemy, jak wielką siłę rażenia ma tam amerykańska prezydentura. Trzeba być przygotowanym na próby wywierania wpływu na kardynałów poprzez artykuły i fake newsy. My, ludzie mediów, także będziemy musieli się wykazać dużą ostrożnością.

imigrantów. Jego wybór byłby wyrazem solidarności z ubogimi i wykluczonymi, nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Tobin reprezentuje głos „innej” Ameryki i globalną opozycję wobec Donalda Trumpa, w duchu Franciszka.

Na tym konklawe po raz pierwszy w historii Kościoła nowożytnego ważną rolę odegra kandydat z Afryki: **Fridolin Ambongo Besungu** – arcybiskup Kinszaszy, kapucyn, znany z walki o sprawiedliwość społeczną, ale zdecydowanie broniący tradycyjnego nauczania moralnego Kościoła.

To konklawe będzie najbardziej międzynarodowe w historii – kardynałowie pochodzą z 65 krajów.

Jest uważany przez elektorów „zachodnich” za nazbyt konserwatywnego. Jego wybór byłby zawróceniem Łodzi Piotrowej o 180 stopni.

Jednym z wielkich faworytów jest **Luis Antonio Tagle** – były arcybiskup Manili, obecnie w kurii rzymskiej. Przez lata bliski współpracownik Franciszka, promuje Kościół ubogi i misyjny. Często wymieniany jako „papież przyszłości”, gdyż Łódź Piotrowa płynie dziś w kierunku Azji, której Tagle jest przedstawicielem.

W końcu **Lazarus You Heung-sik** – prefekt Dykasterii ds. Duchowieństwa, próbujący zbliżyć obie Koree i nazywany „koreańskim mostem pojednania”. Członek ruchu Focolari, znany z pokory i zamiłowania do dialogu. Jego elekcja mogłaby być równie przełomowa jak wybór Polaka Karola Wojtyły w 1978 r., który wpłynął na upadek muru berlińskiego i na dialog między Zachodem i Wschodem.

Sztuczna inteligencja już wybrała

Czy można przewidzieć, kto zostanie nowym papieżem? To raczej trudne. Można jednak obserwować, jakie są trendy. Wybór Karola Wojtyły w 1978 r. był zaskoczeniem dla świata, ale w kurii rzymskiej dojrzewało do tego, by po niemal 500 latach wreszcie postawić na nie-Włocha. Przed konklawe w 2005 r. nazwisko Josepha

Ratzingera powtarzano wielokrotnie. Był on bliskim współpracownikiem Jana Pawła II i doskonale nadawał się na „papieża przejściowego”. Już wtedy, po ujawnieniu kulis tamtych wyborów, było wiadomo, że Jorge Mario Bergoglio zdobył bardzo wiele głosów, ale wycofał się z konkurowania z Ratzingerem, aby nie dzielić Kościoła. Jego wybór w 2013 r. był więc przewidywalny, choć kandydat z Argentyny nie przodował w papieskim totolotku. Nazwisko Bergoglio pojawiało się za to w specjalistycznych opracowaniach.

Gdy wybierano Karola Wojtyłę, frakcje walczące na konklawe były dwie: konserwatyści i reformatorzy. Teraz – przez umiędzynarodowienie Kolegium Kardynalskiego z woli Franciszka – sytuacja jest bardziej skomplikowana. W Kościele głęboko podzielonym konkurują aż cztery obozy polityczne: reformatorzy, dyplomaci, neokonserwatyści i tradycjoniści. Każdy z tych obozów ma swojego kandydata – bardziej lub mniej jawnego. Cztery frakcje będą musiały jakoś się porozumieć i znaleźć kompromis.

Mawia się, że Kościół robił dwa kroki do przodu, a potem jeden w tył. Jeżeli za te „dwa kroki do przodu” możemy uznać wybór Wojtyły i Bergoglio, to teraz Kolegium Kardynalskie postawi na kogoś umiarkowanego. Kogoś, kto będzie sprawiał wrażenie, że Łódź Piotrowa zatrzymała się w miejscu, zanim w trzecim tysiącleciu oberze nowy kierunek.

Takim kandydatem jest wspomniany kard. Pietro Parolin. Nie tylko znani watykańscy wskazują możliwość jego wyboru, także ChatGPT przewiduje, że to on będzie następnym papieżem. Niektóre media włoskie z pomocą sztucznej inteligencji dokonały analizy przed nadchodzącym konklawe. ChatGPT wskazał sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej ze względu na doświadczenie i umiarkowanie. „Parolin jest »ministrem spraw zagranicznych« Watykanu od ponad dekad. Zarządzał niezwykle delikatnymi

sprawami, takimi jak relacje z Chinami, Bliskim Wschodem i Ukrainą. Ten profil czyni go najbardziej »państwowym« kandydatem. Jest umiarkowany: ani otwarcie progresywny, ani ultrakonserwatywny. Mógłby stanowić pomost między dwiema głównymi frakcjami w Kolegium Kardynalskim, które często poszukują postaci zdolnej do równoważenia interesów”, uzasadniła sztuczna inteligencja.

Wybór nowego papieża będzie czymś więcej niż tylko decyzją personalną – będzie też znakiem, w jakim kierunku zmierza Kościół. Czy będzie kontynuował reformatorski kierunek Franciszka, zawróci w stronę tradycji, czy może ruszy ku nowym, nieznanym dotąd horzontom.

Tymczasem w kuluarach medialnych po spotkaniu Donalda Trumpa z Wołodymyrem Zełenskim w bazylice św. Piotra wymienia się jeszcze trzy nazwiska, których nie uwzględnił papieski totolotek. To dwaj kardynałowie amerykańscy: Timothy Dolan, 75-letni arcybiskup Nowego Jorku, „kingmaker” papieża Franciszka, mający decydujący wpływ na jego wybór, osoba medialna, o wielkiej charyzmie, a poglądach konserwatywno-umiarkowanych, oraz Blase J. Cupich, 76-latek, arcybiskup Chicago, bliski współpracownik Franciszka popierający wiele jego reform, ale nie wszystkie, zwolennik dialogu i orędownik spraw społecznych; uważany za jednego z najbardziej wpływowych kardynałów amerykańskich i za umiarkowanego konserwatyście. Na tych dwóch kandydatach mogłoby się skupić elektorzy, gdyby nie chcieli wybrać Włocha lub przedstawiciela globalnego Południa.

Trzecie nazwisko to redemptorysta Mykoła Byczok, zaledwie 45-letni, biskup eparchii Świętych Piotra i Pawła w Melbourne dla grekokatolików w Australii, Nowej Zelandii i Oceanii. Jest najmłodszym kardynałem elektorem na konklawe, został wyniesiony do godności kardynalskiej przez Franciszka w 2024 r. To pierwszy kardynał z duszpasterstwa migracyjnego diaspory ukraińskiej i nowy głos Ukrainy w Kościele katolickim. Ale jego wybór na papieża graniczyłby raczej z cudem.

Agneszka Zakrzewicz

Problematyczne działania matematyczne

Unia Europejska nie jest państwem, nie ma więc mocy powołania pod broń armii Europejczyków

Piotr Kimla

Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski wygłosił w Sejmie coroczne exposé. Zrobiło ono chyba na Polakach dobre wrażenie. W każdym razie wszyscy, z którymi rozmawiałem, są tego zdania. Sejmowe wystąpienie umocniło pozycję szefa MSZ jako „fightera”. Było w odpowiednim natężeniu antyrosyjskie. Wojowniczy nastrój naszego ministra spraw zagranicznych w stosunku do Rosji jest już legendarny, choćby za sprawą pouczeń historycznych dawanych rosyjskiemu ambasadorowi przy ONZ i na forum tej organizacji.

Wszystkim uradowanym spektakularnymi zwycięstwami ministra Sikorskiego – jego wiktorie prędko obiegały internet – umyka jedynie fakt, że odnosi on je nie w swojej lidze. Właściwym dla niego partnerem do dyskusji jest Siergiej Ławrow, nie zaś rosyjski ambasador przy ONZ. Wszyscy ambasadorowie mają zapewne bardzo wysokie mniemanie o sobie – tak być powinno – ale my nie możemy zapominać, że są tylko urzędnikami państwowymi. Urzędnikami zobligowanymi do wiernego przedstawiania stanowiska centrali. Nie są i nie mogą być kreatorami polityki zagranicznej. Jaką korzyść kraj przyjmujący odnosiłby z ambasadora, który zamiast precyzyjnie informować władze goszczącego go państwa o stanowisku reprezentowanego przez siebie rządu, zmyślałby je i dzielił się własnymi fantasmagoriami?

Rzecz jasna, jeśli ambasador ze stanowiskiem swojego ministra spraw zagranicznych głęboko się nie

zgadza, dostrzegając, że jest niedorzeczne, oderwane od realiów panujących w danym kraju, powinien w korespondencji dyplomatycznej wskazać owe niedorzeczności i odrealnienie. Ponieważ jednak zazwyczaj jest zainteresowany dalszą karierą we wznieściej sferze dyplomacji, w korespondencji sławi przenikliwość i dalekowzroczność ministra.

W wystąpieniu ministra Sikorskiego godzi się odnotować, że tak bardzo nas nie straszył. Uspokojenia poszukiwał w działaniach matematycznych, ściślej w dodawaniu. Szedł w tym za swoim szefem, premierem Donaldem Tuskiem. Cytował nawet wypowiedź premiera, że 500 mln

stosowną. Mamy więc np. wojsko hiszpańskie, włoskie, francuskie, niemieckie, polskie, czeskie i litewskie, ale złudzeniem jest myślenie, że proste zsumowanie liczby żołnierzy tych wojsk tworzy europejską armię. Ci reprezentujący wiele nacji europejskich wojskowi mogą ze sobą ćwiczyć i współdziałać w ramach NATO, ale dlatego, że istnieje jedno państwo – Stany Zjednoczone – które jest ostateczną instancją rozstrzygającą. Istnienie tego państwa i jego status w ramach NATO powoduje, że polscy żołnierze podporządkowują się komendzie niemieckiego generała. Gdy jednak mówimy o armii europejskiej, to rozważamy sytuację,

Młodzi Niemcy nie są zainteresowani ryzykowaniem życia i toceniem wojen. Są raczej skłonni przyjąć obce panowanie, o ile nie oznacza ono utraty życia.

Europejczyków błaga 300 mln Amerykanów, żeby chronili nas przed 140 mln Rosjan. Od razu powiedzmy jasno: ta matematyka nie jest w porządku. Dotyka ona tego, co w stosunkach międzynarodowych nazywa się potęgą potencjalną. Biorąc rzecz najogólniej, na potęgę potencjalną składają się „zasoby społeczne”, które są do dyspozycji danego państwa i które mogą służyć do budowy sił zbrojnych.

Pierwszy problem z matematyką Sikorskiego i Tuska bierze się stąd, że Unia Europejska nie jest państwem. Nie ma więc mocy powołania pod broń przykładowo dziesięciomilionowej armii Europejczyków. Armie powołują poszczególne rządy państw w wielkości, jaką uznają za

w której USA znikają z pola widzenia i nie odgrywają swojej hegemonicznej roli w ramach NATO. Czy polscy wojskowi nadal będą bez szemrania przyjmować niemieckie dowództwo? A słowaccy węgierskie?

Pytać, dlaczego 500 mln ludzi obawia się 140 mln, to jakby pytać, dlaczego 500 pasażerów pociągu obawia się 14 kieszonkowców w nim grasujących. 500 pasażerów ma przewagę liczebną i potencjalną siłę mogącą zmiażdżyć tę parszywą czternastkę. Cóż z tego, skoro ta czternastka jest świetnie zorganizowana i każdy do niej przynależący może bezwarunkowo polegać na towarzyszach niecnego procederu. Pasażerowie pociągu nie znają się i ten, kto chce się przeciwstawić złodziejom,

nie wie, czy towarzysze podróży wesprą go w wysiłkach, czy zrejęterują i będą udawać, że niczego nie widzą. Na razie bowiem są bezpieczni. Przynajmniej tak im się wydaje.

Przekładając to na obecną sytuację międzynarodową w Europie, możemy sobie łatwo wyobrazić, że państwa, które czują się w większym stopniu zagrożone rosyjską agresją (Finlandia, kraje bałtyckie, Polska), będą za wszelką cenę starały się o utrzymanie amerykańskiej obecności na Starym Kontynencie, nawet za cenę rozluźnienia więzi z innymi państwami UE. Będą one wierzyć, że 300 mln Amerykanów zorganizowanych w jednym państwie i dysponujących własną armią narodową stanowi jedyną prawdziwą siłę odstraszającą. Grozi to oczywiście głębokim podziałem Europy.

Z matematyką w wydaniu Sikorskiego i Tuska jest jeszcze ten problem, że na siłę nie składa się tylko liczba dywizji. Gdyby tak było, to w ogóle nie istniałaby potrzeba wyprowadzania mas żołnierskich na pole bitwy. Wystarczyłoby, gdyby

spotkali się dowódcy armii i za pomocą zestawień liczby samolotów, okrętów podwodnych, lotniskowców i oczywiście żołnierzy rozstrzygali przy herbacie losy potencjalnych wojen. Już na początku XIX w. klarownie pouczył nas pruski generał Carl von Clausewitz, że na siłę składa się także tzw. napięcie woli. Jest to czynnik o wiele trudniej wymierzalny niż czysta siła militarna, choć i on podlega szacunkom strategów. Próbuje się go oszacować dla każdej ze stron poprzez odniesienie do wagi sprawy, o którą toczy się spór. Z napięciem woli wśród Europejczyków nie jest najlepiej. Przykładowo badania przeprowadzone wśród młodych Niemców pokazały, że nie są oni zainteresowani ryzykowaniem swojego życia i toceniem wojen. Są raczej skłonni przyjąć obce panowanie, o ile nie oznacza ono utraty życia.

Uznajmy jednak, że kapitulancie i pacyfistyczne nastroje Europejczyków szybko by się zmieniły w obliczu rzeczywistego zagrożenia. To wielce prawdopodobne. Uznajmy dalej, że Sikorski i Tusk mają rację,

gdy podkreślają większą potęgę potencjalną Europy w porównaniu z Rosją. Uznajmy, że europejskie siły udałoby się zintegrować i Europa wygrałaby wojnę z Rosją. Dlaczego nas to nie urzędują? Powód jest prosty i wskazywałem go już na łamach „Przeglądu”. W wyniku starcia europejsko-rosyjskiego Polska zostałaby zniszczona, a setki tysięcy, jeśli nie miliony Polaków zginęłyby. Powtórzłby się scenariusz z I i II wojny światowej. Za wszelką cenę trzeba tego uniknąć. Dlatego musimy być orędownikami pokoju i w tym aspekcie sekundować prezydentowi Trumpowi. Odnoszę wrażenie, że Polacy w większości rozumieją tę logikę. Tylko przedstawiciele klasy politycznej w swoich wypowiedziach ciągle jej zaprzeczają. Minister Sikorski nie chce w tym względzie oddać nikomu palmy pierwszeństwa.

Prof. dr hab. Piotr Kimla pracuje w Katedrze Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego



**Dzień Dawcy szpiku
w Twoim miejscu pracy**

Twoje miejsce pracy może stać się początkiem
czyjejś szczęśliwej historii –
zorganizuj Dzień Dawcy szpiku w swojej firmie!

Wspólnie możemy podarować komuś szansę na dalsze życie!



Zeskanuj QR kod
i dowiedz się więcej

LEWICA POLSKA NA TLE...

Nowa Lewica pociesza się większym udziałem młodych wyborców i kobiet w swoim elektoracie. Słabe to pocieszenie, gdy procentowo traci się jedną trzecią elektoratu

Sławomir Wiatr

(...) Grupą ludzi, którzy tworzyli SdRP, kierowały różne intencje. Byli wśród nich dawni pracownicy aparatu PZPR, którzy w nowej formacji widzieli szansę na kontynuację swojej politycznej i zawodowej drogi. Nie stanowili oni grupy ilościowo dominującej. Większość stanowili ludzie zaangażowani politycznie, lecz poza strukturami władzy, przede wszystkim przedstawiciele inteligencji, tacy jak nauczyciele, naukowcy, dziennikarze czy działacze społeczni. Wspólną motywacją było, odwołując się do reformatorskich tradycji PZPR, budowanie nowej lewicowej i demokratycznej partii. Wszyscy oni

aspekt funkcjonowania partii niż jej statut. Dlatego też wielu zaangażowanych w tworzenie nowej formacji z wielkim sentymentem i tęsknotą wspomina tamten okres.

Wyżej, w kontekście zachodnio-europejskich socjaldemokracji, pisałem o znaczeniu relacji partii z jej otoczeniem. To one właśnie decydowały o wpływach i sile tych partii. Ważnym aspektem ówczesnego modelu funkcjonowania SdRP była otwartość na dialog ze środowiskami otoczenia partii, nie tylko tworzącymi nieco później Sojusz Lewicy Demokratycznej. Otwartość na ten dialog nie wynikała wyłącznie lub przede wszystkim ze względów taktycznych. Jej fundamentem była kultura organizacyjna partii oraz

w miejsce dotychczasowych 49 pozostało 16 województw. Rola struktur wojewódzkich bardzo wzrosła. Ich liderzy nazwani zostali baronami, co było jedną z ilustracji zmian w relacjach wewnątrzpartyjnych. W strukturach SLD znalazło się wielu działaczy, którzy nie byli zaangażowani w tworzenie SdRP. Z punktu widzenia kultury organizacyjnej i relacji międzyludzkich możemy więc mówić bardziej o daleko idącej zmianie niż o kontynuacji. O ile spoiwem dawnej SdRP było poszukiwanie przez ludzi różnych środowisk tożsamości ideowej i organizacyjnej, to w nowej partii spoiwem tym stało się poczucie siły i perspektywa władzy. Uruchamiało to procesy przewidywalne, choć ich skutki nie ujawniały się szybko i spektakularnie. Przez kolejne dwa lata po tych zmianach partia zaangażowana była najpierw w wybory prezydenckie, potem w parlamentarne. Skutki zmian zaczęły ujawniać się dopiero po przejściu władzy.

W nowej formule i w roli partii rządzącej SLD przestał być dobrem wspólnym. Okazał się wehikułem wyborczym i instrumentem do zdobycia władzy. Wewnątrzpartyjny monitoring procesów sprawowania władzy nie istniał, tak jak zanikło życie wewnątrzpartyjne. Lokale partyjne opustoszały, gdyż większość funkcyjnych działaczy znalazła się w administracji publicznej. Sygnały o zmieniających się nastrojach społecznych oraz rosnącej frustracji w samej partii zdawały się niezauważalne. Z perspektywy życia wewnątrzpartyjnego kadencja 1993-1997 bardzo się różniła od kadencji 2001-2005. Pierwszą z nich

Likwidacja SdRP wraz automatycznym wygaśnięciem członkostwa i powstanie nowej partii zmieniły jej wewnętrzne relacje. SLD stał się bardziej hierarchiczny.

tworzyli kulturę organizacyjną SdRP. Elementem jej był pewien rodzaj nonkonformizmu. Szczególnie ludzie wcześniej niezwiązani z aparatem władzy szukali w nowej partii tego, czego brakowało PZPR – otwartej, niczym niemal nieskrępowanej wymiany poglądów.

Co do jednego jej wymiaru istniał konsensus – na zewnątrz nie wpływały najbardziej emocjonalne spory, których nie brakowało. W SdRP hierarchia była mocno spłaszczona, a relacje międzyludzkie bardzo bezpośrednie. O demokratyczności tej partii decydował właśnie typ relacji wewnętrznych. To był ważniejszy

Parlamentarnego Klubu Lewicy Demokratycznej powstałego po rozwiązaniu PZPR. Mimo przyjętej formuły kontynuacji Socjaldemokrację RP tworzyli inni ludzie, zapewne tacy, którzy gdyby nie transformacja ustrojowa w PZPR znajdowałiby się raczej na jej obrzeżach, a nie w jej centrum.

Likwidacja SdRP wraz automatycznym wygaśnięciem członkostwa i powstanie nowej partii zmieniły bardzo jej wewnętrzne relacje. SLD stał się zdecydowanie bardziej hierarchiczny. Wzrosła rola funkcjonariuszy partyjnych i aparatu. Po reformie podziału administracyjnego

SdRP i jej partnerzy kończyli z satysfakcją znacznego wzrostu poparcia społecznego. SLD uzyskał ok. 27% głosów, o 7 punktów procentowych więcej niż w wyborach, które zaprowadziły go do władzy.

Choć lewica nie wygrała tych wyborów, to dominowała w środowiskach poczucie satysfakcji z dobrze wypełnionej misji. Pierwszemu okresowi sprawowania władzy z lewej strony nie towarzyszyły żadne negatywne zjawiska zagrażające wewnętrznej równowadze. Drugiego okresu sprawowania władzy już lewica nie przeżyła bez wstrząsów, konfliktów i wreszcie podziałów.

Miarą dojrzałości organizacji, jej wewnętrznej i zewnętrznej komunikacji, jest świadomość zagrożeń potencjalnymi kryzysami i zdolność zarządzania w sytuacji kryzysowej. Ten kontekst funkcjonowania organizacji jest niezwykle poważnie traktowany w praktyce i nauce zarządzania. Na potencjalne sytuacje kryzysowe SLD nie był przygotowany. Najłabszym elementem konstrukcji nowej partii były deficyty komunikacji wewnętrznej i zewnętrznej. Istnieją pewne znane w przestrzeni zarządzania fundamenty takiej komunikacji. Najlepiej definiują je trzy słowa z tytułu podręcznika prof. Krystyny Wójcik „Public Relations. **Wiarygodny dialog z otoczeniem**” (podkreślenie S.W.).

Dialog oznacza komunikację wielokierunkową. Strony dialogu nie tylko wyrażają swoje poglądy i potrzeby, ale są otwarte na opinie oraz potrzeby partnera. Dialog oznacza bowiem partnerstwo stron. Wiarygodność przekazu w komunikacji dialogowej jest fundamentem jej skuteczności. Fałsz treści lub intencji w warunkach ciągłości procesu komunikacyjnego zagraża jego skuteczności i przerodzić się może w sytuację konfliktową. Wreszcie nie mniej kluczowe znaczenie ma pojęcie otoczenia. Żadna firma, a tym bardziej partia polityczna, nie funkcjonuje w próżni. Wokół niej znajdują się różne instytucje, organizacje, środowiska i ludzie, którzy są lub mogą być nią zainteresowani, a ich opinie i zachowania w pewnych okolicznościach, zwłaszcza

w sytuacjach kryzysowych, są pomocne lub szkodliwe. Znaczącą umiejętnością organizacji jest jej zdolność identyfikacji ważnych podmiotów swojego otoczenia i budowy z nim relacji dialogowych. Nie mniejsze znaczenie w tym kontekście ma komunikacja wewnętrzna, która buduje tożsamość organizacji, wpływa na poziom lojalności i identyfikacji członków z nią.

SLD nie budował żadnego efektywnego systemu komunikacji dialogowej ze swym potencjalnym otoczeniem. Komunikacja wewnętrzna oparta była na przekazie perswazyjnym, niekiedy wręcz oznajmującym, a więc nie partycypacyjnym.

Na potencjalne sytuacje kryzysowe SLD nie był przygotowany. Najłabszym elementem konstrukcji nowej partii były deficyty komunikacji wewnętrznej i zewnętrznej.

Gdy na tle sprawowanej władzy zaczęły się pojawiać pierwsze napięcia wewnętrzne i sygnały o kontrowersyjnych lub wręcz aferalnych zjawiskach w partii, zaczęły pojawiać się coraz głębsze kontrowersje i podziały. Afery i niby-afery wreszcie ją rozsadziły. W 2004 r. nastąpił, zupełnie dla elektoratu niezrozumiały, podział, którego efektem jest marginalizacja lewicy w Polsce.



Cały artykuł Sławomira Wiatra można przeczytać w najnowszym numerze „Zdania” (1/2025).

Brak dialogowej komunikacji wewnętrznej i zewnętrznej, ograniczenie więzi z otoczeniem społecznym do form przypominających okolicznościową akademię i rodzaj rodzinnego zdjęć, stały się słabością, która powodowała bezbronność partii w warunkach kryzysowych. Te słabości stały się cechą trwałą SLD i obecnie Nowej Lewicy. Próba budowy szerszej formuły politycznej opartej na partnerstwie, jakim była koalicja Lewica i Demokraci, szybko zakończyła swój żywot wobec braku zdolności do prowadzenia wiarygodnego dialogu między partnerami. Partnerstwo z mniejszymi partiami najbardziej uwiierało ówczesny SLD.

Przywódstwo sprowadzało się do obrony własnych pozycji w słabnącej partii. Im to przywództwo zdawało się silniejsze, tym partia była słabsza. Znaczący działacze i całe środowiska opuszczały partię lub się od niej dystansowały. Nie inaczej było przed wyborami 2023 r. Wielu znanych parlamentarzystów lewicy przeszło do Platformy Obywatelskiej.

Kontrowersyjny i daleki od poprawnie komunikowanego był proces łączenia SLD i Wiosny. Nowa Lewica walczy ze swymi słabościami, pocieszając się większym udziałem młodych wyborców i kobiet w swoim elektoracie. Słabe to pocieszenie w sytuacji, gdy procentowo traci się jedną trzecią elektoratu, a w liczbach bezwzględnych ok. 450 tys. głosów. Względnie dobry wynik wyborczy lewicy w 2019 r. był nie tyle efektem pozytywnej ewolucji w partii, co swego rodzaju premią za przetrwanie pozaparlamentarnego bytu i sygnałem, że jest społeczne zapotrzebowanie na lewicę. Lata 2019-2023 z tego punktu widzenia zostały zmarnowane. (...)

Dr Sławomir Wiatr jest wykładowcą akademickim, był posłem na Sejm kontraktowy (X kadencja), a w latach 2001-2003 podsekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

„Sztandar Młodych” – więcej niż kuźnia talentów

Wszystkie pokolenia dziennikarzy „SM” łączyła pasja: chęć tworzenia gazety na miarę ich marzeń

Paweł Dybicz

W historii polskiej prasy, nie tylko tej powojennej, nie ma gazety, która tak mocno wpłynęłaby na proces tworzenia kadr dziennikarskich. „Sztandar Młodych” był ich niekwestionowaną kuźnią. 1 maja 1950 r. ukazał się pierwszy numer pisma, które od samego początku było ewenementem. Chociaż dziennik powstał w szczytowych latach stalinizmu i otrzymał nazwę w pełni oddającą klimat tamtych lat, nierzadko był redagowany niezgodnie z intencjami i wytycznymi władz. Zespół redakcyjny tworzyli dziennikarze młodego pokolenia, którzy trafili do tego zawodu i weszli w dorosłość w czasie wojny, ludzie mający za sobą członkostwo w lewicowych organizacjach, służbę w Wojsku Polskim (u Berlinga i Andersa), ale także przynależność do Armii Krajowej i... tzw. żolnierzy wyklętych. Łączyła ich, tak jak kolejne pokolenia dziennikarzy, jedna wielka pasja: chęć tworzenia gazety na miarę ich marzeń. W Polsce takiej, jaka była, bo innej w tamtych czasach być nie mogło.

Musi zastanawiać, dlaczego do tej pory nie ukazała się monografia „Sztandaru Młodych”, choć przecież nie brakowało ani nie brakuje autorów, którzy mogliby się podjąć jej napisania. Co jest powodem? Czyżby niechęć do autoreklamy, robienia bilansu? Nieliczni, jak Krzysztof Kąkolewski, jednak spisali swoje wspomnienia.

Ten brak monografii „SM” należy tłumaczyć dwójako. Po pierwsze,

w ogromnej większości dziennikarze tej gazety czynni byli niemalże do końca życia. Pisali teksty, redagowali je, tworzyli programy radiowe i telewizyjne. Ale wielu też odeszło młodo, nie pozostawiając po sobie żadnych wspomnień.

Po drugie, napisanie historii tego dziennika wymaga olbrzymiej pracy, wertowania jego roczników, zapoznania się z rozproszonymi publikacjami na jego temat, zebrania relacji osób jeszcze żyjących. Co zatem zrozumiałe, mój tekst nie może spełnić wymogów całościowego opisu „Sztandaru Młodych”. Pragnę jedynie zasygnalizować pewne wątki, bez których jakakolwiek opowieść o tym dzienniku jest niemożliwa.

Dziennikarze „Sztandaru Młodych” zawsze chcieli tworzyć gazetę dla czytelnika, a nie redagować ją „pod władzę”. Wyrazem tego jest historia związana z ukazaniem się pierwszego numeru. W redakcji przygotowania do niego trwały kilka tygodni. Wydrukowano numer próbny, który niebawem jako pierwszy miał się znaleźć w sprzedaży. Ówczesny redaktor naczelny Stanisław

„Sztandar Młodych” to nie interesujący przyczynek do dziejów polskiego dziennikarstwa oraz politycznej historii mediów w PRL. To wielki element tego, co należy nazwać historią Polski Ludowej, początków III RP.

**Michał Przeperski,
„Komisja Prasowa KC PZPR
1956-1957”**

Ludkiewicz ze świeżo wydrukowanym egzemplarzem próbnym pojawił się w gmachu KC. Tam odpowiedzialni towarzysze tylko rzucili okiem na egzemplarz i zadali krótkie, acz znaczące pytanie: „A gdzie portrety przywódców?”. Ludkiewiczowi nie trzeba było mówić, co ma zrobić. Od razu wybiegł do redakcji, gdzie przekierowano pierwszy numer i na pierwszej stronie znalazły się portrety prezydenta RP Bolesława Bieruta, sekretarza generalnego KC WKP(b) Józefa Stalina i marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego. Pierwszy egzemplarz nabrał więc propagandowego charakteru. Kolejne podobnie, co nie oznacza, że nie było w nich odzwierciedlenia normalnego życia młodych Polaków.

„Sztandar Młodych” był pierwszym polskim dziennikiem, który miał klasyczne wydanie weekendowo-magazynowe, z francuska zwane dimanche. Stworzone na wzór gazety Francuskiej Partii Komunistycznej „L’Humanité” przez pracującego w niej emigranta, który po wojnie wrócił do Polski, było połączeniem dziennika z tygodnikiem. To w wydaniu dimanchowym ukazywały się teksty pozainformacyjne, reportaże, szkice, większe wywiady, autorstwa zarówno dziennikarzy „Sztandaru”, jak i współpracujących z redakcją literatów czy ludzi nauki. Ludzi, których nazwiska wiele znaczą.

To w takim dimanchowym wydaniu wydrukowany został, na długo przed Październikiem ’56, głośny reportaż Ryszarda Kapuścińskiego o życiu robotników w Nowej Hucie,



Ogólnopolskie Warsztaty Dziennikarskie „Sztandar Młodych” Brok '86.

odróżniał się od innych centralnych gazet. I choć zespół redagujący starał się obudować przekaz propagandowy, ideologiczne przesłanie, tekstami z innych działów, głównie z zakresu kultury i sportu, odczuwało się, że coś jest nie tak, że przyjęty kierunek nie jest właściwy.

•
Potrzebę zmian w dzienniku dostrzegli co rozsądniejsi jego dysponenci, ulokowani nie tylko we władzach wydawcy – Młodzieżowej Agencji Wydawniczej – ale przede wszystkim w centrali partyjnej. Dokonano zmian w kierownictwie redakcji, obsadzając na stanowisku naczelnego Aleksandra Kwaśniewskiego, dotych-

który wywołał ogromne poruszenie, także wśród elit rządzących.

•
Wydarzeniem daleko wykraczającym poza zasięg czytelników „Sztandar Młodych” było opublikowanie 21 postulatów strajkujących stoczniovców w sierpniu 1980 r. (28.08.1980). Nie tylko uczestnicy i świadkowie historii toczyli dyskusje, a inni zastanawiali się, jak do tego doszło, na ile była to samodzielna decyzja kierownictwa redakcji, a dokładnie ówczesnego jej szefa Jacka Nachyły. Trudno uwierzyć, że ogłoszenie drukiem tych postulatów nie odbyło się za zgodą czynników wyższych niż redaktor naczelny. Był to z pewnością wynik walki kadrowej toczonej już na szczytach partyjnej władzy, tworzenia się nowej ekipy partyjno-rządowej, ale nie zmienia to faktu, że ogłoszenie postulatów w „SM” było miarą siły i pozycji gazety na rynku medialnym, jej roli i znaczenia. Nie wydrukowano ich przecież ani w partyjnym organie – „Trybunie Ludu”, ani w związkowym „Głosie Pracy”, nie mówiąc już o „Żołnierzu Wolności”.

•
W tzw. karnawale Solidarności dziennik nie należał do mediów,

które postrzegały ten związek jako zdeklarowanego wroga socjalistycznej ojczyzny. W stonowany sposób wyraźnie jednak wskazywał, że podważanie struktur państwa, permanentne strajki, antyradziecka retoryka aktywistów związkowych i ich działania utrudniają porozumienie i stwarzają zagrożenie dla Polski, w domyśle – mogą sprowokować interwencję Moskwy.

W historii polskiej prasy nie ma gazety, która tak mocno wpłynęłaby na proces tworzenia kadr dziennikarskich. „Sztandar Młodych” od samego początku był ewenementem.

„Sztandar” nie ukazał się 14 grudnia 1981 r. i dopiero 11 lutego ponownie pojawił się w kioskach. Rządzący nie byli do końca pewni postawy dziennikarzy, część pamiętała ich bunt będący sprzeciwem wobec zwolnienia naczelnego po druku 21 postulatów i wywiadu z Jackiem Kuroniem (9.11.1981), a do tego mieli poważniejsze problemy na głowie niż reaktywacja gazety.

Nie da się zaprzeczyć, że lata 1982-1984 nie były łatwe dla dziennika. KC robił wiele, by „SM” nie

jego współpracownicy ze studenckiego tygodnika (Waldemar Siwiński, Jacek Kluczkowski), a odeszli ci, którym nie było po drodze z nowym naczelnym.

Trzeba mocno podkreślić, że nowe kierownictwo w redakcji postawiło sobie za cel uczynienie ze „Sztandar Młodych” czegoś więcej niż periodyku, widziano dla niego rolę inicjatora zmian i promowania przejawów nowoczesności. To w okresie szefowania Kwaśniewskiego pojawiło się – najpierw jako ▶

▶ wkładka, a potem jako samodzielny miesięcznik – pismo komputerowe „Bajtek”, pierwsze w Polsce, które dzięki Waldkowi Siwińskiemu i Romanowi Poznańskiemu przez lata było swoistą biblią i encyklopedią dla miłośników i znawców komputerów osobistych. Pod kierownictwem Kwaśniewskiego jeszcze bardziej wzrosło na łamach znaczenie kultury, nauki i sportu.

Oceniając te dwa lata Aleksandra Kwaśniewskiego w „Sztandarze Młodych”, należy powiedzieć o czymś, czego on sam nie mówi, a inni, choćby jego biografowie,

z tych terenów, o ich problemach, poglądach i działaniach przyszło mu rozmawiać na kolegiach, czytać o nich teksty przed drukiem. Także bywać wśród nich na imprezach, których dziennik często był współorganizatorem bądź patronem. Czasami to poznawanie problemów innych środowisk przybierało w redakcji humorystyczne oblicze, np. redaktorzy działu wiejskiego postulowali, by zakupić im gumowce, bo w pantoflach trudno się poruszać po wiejskich polach. Dwuletni pobyt Kwaśniewskiego w „SM” owocować będzie szczególnie w pierwszych latach po 1989 r. Poznani w tym czasie

politycznym. „Express Wieczorny” wraz z okazałym budynkiem przypadł partii Kaczyńskich, a „Sztandar Młodych” – Konfederacji Polski Niepodległej. Odwołano z funkcji redaktora Jerzego Domańskiego, który uczynił z „SM” pierwszą centralną gazetę całkowicie tworzoną na komputerach, a w jego miejsce powołano Krzysztofa Króla, zięcia szefa KPN Leszka Moczulskiego. Mało roztropna, najdelikatniej mówiąc, decyzja komisji spotkała się z ogromnym sprzeciwem zespołu, który murem stanął za dotychczasowym naczelnym, a do tego odwołał się do czytelników, drukując najnowszy numer z wyraźnym przekazem: Czytelniku, kradną Ci gazetę. Bo to naprawdę była kradzież.

Silny sprzeciwu oraz jedno-myślności w poparciu Jerzego Domańskiego, wyrażonych m.in. złożeniem wymówień z pracy, nie spodziewała się nie tylko komisja, ale i ekipa Mazowieckiego, z której co najmniej dwóch ministrów miało wpływ na oddanie gazety KPN. O proteście w redakcji informowały media krajowe i zagraniczne. Ci, którzy głosili potrzebę upodmiotowienia dziennikarzy i samodzielności zespołów redakcyjnych, postawili się w trudnej sytuacji, bo podejmowali takie same ruchy jak krytykowanie przez nich partyjni decydenci. Musieli się wycofać z decyzji, bo zderzyli się z dezaprobatą wielu znaczących ludzi, nawet z ich środowiska (choćby Stanisława Stommy), oburzonych przyznaniem „SM” KPN.

Nawiasem mówiąc, o braku wyobraźni komisji niech świadczy to, że również przyznany KPN tygodnik „Razem”, świetnie redagowany i niezwykle dochodowy, błyskawicznie przeistoczył się w biuletyn Konfederacji i szybko zakończył żywot. Podobnie jak „Express Wieczorny” pod władztwem braci Kaczyńskich.

Po nieudanym przejęciu dziennika przez KPN Komisja Likwidacyjna RSW zmieniła taktykę. Wydała decyzję o sprzedaży tytułu, wyznaczając cenę wywoławczą 12 mld zł (przed denominacją), co wówczas równało się 1 mln dol. Utworzona po przetargu z różnych podmiotów spółka



Spotkanie w redakcji z prof. Leszkiem Balcerowiczem, 21 czerwca 1993 r.

nie dostrzegają: o roli i wpływie gazety na jego dalszą karierę i stanie się pełnowymiarowym politykiem. Jestem głęboko przekonany, że gdyby nie „Sztandar Młodych”, to Aleksander Kwaśniewski pewnie znalazłby się w kierowniczych gremiach rządowo-państwowych, ale skupiałby się na kulturze czy sporcie. To „Sztandar Młodych” wyprowadził go z bańki studencko-kulturalno-rozrywkowej. To w nim tak na dobrą sprawę zetknął się z innym środowiskiem niż wielkomiejskie, kulturalno-uczelniane. To w „SM” poznawał ludzi z kręgów robotniczych i wiejskich, ze środowisk powiatowych i małomiasteczkowych. O ludziach

ludzie będą często pomocni w tworzeniu lewicowej partii SdRP i sukcesu SLD, ale przede wszystkim w walce o prezydenturę.

Po wygranych przez Solidarność wyborach z czerwca 1989 r. jej działacze i sympatyzujący z nimi dziennikarze zaczęli się domagać likwidacji concernu RSW. Rząd Tadeusza Mazowieckiego powołał Komisję Likwidacyjną RSW, której przewodniczył Jerzy Drygalski, a w jej skład wchodził młody działacz z Gdańska... Donald Tusk. Szermując hasłami odpolitycznienia mediów, komisja zaczęła przyznawać poszczególne tytuły prasowe i ich majątek... partiom



Kolegium redakcyjne „Sztandaru Młodych”, październik 1993 r.

Szwajcarski wydawca nie był wyznawcą filozofii, że aby pieniądze zarobić, trzeba je najpierw wydać. Nie był skory do większego inwestowania w dziennik. Grupa zarządzająca Marquard Media Polska nie rozumiała, że trzeba mieć w portfolio tytuły tabloidowe (większość po latach i tak upadła) oraz tytuł z wyższej półki, powiązany z inicjatywami wydawniczymi – myślę tu o książkach, płytach, grach edukacyjnych czy rozwijającym się wtedy internecie. Jürg Marquard był nastawiony jedynie na zysk. Osiągnął go i zwinął swój biznes. Ot, jeszcze jeden rozdział z dziejów polskiej prywatyzacji.

SM-Media nie była w stanie organizacyjnie i koncepcyjnie sfinansować rozwoju gazety. I tak doszło do jej sprzedaży szwajcarskiemu koncernowi Marquard Media International. Wówczas gazeta ukazywała się na rynku prasowym pod nazwą „Sztandar” i stała się dziennikiem informacyjnym nie tylko dla młodzieży.

Ostatnim numerem „Sztandaru” było piątkowo-sobotnie wydanie z 25-27 lipca 1997 r. Wielu dziennikarzy, badaczy mediów, a i czytelników zastanawiało się, dlaczego upadł taki dziennik, sprzedający się na progu lat 90. w prawie 400 tys. egzemplarzy. Przyczyn jest wiele, ja wskażę jedynie kilka.

Początek lat 90. to ogromne zmiany na rynku medialnym, nie tylko prasowym, ale tego ostatniego się trzymajmy. Do Polski weszły potężne zagraniczne koncerny prasowe, głównie niemieckie. Oferując wysokie zarobki, podkupowały do swoich pism ludzi, których nie trzeba było uczyć dziennikarstwa, redagowania. Następową tabloidyzacja polskiej prasy, której „Sztandar Młodych” nie chciał ulec. Lata 90. to szczytowy okres wpływów „Gazety Wyborczej”, której sprzyjała cała grupa kierownicza SLD, w znacznie większym

stopniu niż „Trybunie”. Elity Sojuszu, nawet te wywodzące się z mediów, nie widziały potrzeby wzmacniania „Sztandaru Młodych”, którego czytelnicy w większości sympatyzowali z szeroko rozumianą lewicą.

Nie bez znaczenia była zmiana naczelnego – Jerzego Domańskiego zastąpił Michał Komar. Człowiek wielkiej erudycji, autor z dużym dorobkiem, ale niepotrafiący się odnaleźć w dzienniku. Według mnie zrobiono

„Sztandar Młodych” był pierwszym polskim dziennikiem, który miał klasyczne wydanie weekendowo-magazynowe, z francuska zwane dimanche.

mu krzywdę, obsadzając go w roli naczelnego gazety codziennej. Nie „czuł” jej (co innego byłoby w tygodniku kulturalnym), do tego otoczył się ludźmi z solidarnościową przeszłością. Ponadto nie ukrywał ówczesnych sympatii politycznych, choćby przy okazji wyborów prezydenckich w 1995 r. Wiedział, że rywalem Lecha Wałęsy jest Aleksander Kwaśniewski, były naczelnym „SM”, mimo to skierował redakcję na tory popierania dawnego lidera Solidarności. Czytelnicy „Sztandaru” szybko to zauważyli i zaczęli odchodzić od tytułu.

Na początku napisałem, że „Sztandar Młodych” był kuźnią talentów. Długa jest lista dziennikarzy, publicystów, autorów, którzy mają w życiorysach sztandarowy epizod lub byli z nim ściślej związani. Wymienienie ich wszystkich zajęłoby wiele stron. Napiszę tylko ogólnie, że ze „Sztandaru Młodych” wyszło wielu dziennikarzy, redaktorów, którzy zasilili czołowe, niekiedy wysokonakładowe polskie pisma,

byli ich naczelnymi. Nie miała grupa trafiła do TVP, odciskając swoje piętno na tej instytucji.

Wszystkim ludziom „Sztandaru Młodych” – tym, których już nie ma wśród nas, i tym, którzy nadal ciągną dziennikarski wózek, mówię w imieniu czytelników i oczywiście swoim: wielkie dzięki! I bądźcie pewni, prędzej czy później powstanie poważna monografia o naszym dzienniku.

Paweł Dybicz, dziennikarz „SM” w latach 1982-1995
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

KTO URATUJE AMERYKĘ?

Protesty „Hands Off” zorganizowano w 1,4 tys. miejsc. Były to pierwsze na taką skalę manifestacje, odkąd Trump wrócił do władzy

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Kiedy pod koniec lat 90. przyjechałam do USA, nie myślałam, że sobotnie poranki będę spędzać na klejeniu transparentów, a popołudnia na manifestacjach. Nie wpadłoby mi do głowy, że moim amerykańskim córkom będę opowiadać o działaniu w opozycji, w dodatku nie po to, aby poznały losy polskich przodków, lecz by wiedziały, co robić, gdy same znajdą się na barykadach, zmuszone przez historię do działania.

Sobota 5 kwietnia była kolejną, gdy zostałam wezwana na protesty pod hasłem „Hands Off” („Odczepcie się”). Malując transparent, zdałam sobie sprawę, że gdybym zachowała na pamiątkę wszystkie, które przygotowałam w ostatnim dziesięcioleciu, złożyłyby się na imponujący stos.

Canada, we hate him too!

Gdy dotarłam do punktu zbiórki w mieście, w którym mieszkam, Fort Collins w stanie Kolorado, pierwszym, co mnie uderzyło, był tłum. Na trawnikach parku Civic Center zabrakło dla niego miejsca i właśnie zaczął się wylewać na sąsiednie ulice, które policja zaczęła wyłączać z ruchu. Rzecz druga – zdumiała mnie niezwykła różnorodność przyniesionych na protest hasel.

Najmocniej oberwało się DOGE – agencji Muska, która pod przykrywką

szukania oszczędności w budżecie tak naprawdę rozmontowuje systemy najważniejszych zabezpieczeń społecznych, takich jak emerytury federalne (Hands off Social Security!), ubezpieczenia dla emerytów (Hands off Medicare!), opieka zdrowotna dla najuboższych (Hands off Medicaid!), a przy okazji bezprawnie zamraża fundusze na badania naukowe (Hands Off Universities!), pomoc międzynarodową (USAID Saves Lives!) i akcję klimatyczną (Hands Off Renewable Energy!) oraz łamie prawa pracowników federalnych (DOGE Is Dismantling Our Government Efficiently). Obrońcy konstytucji i praw imigrantów przypominali, że są one

Amerykane nie głosowali na rządy oligarchów, a od członków rządu naród wymaga kompetencji, nie kultu jednostki.

łamane (Bans Off Our Books!, ICE Is Only for Drinks, not Legal Immigrants!), a praw międzynarodowych – że epoka podbojów kolonialnych dawno się skończyła (Hands Off Greenland!). Na otaczających mnie transparentach Musk i Trump występowali w najróżniejszych odstonach – były porównania do faszystów (Resist like It’s 1938 Germany) i przypomnienia, że Amerykanie nie głosowali na rządy oligarchów (No Kings Here Since 1776), a od członków rządu naród wymaga kompetencji, nie kultu jednostki (I was added to this protest by a Signal group chat).



Była też solidarność z Kanadą (Canada, We Hate Him Too), a liczna grupa przyprowadziła na demonstrację swoje czworonogi, nowy symbol opozycji (Dogs Not DOGE, Today I Need To Bite Nazis).

Babcia na czele milionów

Manifestacja przebiegła spokojnie, lud MAGA albo nic o proteście nie wiedział, albo go zlekceważył. Świadkiem konfrontacji stałam się dopiero w drodze powrotnej. Przed

przejściem dla pieszych, na które weszłam wraz z utykającą starszą kobietą, zatrzymał się pick-up przyozdobiony flagami MAGA i konfederatów (w dzisiejszych czasach symbol utożsamiania się z białą supremacją). Kobieta natychmiast skrzyła i podetknęła młodemu kierowcy pod nos swój transparent. „Masz babcię?”, zapytała. „Kochasz ją?”. Znów potwierdził. „Gotów jesteś wziąć ją na utrzymanie?”. Ściągnął brwi. „To oswój się z tą myślą. Los jej emerytury i ubezpieczenia wiszą na włosku”, doradziła kobieta. „Fake

Protesty „Hands Off” niemal wszędzie były liczniejsze, niż się spodziewano. Wiec w Fort Collins, 5 kwietnia 2025 r.



news! – młodzian wreszcie zareagował słownie. – Musk tylko czyści rząd z korupcji!”. „A tak, słyszałam, że tak to nazywa. Myślisz, że przyszedłbym tu dziś w stanie, w jakim jestem, gdyby to był fake news? Mam nadzieję, że dobrze zarabiasz, bo opieka medyczna dla seniorów jest bardzo kosztowna”, zakończyła i pomaszzerowała na drugą stronę ulicy. Młody kierowca i jego pasażerowie odprowadzili ją wzrokiem, ale żaden już się nie uśmiechał.

Protesty „Hands Off” odbyły się w 1,4 tys. miejsc w Ameryce i niemal wszędzie były liczniejsze, niż się spodziewano. W Bostonie zamiast 10 tys. maszerowało 100 tys. ludzi. W Nowym Jorku pochód rozciągnął się wzdłuż Piątej Alei. Były to pierwsze na taką skalę manifestacje, odkąd Trump wrócił do władzy. Prawdopodobnie przebiły liczbą uczestników słynny Marsz Kobiet z 21 stycznia 2017 r., który swego czasu stał się największym jednodniowym protestem w historii USA. Gdy powstawał ten tekst, wciąż nie było dokładnych danych na ten temat – szacunki wskazywały 3-5 mln – ale, jak napisała dziennikarka i uczestniczka marszu w San Francisco Rebecca Solnit: „Relacje naocznych świadków potwierdzają, że pobiliśmy tamte liczby, i to znacząco” („Millions Stood Up: April 5 Hands Off Day of Action”,

meditationsinanemergency.com, 6 kwietnia 2025 r.).

Protesty? Jakie protesty?

Popularność protestów „Hands Off” nie dziwi nikogo, kto na nich był osobiście. Dzięki nim Amerykanie, którzy nie głosowali na Trumpa (jest ich większość – Trump zdobył 49,8% głosów), w końcu mieli okazję przypomnieć Waszyngtonowi o swoim istnieniu. Zrobili to w poczuciu, że mimo upływającego czasu wciąż nie mogą liczyć na swoich liderów. Gdy w grudniu ub.r. pisałam na łamach „Przeglądu” o milczeniu i niemocy, które spętały demokratów po wyborach, nie sądziłam, że cztery miesiące później sytuacja się nie zmieni. Chlubnym wyjątkiem pozostaje jedynie duet Bernie Sanders-Alexandria Ocasio-Cortez, który miesiąc po inauguracji prezydentury Trumpa porzucił Waszyngton i jeździ po kraju na spotkania pod hasłem „Fighting Oligarchy” (Walcząc z oligarchią). I przyciąga na nie rekordowe tłumy. Gdy 21 marca para odwiedziła Denver w Kolorado, pod stanowym Kapitołem zebrało się 34 tys. osób.

Byłam zdumiona, gdy wieczorem po proteście przeglądałam internet. Media społecznościowe kipiały od fotorelacji, jednak MAGA, w imieniu której wypowiedział się sam Donald

Trump, wyparła manifestacje ze świadomości, stwierdzając, że marne „kilka tysięcy osób”, które wzięło w nich udział, to agenci optaceni przez „ludzi Sorosa” i powinni być za to ukarani. Prawicowe media kompletnie sprawę przemilczały – dla wyborców Trumpa to dodatkowy argument za tym, że protesty były „fake newsem”. Ale okazało się, że i media mainstreamowe dały plamę. „New York Times”, „Washington Post”, MSNBC, C-SPAN, ABC – wszystkie tego dnia zamieściły ledwie wzmianki bądź pokazały w wiadomościach kilkunastosekundowe migawki z protestów. Na marsz swoich dziennikarzy wysłała tylko CNN.

Refleksje nasuwają się same. Albo już znaleźliśmy się w rzeczywistości, w której lęk przed zemstą Trumpa jest głównym czynnikiem, który ją kształtuje, albo medialny establishment nie zdawał sobie w pierwszym momencie sprawy z tego, z czym naprawdę miał do czynienia. Niewykluczone, że jedno i drugie. Skupmy się na tym drugim.

Działać lokalnie, uderzać totalnie

Pierwsze informacje o protestach „Hands Off” znalazłam w mediach społecznościowych kilka dni po wizycie Sandersa i Ocasio-Cortez w Denver. Właśnie wtedy w tradycyjnych mediach pojawiły się doniesienia na temat niebywałego sukcesu ich tournée po kraju. Protesty organizowała koalicja zaledwie kilkunastu organizacji prodemokratycznych i wolnościowych. Czy inspiracją stały się wściekłe tłumy na wiecach waszyngtońskiego duetu? Bardzo możliwe. Czy te same tłumy podpowiedziały organizatorom, że nie będzie żadnego sztabu głównego, a protestujący będą się skrzykiwać lokalnie, oddolnie? Kto wie. Można za to być prawie pewnym, że właśnie ta „lokalność” manifestacji sprawiła, iż umknęły one uwadze medialnego mainstreamu. Choć dokładnie z tego samego powodu odniosły ▶

► tak spektakularny sukces, osiągnęły swój cel – pozierały rozsypaną po wyborach opozycję.

Tłumaczy to Jennifer Rubin, współorganizatorka marszu „Hands Off” w Waszyngtonie, była konserwatywna publicystka dziennika „Washington Post”, która po szturmie na Kapitol zmieniła poglądy i dziś prowadzi prodemokratyczną platformę dziennikarską The Contrarian: „Skoordynowane protesty ogólnokrajowe nie zawsze pozwalają wybrzmieć pełnej skali ludzkiego gniewu i determinacji. »Hands Off« stworzyły taką możliwość, dając pole do obrony prawa, demokracji i konstytucji. Moim zdaniem to jest przepis na przyszłość i myślę, że dopiero zaczynamy” („»Hands Off« Protests & The New Resistance”, Velshi/MSNBC, 6 kwietnia 2025 r.).

Drugą rzeczą, która być może stała za faktem, że skala protestów tak zaskoczyła cały establishment, było przeświadczenie, że lewica się nie organizuje, bo wie, że w tym momencie i tak nie zdoła niczego wywalczyć. Eksperci przypominają

Chandler James należy do grona ekspertów, którzy w ostatnich protestach widzą analogię do sytuacji z lat 2009-2010. Na fali kontestacji polityki Baracka Obamy koalicja wyborców z obu stron politycznej barykady stworzyła „ruch herbaciany” (Tea Party). W wyborach uzupełniających w 2010 r. „herbaciarze” wydatnie pomogli republikanom przejąć Izbę Reprezentantów. „Zakładając, że ludzie nie przestaną protestować, można się spodziewać, że ambitni i odważni politycy zagospodarują ten gniew i przekazują go w regularny ruch polityczny. A to już będzie siła sprawcza”, przewiduje James.

Świąteczka w tunelu

Brzmi rozsądnie. Jednak w świetle wydarzeń z przełomu roku 2020 i 2021, gdy Trump podważał wynik wyborów, według „ukradzionych”, a także jego niczym już niemaskowanych możnowładczych ambicji, nie można sobie nie zadawać pytania, czy taki ruch będzie mógł się stać siłą sprawczą. Do najbliższych

sygnałów, że jest nadzieja dla demokratycznej Ameryki. Najważniejsze to zwycięstwa demokratów w kilku elekcjach specjalnych, które odbyły się w marcu. Największym zwycięstwem jest powołanie Susan Crawford na sędzię w stanowym Sądzie Najwyższym w Wisconsin (1 kwietnia 2025 r.). Radość demokratów jest tym większa, że wyścig do tego stanowiska został przez wielu okrzyknięty swoistym referendum na temat działań DOGE. Elon Musk usiłował je bowiem kupić, pompując w kampanię republikańskiego rywala Crawford 21 mln dol.

Powodem do świętowania była też wygrana dwójki demokratów walczących o fotele w stanowym Kongresie Pensylwanii. Pensylwania jako stan wahający się zagłosowała w ubiegłym roku na Trumpa, a wspomniane wybory odbyły się w hrabstwach, które dały mu wówczas kilkunastopunktową przewagę.

Wielką inspiracją dla amerykańskiej lewicy stało się też 25-godzinne wystąpienie w Kongresie demokratycznego senatora Cory’ego Bookera ze stanu New Jersey. Booker podjął się tego wyczerpującego maratonu nie tylko po to, by skrytykować rządu Trumpa, lecz również dlatego, by – jak sam to określił – pokazać swojej partii, „jak wygląda działanie, gdy zostaliśmy odcięci od władzy w Waszyngtonie”. Senator z New Jersey pobił tą przemową ustanowiony 68 lat temu rekord Stroma Thurmonda, byłego suprematysty, który wystąpieniem trwającym 24 godziny i 18 minut oprotestowywał zmiany w prawach obywatelskich.

Wreszcie nadzieję w serca wlewa postawa sądów, które w dużej mierze zachowują się tak, jak powinny. To również rzecz nie do przecenienia – wszak jednym z najważniejszych osiągnięć Trumpa za pierwszej kadencji było obsadzenie zarówno sądów federalnych, jak i Sądu Najwyższego konserwatystami. Sąd Najwyższy zezwolił co prawda Białemu Domowi na wykorzystanie przestarzałego, XVIII-wiecznego prawa, Alien Enemies Act, do ogłoszenia, że USA są w stanie wojny z Wenezuelą i wobec tego mogą

Ludzie, którzy nie głosowali na Trumpa, w końcu mieli okazję przypomnieć Waszyngtonowi o swoim istnieniu.

tymczasem, że „mobilizacja dla mobilizacji” często jest instynktowna, ma głęboki sens i odgrywa niebywale ważną społeczną rolę. „Jeśli w ludziach narasta poczucie, że działania rządu niszczą ich dobrostan, gromadząca się energia będzie szukać ujścia. To naturalna potrzeba”, tłumaczy Chandler James, politolog z Uniwersytetu Oregonu i badacz ruchów społecznych („What comes next?”, Langley Advance Times, 9 kwietnia 2025 r.).

James dodaje, że tego typu protestom politycy powinni się przyglądać ze szczególną uwagą. I to politycy obu stron. Marsze „Hands Off” odbyły się przecież w wielu miejscach, które dotąd konsekwentnie głosowały na Trumpa. Wszędzie też tłumnie uczestniczyli w nich weterani, dotąd żelazna baza MAGA. Protestowali, bo DOGE ostrzy sobie zęby na ich kombatanckie ulgi i świadczenia.

wyborów uzupełniających mamy ponad półtora roku, a Trump już zachowuje się jak cesarz. Trzy miesiące temu wydawało się niemożliwe, by legalny imigrant mógł zostać przez niego bezprawnie wysłany do zagranicznego więzienia. A jednak historia Salwadorczyka Kilmara Garcii, oskarżonego o przynależność do gangu MS-13, rozegrała się na oczach całej Ameryki. Trump zaś, mimo nakazu sądu, nie ma zamiaru sprowadzić Garcii z powrotem do domu.

Scenariusz, że kolejne wybory naprawdę mogą zostać sfałszowane i nic z tym nie da się zrobić, wcale nie wydaje się taki nierealny. Zwłaszcza, że Partia Republikańska i wyzucony na własne życzenie na margines historii Kongres nie przybędą przecież demokracji na odsiecz.

Pozostajmy jednak optymistami i do budującego obrazka protestów „Hands Off” dorzucmy kilka innych

od ręki deportować imigrantów z Wenezueli do więzienia w Salwadorze, ale jednocześnie nakazał Trumpowi dołożyć starań, by wspomniany Kilmar Garcia został jak najszybciej połączony z rodziną. Sądy niższej instancji także zablokowały już ponad 100 „praw” wprowadzonych przez Trumpa za pomocą rozporządzeń wykonawczych.

Czy to wystarczy?

Skoro zatem demokratyczna Ameryka wydała głos i tupnęła nogą, to czy teraz wystarczy tylko zadbać, by ten głos wybrzmiewał

Duet Bernie Sanders-Alexandria Ocasio-Cortez miesiąc po zaprzysiężeniu Trumpa porzucił Waszyngton i jeździ po kraju na spotkania pod hasłem „Fighting Oligarchy”.

głośniej i częściej, a nacisk na władzę był wystarczająco bolesny? Czy nie ta właśnie metoda doprowadziła półtora roku temu do zmiany władzy w Polsce? Obawiam się, że to naiwne założenie. Amerykanów od Europejczyków, a od Polaków zwłaszcza, różnią dwie podstawowe rzeczy. Pierwsza to brak, już od bardzo długiego czasu, tradycji protestu, który obywatel podejmuje ze świadomością, że nawet jeśli protestuje pokojowo, i tak może stać się celem represji: wyłądownąć w areszcie, więzieniu, narazić na niebezpieczeństwo najbliższych. Druga to brak tradycji radykalnego protestu w skali ogólnokrajowej, który przybiera formę nie dwugodzinnego spaceru w weekend główną ulicą miasta, ale systemowego, solidarnego bojkotu ekonomicznego w różnych sektorach gospodarki, na który władza musi odpowiedzieć.

Z czego wynikają te różnice? Pierwsza z tego, że większość Amerykanów żyje w błogim przekonaniu, iż prawo do pokojowych manifestacji jako zapisane w konstytucji jest nie do podważenia i jest im dane na zawsze. Przeświadczenie to wzmacnia fakt, że mimo wielu kryzysów ich konstytucyjna republika z każdego wychodziła obroną ręką.

Druga różnica martwi mnie dużo bardziej. Życie współczesnego Amerykanina, nad którym nie rozpina się jak nad Europejczykiem parasol ochronny, upływa w realnym strachu o przetrwanie. O miejsce pracy, którego nie chronią cywilizowane przepisy o zatrudnieniu, o zdrowie, bo przez chorobę z dnia na dzień można zbankrutować na skutek długu medycznego, o oszczędności na emeryturę, bo Social Security nie pokryje potrzeb, a odłożyć na nią w drugim filarze nie ma z czego. Niemal połowa amerykańskich podatników nie płaci federalnego podatku od dochodów, bo zarabia poniżej progu

dochodowego. Ogromna rzesza zajęta jest więc na co dzień wiązaniem końca z końcem i trudno uwierzyć, że byłaby gotowa zastrajkować w dzień powszedni. Ideały nie postawią na stole kolacji dla dziecka, nie wleją do baku paliwa i nie pomogą spłacić kredytu za studia – a spłacić go trzeba. To jedyny rodzaj długu, którego Amerykanie nie mogą się pozbyć nawet w sytuacji bankructwa i który

wisi nad nimi – dosłownie – do grobowej deski. Bardzo bym chciała, by ta ponura ocena stanu amerykańskiego ducha była nietrafiona.

Biały Dom zaorze się sam?

Czego więc oczekiwać? James Carville, polityczny strateg, twórca kultowego hasła „Gospodarka, głupcze” i doradca kilku demokratycznych prezydentów, jest zdania, że amerykańska demokracja ocalleje, bo rząd Trumpa załamię się pod własnym ciężarem. Carville od początku zresztą doradzał demokratom, by „grali na opasa” (przewrócić się i udawać martwego) i nie przykładali ręki do żadnego politycznego projektu konserwatystów. Globalna wojna celna jego zdaniem tylko przybliżyła moment implozji. „Demokraci właśnie dostali szansę, by pozwolić republikanom wykrwawić się jako partii trzymającej w rękach pełnię władzy. Błagam, nie stawajmy im na drodze!”, napisał 14 kwietnia w felietonie dla dziennika „New York Times” („How to Turn Trump’s Economic Chaos Against Him”).

Historia lubi zaskakiwać. Trzymajmy się myśli, że zaskoczy nas pozytywnie i zrobi to jak najszybciej.

Eliza Sarnacka-Mahoney

POROZRYWANE STANY



Błyskotliwa analiza „amerykańskiej duszy” i politycznych wyborów

Eliza Sarnacka-Mahoney,
dziennikarka i pisarka
związana z Polską i USA

58 zł
49 zł

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.



**Z CZASEM MOŻE
DOPROWADZIĆ
DO ZANIKU
PODSTAWOWYCH
KOMPETENCJI
LUDZKICH**

SZTUCZNA INTELIGENCJA WDZIERA SIĘ DO SZKÓŁ

Mateusz Mazzini

– Dzieci skarżą się nam, że jest im zbyt trudno. I mówią, że to wina szkoły – stwierdził znajomy, który w jednym z większych polskich miast współprowadzi prywatną placówkę. Rozmawialiśmy o zmianach w edukacji zachodzących pod wpływem obecnej rewolucji technologicznej. Nie tylko rozwoju sztucznej inteligencji, ale też powszechnego dostępu do internetu za pośrednictwem smartfonów, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Uczniowie spędzają w sieci praktycznie całe życie, aktywnie lub biernie, myśląc głównie o tym, co się dzieje na ich kontaktach w mediach społecznościowych. Mają ograniczone zdolności skupienia uwagi i zrozumienia głębszych myśli. Wykazują niechęć do aktywności sportowej i zadań grupowych. Są wycofani, odizolowani, prędkiej wchodzą w interakcje z cyfrowym

interfejsem niż z rówieśnikami. Jednak mój rozmówca zwrócił uwagę na coś zupełnie innego – alergię na wysiłek.

Kiedy dopytywałem, na co właściwie narzeka młodzież, znajomy wytłumaczył, że ma ona problem z tym, co jest esencją edukacji, czyli z faktem, że szkoła stanowi wyzwanie. – Uczniowie przychodzą do nas i zarzucają nam, że każemy im się uczyć. Jeden z nich dosłownie powiedział, że szkoła nie działa tak, jak powinna, dlatego że on się męczy. I gdyby po naszej stronie wszystko działało jak trzeba, nauka byłaby czystą przyjemnością, a jemu zawsze wszystko by się udawało. Chłopak ma 15 lat.

Wbrew pozorom nie jest to postawa roszczeniowa. Gdyby rzeczywistość o roszczenia chodziło, szkoła nawet zachęcałaby do tego. Niech uczniowie będą świadomi swoich praw, niech się buntują, niech od szkoły wymagają. Dialog z reguły

prowadzi do lepszych, konstruktywnych rozwiązań, także w edukacji. Na naszych oczach dochodzi do gigantycznej redefinicji tego, czym edukacja w ogóle jest i czym być powinna. Uczniowie nie mają pretensji o liczbę zajęć, ilość nauki, złośliwych nauczycieli czy nudne zajęcia. Mają pretensję, że szkoła na jakimś etapie w ogóle czegoś od nich wymaga, a przede wszystkim, że doświadczenie edukacyjne zawiera element dyskomfortu.

Obserwacja ta jest zgodna z tendencjami w innych częściach świata. A niebagatelną rolę w zachowaniach najmłodszych członków naszych społeczeństw odgrywają nowe technologie. Kolejną debatę na ten temat wywołał miniserialem Netfliksa „Dojrzenie”, najchętniej oglądana tego typu produkcja w historii platformy. Losy 13-latka oskarżonego o morderstwo dowodzą toksyczności nie tylko mediów społecznościowych, ale i całego nieregulowanego świata cyfrowego. W Polsce też sporo się

mówi o bezpieczeństwie nieletnich w sieci, głównie dzięki raportowi Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa „Internet dzieci”.

Należy przy okazji wspomnieć o przełomowej książce prof. Jonathan Haidta, psychologa społecznego z Uniwersytetu Nowojorskiego, o wiele mówiącym tytule „The Anxious Generation” (w Polsce wydana jako „Niespokojne pokolenie”). Haidt, jeden z radykalniejszych uczestników debaty, nawołuje do wprowadzenia zakazu korzystania

dotyczy wyłącznie zapamiętywania wzorów matematycznych ani czytania o bitwach z XVI w. Edukacja to dawanie sobie szans w konfrontacji ze światem, dla każdego nieuchronnej. Brzmi to dosyć trywialnie, ale warto o tym przypominać.

Wątek sztucznej inteligencji jako technologii eliminującej jakiegokolwiek tarcia międzyludzkie i dyskomfort życia społecznego doskonale opisali we wspólnej rozmowie Ezra Klein z „New York Timesa” oraz Jia Tolentino z „New Yorkera”. Tematem

też wysysa z niego pieniądze (pamiętajmy, że wszystkie te modele to produkty komercyjne, które mają się sprzedawać). Co najważniejsze, mówi Tolentino, potwierdzając argumenty Haidta i innych naukowców, sztuczna inteligencja pozwala wyeliminować z życia nastolatka rozczarowanie. W tym przypadku drugą osobą, bo przecież bot nigdy nie będzie zbyt zmęczony na rozmowy ani chory, zły, sfrustrowany, zazdrosny. Nigdy nie poczuje się urażony. Rozwijając zatem kompetencje społeczne nie na ludziach, lecz na sztucznej inteligencji, tworzymy nie prawdziwe życie, ale jego symulację, gdzie wszystko zawsze idzie po naszej myśli. To z kolei eliminuje prawdziwą interakcję z innymi.

Młodzież ma problem z tym, co jest esencją edukacji, czyli z faktem, że szkoła stanowi wyzwanie.

z telefonów komórkowych w szkołach i ograniczeń wiekowych w korzystaniu z mediów społecznościowych, chce również nowych norm w wychowaniu, takich jak niekupowanie dzieciom urządzeń z ekranem dotykowym do 14. roku życia. Wielu naukowców wnioski z badań Haidta krytykuje, mimo to jego książka od roku (!) utrzymuje się na liście bestsellerów „New York Timesa”. Wiele osób jest też zgodnych w kwestii proponowanych w niej rozwiązań. Coraz więcej miast i stanów w USA, niezależnie od dominującej tam ideologii i opcji politycznej, zakazuje smartfonów w szkołach, w tym samym kierunku idą rodzice w Wielkiej Brytanii i władze w Australii. Z czasem dojdzie to także do Polski, nie ma co do tego wątpliwości.

wywiadu był rosnący w Stanach Zjednoczonych rynek treści internetowych przeznaczonych dla dzieci w wieku 0-3 lata, co samo w sobie jest szokujące. Dziennikarze szybko jednak przeszli do dyskusji o jeszcze większym zagrożeniu dla rozwoju dzieci i młodzieży, czyli o aplikacjach do rozmów ze sztuczną inteligencją. Sam Klein przyznał wtedy – a była to jesień 2024 r., na osi czasu rozwoju tej technologii prawie prehistoria – że nie do końca jest w stanie rozróżnić style rozmowy maszyny i prawdziwego człowieka, bo sztuczna inteligencja już konwersuje tak jak ludzie. Robi

Bez wysiłku, bez stresu

I tu dochodzimy do tego, jaki wpływ na edukację ma sztuczna inteligencja. Dzieci wychowane na powszechnym dostępie do technologii, również tej najnowszej, nie uznają potrzeby wysiłku, wyboru ani wpływu porażki na ich rozwój emocjonalny. Aplikacje takie jak ChatGPT produkują idealne odpowiedzi. Ważne, że robią to szybko i w wersji podstawowej za darmo, uczniowie więc realizują obowiązki w domu, niczego się przy tym nie ucząc. Ponieważ ich

Sztuczna inteligencja, wbrew powszechnej opinii, nie pobudza kreatywności, tylko ją zabija. Rozleniwia nas wszystkich, dając gotowe odpowiedzi.

Życie bez rozczarowań

Tylko co to ma wspólnego ze sztuczną inteligencją? Znacznie więcej, niż się wydaje. Żeby to zrozumieć, warto zacząć od definicji. Zdefiniować trzeba przede wszystkim edukację – choć nie ma ona jednej, uniwersalnej formuły. Z punktu widzenia społecznego, a on jest tu najważniejszy, edukację można opisać jako nieustanny proces wyposażania się w narzędzia do radzenia sobie z wyzwaniami życia. W takim ujęciu edukacja trwa całe życie. Nie zaczyna się ani nie kończy w szkole, nie tylko tam się też odbywa. Nie

to nawet głosowo. Firma Sesame AI oferuje, na razie w wersji próbnej, możliwość rozmowy z botem o męskim lub żeńskim głosie (wybiera użytkownik), na dowolny temat i często bardziej pogłębionej niż niejedna codzienna rozmowa z członkiem rodziny. To już nie science fiction ani dystopia, lecz nasza codzienność.

Problem w tym, że – jak zauważyła Jia Tolentino – algorytmy rządzące mediami społecznościowymi i technologia sztucznej inteligencji są dla nas niebezpieczne. Rozmowa z botem nie tylko uzależnia i przykuwa dzieciaka do telefonu, potencjalnie

prace wyglądają podobnie, nikt z tej grupy się nie wyróżnia. Bo sztuczna inteligencja, wbrew powszechnej opinii, nie pobudza kreatywności, tylko ją zabija. Rozleniwia nas wszystkich, dając gotowe odpowiedzi będące syntezą istniejącej sztuki, dorobku naukowego i treści w internecie. Powielamy zatem to, co już było. I okłamujemy siebie, że stajemy się coraz mądrzejsi, gdy w rzeczywistości jest odwrotnie.

Nie ma żadnych badań jednoznacznie pokazujących, że zastosowanie jakiegokolwiek tzw. edtechu – technologii edukacyjnych ▶

– w szkołach na masową skalę przyczynia się do polepszenia wyników uczniów. Nikomu nie udało się tego udowodnić, natomiast mnóstwo badań pokazuje, jak negatywnie technologia wpływa na uwagę, zdolność zrozumienia głębszych treści, czytania dłuższych tekstów i analizowania skomplikowanych problemów. To nie jest wizja przyszłości, tylko opis teraźniejszości.

W grudniu zeszłego roku magazyn „The Atlantic” opublikował szokujący dla wielu reportaży o studentach najbardziej prestiżowych uczelni Ligi Bluszczonej, którzy dostawali się na te studia, nie przeczytawszy w życiu ani jednej książki od początku do końca. To oczywiście problem złożony, wynikający ze specyfiki tamtejszego procesu rekrutacji na studia, z przeładowania planu zajęć aktywnościami pozalekcyjnymi i z wielu innych rzeczy. Faktem jest jednak, że uczniowie nie umieją już się skupić na kilkugodzinnej aktywności wymagającej podążania za kilkoma wątkami naraz, a tym jest przecież czytanie książki.

W efekcie mamy do czynienia nie z edukacją jako procesem samodoskonalenia, w którym czasem zdarzają się upadki, lecz z ogłupiającą formą zaspokajania zewnętrznych oczekiwań, która nie prowadzi do niczego. Korzystanie ze sztucznej inteligencji

poniżej poziomu uniwersyteckiego nie służy uczniom, bo działa jak media społecznościowe. Daje natychmiastową gratyfikację, likwiduje konieczność realnej interakcji ze światem analogowym, przy okazji uzależniając od siebie i sprawiając, że życie poza internetem staje się trudne, momentami wręcz niemożliwe. Owszem, uczniowie eliminują w ten sposób błędy, ale przecież z błędów

i rachunku prawdopodobieństwa, ale przede wszystkim podejmuje decyzje i wychodzi z inicjatywą. Realny asystent, który robi za nas kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt rzeczy jednocześnie. Sam zobaczy, czy w naszej inteligentnej lodówce kończy się masło, zamówi je przez internet, otworzy kurierowi drzwi, a potem zapyta w naszym imieniu w mediach społecznościowych o przepis na ciasto.

Nieuchronna wydaje się przyszłość, w której sztuczna inteligencja będzie za nas żyć.

rodzi się kreatywność, świadomość własnej wartości, pewność siebie i przede wszystkim doświadczenie. Tego młodzież ucząca się w szkołach zdominowanych przez technologię nie otrzyma, nie będzie miała na to szansy. Łatwo sobie wyobrazić, do jakiego społeczeństwa taki proces prowadzi.

Co dalej?

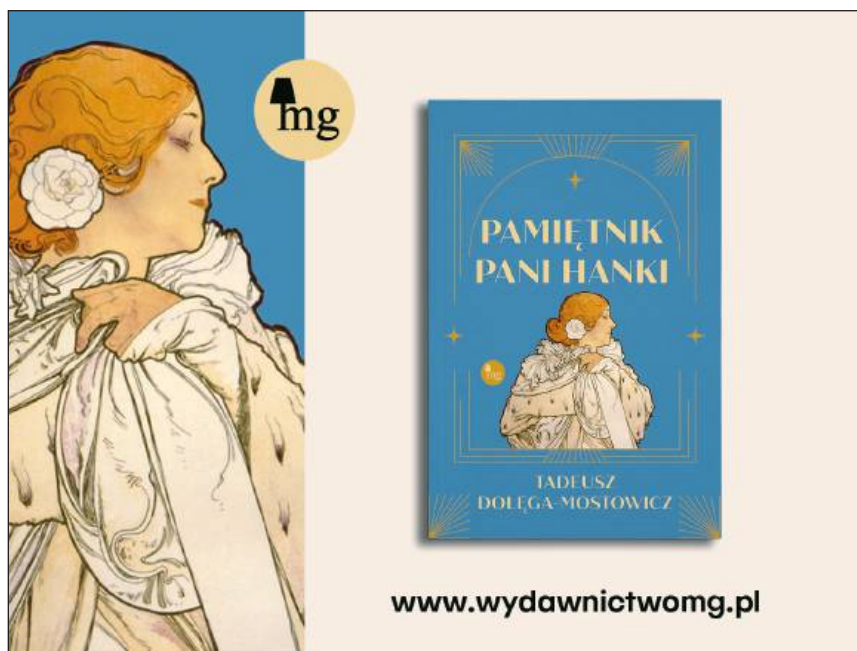
Przestraszeni? A to wcale nie jest najgorsze. Dopiero przed nami kolejny etap tej rewolucji, czyli wejście na rynek tzw. agentowej sztucznej inteligencji. To technologia, która nie tylko wypłuka produkty na bazie statystyki

Zapłaci naszą kartą, zarezerwuje bilety lotnicze i przygotuje plan wakacji, nawet jeśli sami nie poprosimy. Innymi słowy, dokona za nas wyboru i podejmie decyzje.

Tu dotykamy esencji rozwoju człowieka. Bardzo trafnie podsumował to na łamach „Project Syndicate” prof. Daron Acemoğlu, ubiegłoroczny noblista z dziedziny ekonomii. Wskazywał, że podejmowanie decyzji to jeden z głównych sposobów rozwijania zdolności intelektualnych człowieka. Testujemy, próbujemy, uczymy się tego, co jest dla nas dobre, a co złe. Gdzie zrobimy sobie krzywdę, a gdzie czeka nas przyjemność. Jeśli oddamy proces decyzyjny maszynie, staniemy się nie tylko od niej zależni, ale przede wszystkim biologicznie mniej rozwinięci, po prostu głupszy. Jeśli to sztuczna inteligencja będzie za nas rozwiązywać zadania matematyczne, odpowiadać na pytania testowe i wybierać cytaty do wypracowań, stracimy zdolność oceny i chociażby osądzania, w tym rozróżniania dobra i zła.

Szybkim krokiem zmierzamy więc do świata, w którym, jak zauważył niedawno w „The Atlantic” Matteo Wong, sztuczna inteligencja nie będzie za nas wyłącznie pracować, płacić rachunki czy myć naczynia. Konsekwencje wprowadzenia jej do szkół mogą być społecznie katastrofalne i nie ma w tym przesady. Nieuchronna wydaje się bowiem przyszłość, w której sztuczna inteligencja będzie za nas żyć.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Okno w oko



Tomasz Jastrun

Zjadanie pająka

Po obejrzeniu na Netflixie serialu „Cesarzowa Sisi” („The Empress”), o cesarzowej Austrii Elżbiecie, wracam do jej biografii pióra Brigitte Hamann. Czytam tę książkę po raz drugi, a jak po raz pierwszy. Jedyna zaleta słabej pamięci. Szalona, niezwykła, piękna cesarzowa, mistrzyni jazdy konnej, a przecież kobiety musiały na koniu siedzieć bokiem, okrakiem dama nie mogła, co za nieprzyzwoitość. Jazda konna była obsesją cesarzowej. Sisi ryzykowała złamanie karku, skakała przez trudne przeszkody. Dzisiaj pewnie zdobyłaby złoty medal olimpijski. Była nieszczęśliwa w związku z cesarzem Franciszkiem Józefem, który jak na cesarza był porządnym człowiekiem i kochał ją bez granic. Lubiała go i szanowała, ale nie kochała (pod koniec życia załatwiła mu nawet kochankę). Jak się zdaje, była oziębła seksualnie. Mimo szalonej liberalnej fantazji i chorobliwej walki o niezależność nie miała kochanków. W poezji – napisała setki wierszy, uwielbiała Heinego – przedstawiała siebie jako królową wrózek Tytanię. Była niedostępna, lękając się, że miłość mogłaby ją pozbawić mocy i uroku. W wierszach przedstawiała mężczyzn jako ostów. Zaskakuje, ile wiemy o Sisi, jest wiele dokumentów, listów, dzienników, nawet fotografii. Wyłania się z tego wielobarwny portret niezwyklej, nieszczęśliwej kobiety, która miała wszystko, a to wszystko było jej przekleństwem. Celny jest jej wierszyk o samej sobie.

Im więcej mam, tym więcej chcę,

I serce nie przestaje śnić.

A gdy się ziści szczęście me,

Już szczęściem mym przestaje być.

Dama dworu cesarzowej, hrabina Maria Festetics, prowadziła dziennik, błyskotliwe są jej opisy Elżbiety: „W niej jest wszystko, ale pomieszane jak w nieuporządkowanym muzeum – pełno skarbów, z których nie ma żadnego pożytku. Ona nie wie, co ma z tym wszystkim zrobić”.

Dwór cesarski był skostniały, konwencjonalny, Elżbieta buntowała się całą sobą, miała liberalne poglądy, nagminnie bez zapowiedzi odwieżdżała zwykłych ludzi ciekawa ich życia, sła bez ochrony. I tak zginęła, dżgnięta pilnikiem w samo serce, gdy poszła na przystań. Co za czasy, cesarzowa spaceruje bez obstawy. Umarła, jak marzyła – szybko i bezboleśnie. Sama trochę anarchistka, zamordowana została przez anarchistę.

Kiedyś próbowałem nauczyć mojego syna grać w szachy. Nic z tego. Nie wiadomo kiedy sam nauczył się grać,

w sieci. I wygrywa ze mną. Gramy nowocześnie, w osobnych pokojach na swoich komórkach. Mamy w domu drewniane, tradycyjne szachy, ale nawet ich nie szukam. To też znak naszych czasów. Przy okazji zauważyłem, że mało rozmawiam ze swoimi dziećmi. Badania pokazują, że to powszechna przypadłość. Dzieci rozmawiają z komputerami i telefonami, a nie z rodzicami, którzy, jak wiadomo, są zagonieni. A jak nie cenić rozmowy oko w oko, usta w usta.

Próbuję teraz codziennie rozmawiać z Antkiem, za chwilę maturzystą, na tematy polonistyczne. Problem, że dla niego nieważne są lektury, czytał tylko „Rok 1984” Orwella, a tak to raczej streszczenia. Te streszczenia to plaga naszych czasów. A ja cierpię na chorobliwy brak pamięci, nawet „Lalkę” Prusa zapomniałem, czytana przecież nie jeden raz. Wszystkie lektury Antka studiowałem na polonistyce. I proszę, całe moje studia szlag trafił, nic nie pamiętam. Jestem skazany na brak pamięci, ale nie mogę z tym wyrokiem się pogodzić. Kim byłbym, mając dobrą pamięć? Byłoby mi łatwiej w życiu i może nawet zrobiłbym karierę?

Politolodzy mówią, że żałoba po Franciszku będzie sprzyjać w wyborach Nawrockiemu. Bo nasz lud pobożny będzie się skłaniał ku prawicy. Od kiedy straciłem wiarę, a to było tak dawno, że nie pamiętam kiedy, byłem antyklerykalny, ale jednocześnie miałem jakiś odruchowy szacunek dla sutanny. Pozbyłem się tego dopiero niedawno. Taka siła tkwi w sutannie. Nosił ją bliski mi ksiądz poeta Jan Twardowski, jeździłem do niego na prywatne lekcje religii, tylko on i ja. Nosi sutannę liberalny, wspaniały ks. Lemański, którego poznałem. To ciekawe zagadnienie psychologiczne, siła oddziaływania munduru czy szat religijnych.

Biejat, Zandberg i Hołownia zafiksowali się na walce z duopolem, lubują się tym słowem, pomstują, że nie ma dla nich już miejsca. Czy lewicy, czy Hołowni będzie lepiej, jak prezydentem zostanie Nawrocki? Przecież to nonsens. Mówią, że nie powinno się głosować na mniejsze zło. Czy KO jest złem? Partia jak partia, ma swoje wady, jaka partia na świecie jest bez wad? Jak one małe przy wadach PiS. Na myśl, że Nawrocki zostanie prezydentem, przenika mnie takie obrzydzenie, jakbym miał jeść na surowo tłustego pająka.

Aktor zwyczajny, aktor wyjątkowy

Król drugiego planu – tak mówiono o mnie i czasami faktycznie nim jestem. A to trudna sztuka, choć mało kto dziś o tym wie

Rozmawia Jan Tracz

Czy takie projekty jak serial komediowy „Edukacja XD” ekscytują, są jakąś odskocznią?

– Lubię, jeśli projekt mnie ekscytuje i zaskakuje. To jedna z jasnych stron naszego zawodu: nigdy nie wiemy, kogo lub co spotkamy na naszej drodze. Jest tyle niewiadomych, a to wywołuje we mnie ekscytację, o którą pan pyta. Wiadomo, że wszystko zaczyna się od scenariusza, a potem to już tylko praca własna. Tutaj było mi o tyle łatwiej, że widziałem pierwszy sezon serialu – „Emigrację XD” – i znałem, że to mój typ humoru i ten rodzaj komedii, w którą chcę się zaangażować.

A potrafi pan sam siebie zaskoczyć jako aktor?

– Na pewno! Jestem absolwentem krakowskiej szkoły teatralnej, a tam bardzo dużą wagę przywiązywano do zespołowości. To, do czego człowiek jest zdolny w pracy artystycznej, zależy w dużej mierze od partnerów. I nie chodzi wyłącznie o aktorów – myślę też o reżyserach, scenografach, kostiumografach itd. W tym zawodzie nie mogę być sam. Samemu trudno jest ocenić wykonaną przez siebie pracę. Jako aktor wolę, żeby ktoś mnie w rolę „ubrał”, niż żebym ja sam miał to robić. Wtedy ta druga osoba z zewnątrz ma szansę mnie czymś zaskoczyć. W tym zawodzie nie chcę się „ubierać” na własną

JAN FRYCZ



Jan Frycz – jeden z najważniejszych aktorów filmowych i teatralnych swojej generacji. W 1978 r. ukończył PWST w Krakowie. W ostatnich 50 latach zagrał m.in. w „Wielkim Szu”, serialu „Blisko, coraz bliżej”, „Na srebrnym globie”, „Pornografii”, „Komorniku” i wielu innych. Nowe pokolenia kinomanów poznały go za sprawą roli złowieszczonego Daria w serialu „Ślepnąc od świateł”. Zdobywca trzech aktorskich Orłów (na osiem otrzymanych nominacji).



Ślepnąc od świateł

rękę. Nie wiem, czy mam dobry gust. Zaufanie to podstawa w aktorstwie. **Ale role wybiera pan sam. Czyli ten proces „ubierania się” i tak zaczyna się od Jana Frycza.**

– Zgadza się, ale w dzisiejszych czasach roli nie można sobie wybrać. Co najwyżej można ją odrzucić. Często ta koncepcja wymarzonej roli okazuje się bardzo niebezpieczna. I zgubna.

Dlaczego?

– Użyję przenośni: uważam, że z dobrych uczuć powstaje zła literatura. Jeżeli czegoś bardzo się chce i pojawia się to pragnienie opowiedzenia danego tematu, to dany autor pisze książkę lub tworzy film z potrzeby serca. I nie widzi świata poza swoją twórczością. Tym samym traci dystans, który jest tutaj niezbędny. Dzieła powstałe głęboko z nas samych często bywają nieudane. Mnie aktorstwo kojarzy się przede wszystkim z zadaniem, które należy wykonać. To albo „zlecenie”, albo „cierpienie”. Nie ma nic pomiędzy.

To cierpienie często przychodzi do pana?

– Czasami, tak jak mówiłem, ten zawód mnie zaskakuje, głównie propozycjami. A ja to lubię.

Legendarny brytyjski aktor Alec Guinness powiedział kiedyś, że jest aktorem mniejszych ról, który miał szczęście być obsadzonym na pierwszym planie. Natomiast ja powiedziałbym, że Jan Frycz jest aktorem pierwszoplanowych ról, który ma szczęście być obsadzonym

na drugim planie. Bo dzięki temu te drugoplanowe role wybrzmiewają. Są jakies.

– Król drugiego planu – tak mówiono o mnie i czasami faktycznie nim jestem. A to trudna sztuka, choć mało kto dziś o tym wie. Główne role wymagają od aktorów pewnej cechy. Ja to nazywam „wytrzymałością materiału”. Możemy to zobaczyć przykładowo u Zbyszka Cybulskiego w filmie „Popiół i diament” Andrzeja Wajdy. On swoją postacią wypełnił wszystkie sceny, wręcz każdą sekundę filmu. W serialu „Edukacja XD”

Mnie aktorstwo kojarzy się z zadaniem, które należy wykonać. To albo „zlecenie” albo „cierpienie”. Nie ma nic pomiędzy.

taką rolę odegrali Tomek Włosok i Michał Balicki. Podziwiałem ich na planie, bo stworzyli dwie niezwykle kreatywne, które stają się filarem całej tej produkcji. Poza talentem obaj mają tę cechę „wytrzymałości”. Jeżeli o mnie chodzi, to chyba jest tak, jak pan mówi. Swoją własną „wytrzymałość” staram się zazwyczaj przerzucić na drugi plan.

„Wielki Szu” ma ponad 40 lat, a lament Jarka – pańskiego bohatera, który przegrywa w karty – pamiętamy do dziś. Pan potrafi grozić i płać z tą samą dozą autentyczności. O mało którym aktorze można powiedzieć to samo.

– Nigdy nie czułem się wyjątkowym aktorem. Zresztą to było

elementarne zadanie aktorskie. Muszę jednak przyznać, że w „Wielkim Szu” znamienne były same okoliczności, w których występowałem. Pracowałem z wymagającym reżyserem (Sylwester Chęciński), partnerowałem Jankowi Nowickiemu, do tego dochodziła moja własna sytuacja zawodowa. Jako niespełna 20-letni student „u progu kariery” wiedziałem, że ta jedna scena błagania musiała wypaść wiarygodnie, a to wymagało ode mnie całkowitego obnażenia. Ciekawostką jest to, że samochód, który przegrałem w karty,

zarobił więcej niż ja (śmiejch). Wynajęcie go kosztowało 3,2 tys. zł, a moja gaża wyniosła jedynie 2,4 tys. zł. Takie to były czasy.

Rzadko kiedy widzimy Frycza samego na ekranie. Często uczestniczy pan w kolektywnych projektach, w których zwykle ma pan sceny grupowe. Zazwyczaj gra pan z kimś czy do kogoś?

– Głównie gram z kimś. Partnerstwo to podstawa w moim zawodzie. Każdy potrafi mówić i wygłaszać wyuczone kwestie. Sztuką jest słuchać drugiego człowieka, także w życiu codziennym. Dziś coraz mniej kontaktujemy się ze sobą i to rzutuje na pracę, którą wykonuję. Zanikają relacje. Partnerowanie polega przede wszystkim na uważności i wsłuchiwaniu się w to, co dana osoba mówi i robi, jak się zachowuje. Nawet jeżeli człowiek jest sam na planie filmowym podczas ujęcia, to w jakimś sensie partnerem i tak będzie kamera. Trzeba zwracać uwagę na otoczenie – w aktorstwie nie ma innego rozwiązania.

Amerykański aktor Robert Mitchum potrafił słuchać. Na tamte czasy nie było lepszego od niego.

– Przypomina mi się scena z „Gorączki” Michaela Manna, w której Robert De Niro i Al Pacino spotykają się w knajpce i mają ze sobą taką długą i wiążącą rozmowę. Niby bardzo się słuchają, ale są osobno. I to takie charakterystyczne w kinie amerykańskim patrzenie aktorów w bok. ▶



► Co do Mitchuma – pełna zgoda, ale przecież nie trzeba być Mitchumem, aby dobrze zagrać! Po prostu należy słuchać. Tylko tyle i aż tyle. Jak pan mówi do mnie „dzień dobry”, to jestem ciekawy, co ma pan na myśli, bo można burknąć coś pod nosem albo przywitać się z entuzjazmem, kładąc nacisk na fakt, że ten dzień faktycznie ma szansę być dobry.

Jako aktor wolę, żeby ktoś mnie w rolę „ubrał”, niż żebym ja sam miał to robić.

Czy ta ciekawość drugiego człowieka to klucz w tym zawodzie? Taki wytrych, który otwiera nowe furtki i możliwości?

– Jak najbardziej. Powiem panu, że tym pytaniem po raz kolejny wracamy do początków, czyli do krakowskiej szkoły teatralnej. Profesorowie z tamtych czasów – m.in. Danuta Michałowska, Wanda Kruszewska, Eugeniusz Fulde – nas tego wszystkiego uczyli. Nauki tych ludzi okazały się dla mnie fundamentalne. Oni pokazali mi, jak ważny jest drugi człowiek, niezależnie od okoliczności. Jeżeli mamy w kinie scenę, w której postacie się kochają, a między aktorami nie ma chemii, widz od razu

to wyłapie. Nie wystarczy zagrać, trzeba jeszcze coś poczuć, w jakiś sposób się zaangażować. Aktorstwo to praca zespołowa i wspólnie czujemy, kiedy coś poszło nie tak. Jednak żeby to zauważyć, trzeba być w pełni zaabsorbowanym. Tutaj jest bardzo cienka granica między prawdą a wkradającym się fałszem. Trzeba uważać, aby nie stracić koncentracji.

Po latach w branży ma pan sposoby na to, aby zgrać się z drugim człowiekiem?

– Staram się być otwarty na osobę, z którą spotykam się na planie. Zamiast budować sobie jej obraz w głowie, decyduję się pytać, słuchać i ciągle być aktywny. Jednak bez zaangażowania partnera lub partnerki to nie ma szansy się udać. To jest ta nieprzewidywalność aktorstwa. Każdy projekt to zupełnie inna dynamika, nowi ludzie i nastroje na planie. Choćby i w partyturze muzycznej można znaleźć sporo przestrzeni na interpretację, nawet jeśli nuty (w tym wypadku scenariusz) zostały już wcześniej napisane.

Wróćmy jeszcze na chwilę do aktorstwa. Mamy taki moment w jednym z odcinków „Edukacji XD”, w którym sfrustrowany Prezes – pański antybohater – zaczyna krzyczeć i kłać. Pomyślałem wtedy, że Frycz otworzy szufladkę z podpisem Dario (antagonista w serialu „Ślepnąc od świateł” na podstawie prozy Jakuba Żulczyka – przyp. red.) i niejako ponowi ten sam aktorski trop. Ale tak się nie stało. Widziałem Prezesa, a nie Daria. Myśli pan o takich niuansach?

– Tak, bo wulgaryzmy to jest ważny temat. One zawsze muszą być bardzo organiczne i uzasadnione, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. U Daria te przekleństwa były bardziej z Dostojewskiego, z tej ciemnej strony człowieka. Można grozić komuś pieścizotliwie (co będzie miało w sobie pewien złowieszczy element), albo nachalnie, bez żadnej gracji, tak jak mój Prezes. Są ludzie, którzy potrafią kłać, a są też tacy, którzy kompletnie nie potrafią tego robić. Kiedy przechodzę koło tzw. budki z piwem, wstuchuję się w muzykę panów, którzy okupują ławeczkę obok. Proszę zwrócić uwagę, jak oni pięknie potrafią wymodelować każde zdanie. Tego można słuchać w nieskończoność... **Tam jest soczystość, której innym brakuje.**

– W rozmowach tych panów nawet i fraza się znajdzie! Natomiast ja sam nienawidzę, kiedy przekleństwo służy jako dopychacz, taki niepotrzebny dodatek do kwestii, kiedy komuś brakuje słów i argumentów. Dla mnie zbyt częste powtarzanie tych samych przekleństw jest mało szlachetne. Wulgaryzmy powinny mieć swój kontekst. Inaczej będą w złym guście. A najgorsze są quasi-przekleństwa typu „kuźwa” albo „wypierdzielaj”. To właśnie takie dopychacze, z których dzisiaj nadmiernie korzystamy, by dodać sobie siły perswazji – bez sensu.

Wulgaryzmy zaczynają pełnić funkcję wręcz przeciwną do zamierzonej.

– Język polski daje nam tyle możliwości wyrażania uczuć. Czasem lepiej już nic nie mówić (śmiejch).

Organizator: FUNDACJA JEJDAKA – CENTRUM KULTURY ŻYDOWSKIEJ

Współorganizacja: **Kraków** (City of Literature UNESCO), **WYDZIAŁ KULTURY I EDUKACJI NAUCZĄCEJ**

Partnerzy: **KHK**, **KMP**, **WODOCIĄGI**, **mpec**, **LOTO**, **3D**, **AHK**, **FUNDACJA pro muzyka nowa**, **ŚWIĘTO ŻYDOWSKIE**, **miasteczko**, **Kazimierz.com**, **artpost**

Patroni medialni: **welcome**, **TYTYP3**, **ŚWIĘTO ŻYDOWSKIE**

Współpraca redakcyjna: **Classic**

20. DNI MUZYKI FELIKSA MENDELSSOHN
FELIX MENDELSSOHN
20th MUSIC DAYS
9 - 16 MAJ 2025

Jan Tracz

KURTYNA W GÓRĘ

Krucha niepewność

To nie jest spektakl o demiurgach ani dla demiurgów. Mimo nieco patetycznego tytułu, który najdrobniejsze gesty czy słowa odnosi do nieskończoności kosmosu, nie ma tu mowy o czynach historycznych i wzniosłych. To rzecz o zwyczajności, którą każdy po swojemu próbuje odczytać, jako przyswoić i opowiedzieć albo zaśpiewać. Choćby sobie.

Aktorzy TR o głośnych nazwiskach i bujnych życiorysach stoją stłoczeni na obracającym się nieśpiesznie metalowym podeście, przypominającym koło zębate albo planetę. Z tak utworzonego chóru na zmianę wylaniają się soliści, aby intonować swoją pieśń w lekko jazzującej frazie. Słychać w tym poczucie bezradności w próbach uporządkowania świata, który wciąż wymyka się opisowi. Te okruciny nie są nawet skargami, to raczej refleksje o przemijaniu i skrytej nadziei na zrozumienie, że jednak jesteśmy w domu.



„Kosmiczny dom”,
autorka konceptu,
reżyserka i kompozytorka
Lina Lapelytė, autorka
tekstu i dramaturżka
Birutė Kapustinskaitė,
TR Warszawa, premiera
10 kwietnia 2025

Ta pieśń mruczana, śpiewana, czasem nie tak znakomicie, jak to potrafi Magdalena Kuta, ale zawsze z ufnością, że spotka się z zaciekawieniem, że nie zostanie odtrącona, przynosi ukojenie. To rzadki stan w teatrze, częściej budzącym niepokój niż dającym poczucie wewnętrznej spokoju. Bo skoro ci wszyscy wspaniali ludzie poszukują odpowiedzi, to może i ty masz pełne prawo do swoich pytań i wątpliwości. Może nie jesteś sam/sama.

Tomasz Miłkowski

NA EKRANACH



„Amator”,
reż. James Hawes,
prod. USA, już w kinach

Charlie Heller (Rami Malek) zachowuje się, jak na agenta CIA nie przystało, czyli jak amator. Kiedy dowiaduje się, że jego żona zginęła w zamachu terrorystycznym w Londynie, postanawia wziąć sprawy w swoje ręce. Nie czeka na moment, kiedy załoba zacznie odpuszczać. Od razu wyrusza w niebezpieczną misję, aby odnaleźć zabójców ukochanej Sarah. Ale będzie to podróż pełna dłużyzn, oklepanych schematów i szpiegowskich klisz. W tle zobaczymy starych znajomych (grają tu m.in. Laurence Fishburne, Holt McCallany, Jon Bernthal); ci Malekowi będą albo pomagać, albo przeszkadzać. „Amator” to taki „Jason Bourne” gorszego sortu, udowadniający, że pierwszy z brzegu rzemieślnik nie powinien tego gatunku brać na warsztat. Dla fanów prostej szpiegowskiej akcji to pozycja obowiązkowa. Reszta, która w tego typu historiach szuka intrygi na miarę powieści Johna le Carré, wyjście do kina może sobie darować.

Jan Tracz

MIĘDZY OKŁADKAMI



Arek Kowalik
Dźwięki ptaków
ArtRage, Warszawa 2025

Ten debiutancki zbiór opowiadań to przenikliwy portret 30-latków zagubionych w złożonej, wielkomiejskiej codzienności. W 15 różnorodnych tekstach autor z dużą wrażliwością przygląda się emocjonalnemu krajobrazowi współczesności – zmęczeniu, samotności, niepewności jutra. Warszawa jawi się tu jako duszny mikrokosmos pełen cyfrowych bodźców i niepokojów, ale też tęsknoty za czułością i sensem. Kowalik łączy realistyczne obserwacje z surrealizmem. Pisze o etyce, pracy, buntach, a czasem o królach, królikach i generałach. Jego bohaterowie próbują zdefiniować siebie na nowo – z dala od patriarchalnych schematów i wypalających etatów. To książka idealna dla tych, którzy szukają w literaturze języka dla swoich pytań, nawet jeśli nie ma na nie prostych odpowiedzi.

Rafał Piłkuła

Wiktoria Król
Zabójcza zieleń
Wydawnictwo Kobiece, Białystok 2025

Tytuł nie jest metaforą. Kiedy pod koniec XVIII w. szwedzki chemik Scheele wynalazł nieblaknący zielony pigment, a zwłaszcza gdy udało się opracować tańszą wersję, zieleń szwajfurcką, zaczęła się moda na kolor zielony, która kosztowała zdrowie i życie zatruwając wielu ludzi. Niezwykle popularne stało się np. tapetowanie czy malowanie pomieszczeń na zielono – takie tapety zafundował sobie z pomocą Goethego Schiller – a wnętrza nie tylko cieszyły oko barwą, ale też znikły z nich pluskwy. Dlaczego? Farby zawierały związki arsenu. W dawkach śmiertelnych.

Zaletą książki jest odwoływanie się do polskich przykładów – toksycznej zieleń używali nie tylko impresjoniści, ale i Matejko. Najwięcej miejsca autorka poświęca jednak sytuacji w Wielkiej Brytanii, gdzie z tępych uporem odmawiano zakazania trujących barwników. A śmierć kryła się wszędzie: w tkaninach na suknie, w stroikach na głowę, w żywności i opakowaniach... Dużo jest tu o fałszowaniu jedzenia w ogóle, ale i o modowych wybrykach. Ciekawostką Wiktoria Król wynalazła mnóstwo (najbardziej lubi etap researchu), przeprowadziła też rozmowy ze specjalistami, choćby z projektu „Poison Book” – bo zabójcze książki istnieją. A ta też jest w tonacji zielonej, ale niegroźna, choć przerażająca.

Aleksandra Pańko



Kosmos Kandinskiego

Im bardziej przerażający jest świat,
tym bardziej sztuka musi być abstrakcyjna

Daniel Wójtowicz

„Artysta powinien być ślepy na »uznaną« czy »nieuznaną« formę, głuchy na pouczenia i żądania epoki”, oznajmiał Wassily Kandinsky, rosyjski malarz tworzący na początku minionego wieku na Zachodzie. I faktycznie – pozostawał w swojej twórczości odporny na wszelkie kanony, prowokując współczesnych mu krytyków. Szydli z niego jako szaleńca albo narkomana. Po latach natomiast okrzyknięty został jednym z najgenialniejszych wizjonerów w dziejach malarstwa, współtwórcą abstrakcjonizmu.

Dziś jego obrazy, wyceniane na miliony, ulokowane są w największych muzeach świata i elitarnych kolekcjach prywatnych. Rzadką okazję zobaczenia wielu z nich, w tym tych najważniejszych, stworzyło Muzeum Barberini w Poczdamie wystawą zatytułowaną „Kosmos Kandinskiego”. Prezentowanych jest tam również kilkadziesiąt prac innych artystów, podążających niegdyś razem z nim tą samą drogą czy pozostających pod jego wpływem. Oglądać można więc dzieła m.in. Barbary Hepworth, Pieta Mondriana czy Lubow Popowej. Ekspozycja została uznana za wydarzenie w życiu kulturalnym Europy tego roku.

Ogromne zainteresowanie dorobkiem Wassilego Kandinskiego (1866-1944) wynika chyba nie tylko z jego sławy. Wydaje się, że rodzi się w nas właśnie teraz prawdziwe uznanie dla abstrakcji i jej zrozumienie. Może to się wiązać z dojrzwaniem odbiorców i ukształtowaniem naszej zdolności do abstrakcyjnego myślenia. Ale może też wynikać z coraz większego zagubienia w rzeczywistości i poczucia, że naszego świata nie daje się już opisać tak, jak go widać, a prawda o nim wykracza poza zwykłe granice zrozumienia. Potwierdza się przy tym spostrzeżenie Kandinskiego: „Im bardziej przerażający jest świat, tym bardziej sztuka musi być abstrakcyjna”.

Malarstwo abstrakcyjne, twierdził Kandinsky, nie jest sztuką traktującą o „niczym”. Jest obrazowaniem tego, co dla zwykłego oka pozostaje nieuchwytnie, a jednak istnieje i ma swoje znaczenie. Tak jak prawda zawarta



1

w matematyce. U tego genialnego twórcy, jak pokazuje wystawa, kryje się ona we wspaniałych, niepowtarzalnych i pięknych zależnościach pomiędzy punktami, liniami i różnymi wymiarami płaszczyzn. Stworzył on bowiem abstrakcję określaną jako geometryczna. Prawda „powstaje z ruchu przez zniszczenie bezwładności punktu, absolutnego stanu jego spoczynku, a tym samym przez przeskoczenie ze statyki w dynamikę”, tłumaczył, wykładając swoje teorie. Gdyby jednak to wszystko, co stworzył, było tak trudne do ogarnięcia jak ta myśl, nie byłoby dla nas tak atrakcyjne. A przecież jest – przesądzają o tym kolory i kompozycja obrazów. Prace Kandinskiego i jego twórczych pobratymców są pełne barw. „Kolor jest kluczem. Oko jest młotem. Dusza jest fortepianem z jego wieloma akordami. Artysta jest ręką, która, dotykając tego czy innego klawisza, wprawia duszę w automatyczne wibracje”, wyjaśniał artysta.



„Sztuka jest kompozycją”, uważał. Kompozycja w abstrakcyjnych obrazach zgromadzonych na poczdamskiej wystawie jest przeważnie bardzo złożona, często z wielu zabawnych, intrygujących elementów, i prawdziwie wciągająca. Wbrew pozorom zdaje się przy tym bardzo ludzka – jest szczerym zobrazowaniem wyobraźni człowieka, nacełowana na zdobycie zrozumienia u drugiego, na wywołanie emocji. I one rzeczywiście się pojawiają. To, że często nie umiemy ich precyzyjnie nazwać, nie powinno wydawać się dziwnie ani nas peszyć – kompozycje wnętrza naszej duszy zwykle są równie trudne do objaśnienia. Języka do opisywania stanów nienazwanych – myślałem, oglądając obrazy w Poczdamie – przychodzi nam dopiero się uczyć.

Znana anegdota opowiada, że przełom w widzeniu i myśleniu Kandinskiego o malarstwie nastąpił pod wpływem dostrzeżonego nieoczekiwanie, w tajemniczej nocnej poświacie, niezwykle kształtu przeczącego zwykłej logice postrzegania. Z bliska okazało się, że był to... jego własny obraz, tyle że omyłkowo zawieszony do góry nogami. Miało to otworzyć wyobraźnię artysty na niedostrzegane kształty i elementy rzeczywistości, jak również na ukryte w niej tajemnice.

Prawda o genezie odkrywczego spojrzenia Kandinskiego na malarstwo jest jednak pewnie głębsza. Doznał on prawdziwego szoku pod wpływem dokonujących się wtedy odkryć fizyki: „Rozbicie atomu równało się w mej duszy z rozbiciem całego świata. Wszystko stało się niepewne, chwiejne, miękkie”, wyznał we wspomnieniach. Świat niewidzialny okazywał się nową rzeczywistością i niezmierną potęgą. Zasługiwał zatem na uwagę artystów nie mniejszą niż to, co widzialne i co po tysiącokroć zostało już namalowane. Każda abstrakcyjna wizja malarska stawała się odtąd prawdopodobnym obrazem nieznanego fragmentu rzeczywistego świata.

Malowanie tego, co widać, przestawało być wyzwaniem. Stawało się nim natomiast odnajdywanie w wyobraźni tego, co niewidzialne. Odbiorcom zaś jawiło się to jako wizjonerskie. Może dlatego obrazy Kandinskiego sprzed prawie 100 lat odbiera się wciąż jako nowatorskie i odkrywcze.

1. Lekki w ciężkim, 1929
2. Czerwony węzeł, 1936
3. Cisza, 1924
4. W czarnym kwadracie, 1923

Kosmos Kandinskiego. Abstrakcja geometryczna w XX wieku
Muzeum Barberini w Poczdamie
do 18 maja

UZALEŻNIENI OD PORNO

**Dziś z pornografii korzysta wiele osób.
Można powiedzieć, że jest to zachowanie normatywne**

Rozmawia
Wojciech Mikołuszko

Jak pan odróżnia oglądanie pornografii od uzależnienia od niej?

– Dziś z pornografii korzysta wiele osób. Można powiedzieć, że aktualnie jest to zachowanie normatywne. Przynajmniej raz w miesiącu ogląda ją prawie 70% mężczyzn i ponad 30% kobiet. Natomiast tak jak ze wszystkimi zachowaniami o potencjale uzależniającego mamy pewnego rodzaju kontinuum, czyli płynne przejście od korzystania rekreacyjnego po problemowe, kompulsywne, nałogowe. To ostatnie wiąże się z poczuciem utraty kontroli, czyli zaczynam oglądać dłużej i częściej, niżbym chciał lub chciała. To powoduje różnego rodzaju zaniedbania oraz problemy w relacjach z bliskimi lub w obowiązkach zawodowych czy w rozwoju osobistym.

Czyli pornografię rekreacyjną możemy wyraźnie odróżnić od uzależnienia, natomiast to, co pośrodku, jest płynne?

– Gdy mamy poczucie, że nie kontrolujemy korzystania z pornografii i mimo prób nie potrafimy go ograniczyć, wiadać, że przesuwamy się coraz bardziej w stronę korzystania problemowego. Najprostszy test, który możemy wtedy zrobić, to odpocząć na cztery tygodnie od pornografii, zobaczymy dzięki temu, czy to dla nas łatwe, czy niemożliwe.

Skąd wziął się temat pana badań?



PROF. MATEUSZ GOLA

– psychoterapeuta i neuronaukowiec, autor książki „Gdy porno przestaje być sexy”

Prof. dr hab. Mateusz Gola – pracownik Instytutu Psychologii Polskiej Akademii Nauk oraz Institute for Neural Computation na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego. Specjalista w zakresie uzależnień behawioralnych, autor ponad 140 publikacji naukowych. Informacje o prowadzonych przez prof. Gołę badaniach, w których aktualnie można wziąć udział, znajdują się na www.mateuszgola.pl.

– To może dziwić. W połowie 2013 r., kiedy rozpoczynałem badania, był to temat tabu, w nauce mało kto chciał się do niego zabrać. W moim przypadku wzięto się to z zainteresowania pracą kliniczną. Łącząc pracę psychoterapeutyczną z nauką. Gdy rozpoczynałem tę pierwszą, w literaturze naukowej nie znalazłem wskazówek, jak pracować z ludźmi zmagającymi się z nałogowym korzystaniem z pornografii, a w podręcznikach w ogóle tego problemu nie było. To mnie bardzo zaniepokoiło. Po uzyskaniu stopnia doktora kontynuowałem jeszcze przez chwilę badania mózgu dotyczące starzenia się, ale coraz bardziej chciałem połączyć neuronaukę z nowymi wyzwaniami psychologii klinicznej. Słyszałem na początku, że to zły pomysł. Na szczęście okazało się, że jest to nie tylko ważne, ale także da się badać. I po siedmiu latach Światowa Organizacja Zdrowia rozpoznała kompulsywne zachowania seksualne, w tym nałogowe korzystanie z pornografii, jako oficjalne zaburzenie.

Zna pan osobiście osoby uzależnione od pornografii?

– Bardzo wiele! Od czasu, gdy w 2014 r. zacząłem badać ten temat, proporcja osób, które szukają pomocy w związku z różnymi kompulsywnymi zachowaniami seksualnymi, nie tylko z pornografią, znacznie wzrosła w mojej praktyce klinicznej. W ciągu ostatnich 18 lat podczas konsultacji, terapii i różnych warsztatów miałem okazję poznać ok. 3 tys.

osób zmagających się z kompulsywnym korzystaniem z pornografii.

A czy widzi pan różnicę między płciami? Powszechnie się przyjmuje, że od pornografii częściej uzależniają się mężczyźni.

– W wynikach badań również wyraźnie to widać. Wśród osób mających problemy z pornografią mężczyźni jest dziewięć razy więcej niż kobiet. Dysproporcja jest olbrzymia. Są różnice neurobiologiczne i kulturowe. Przez długie dziesięciolecia pornografia tworzona była przez

także przez kobiety dla kobiet. Branża pornograficzna skrzętnie to wykorzystwała. Stworzyła wersje serwisów dla kobiet. I prawdopodobnie dlatego widzimy ten szybki wzrost popularności pornografii wśród kobiet.

Kobiety w pornografii dla mężczyzn często są przedstawiane w sposób poniżający. Rozumiem zatem, że pornografia dla kobiet pokazuje je podmiotowo.

– Bardzo podmiotowo. Co więcej, często mężczyźni jest tam traktowani przedmiotowo. W pornografii dla

Przez dziesięciolecia pornografia tworzona była przez mężczyzn dla mężczyzn, a wśród kobiet była tematem tabu. To zaczęło się zmieniać.

mężczyźni dla mężczyzn, a wśród kobiet była tematem tabu. To zaczęło się zmieniać podczas rewolucji seksualnej. Ale też ruchy feministyczne były przeciwne pornografii. Dopiero ostatnio zyskuje ona na popularności wśród kobiet. Z naszych badań wynika, że odsetek kobiet wśród korzystających z pornografii wzrasta. A w niektórych krajach – np. w Kolumbii czy w Meksyku – wręcz się wyrównał. Natomiast badania wykazują, że kobiety korzystają z pornografii inaczej niż mężczyźni. Znacznie rzadziej przybiera to u nich postać kompulsywną.

Feministki często w tym wypadku idą ramię w ramię z księżmi, choć na wielu polach mają przeciwne odmiennie podejście. Czy to samo widać w pana badaniach?

– Są różne fale ruchu feministycznego. W latach 70. liberalizacja podejścia do nagości w przestrzeni publicznej była wykorzystywana przez ruch feministyczny do kształtowania roli kobiety jako osoby niezależnej, która może decydować o swojej seksualności, do walki o prawo do rozvodu, separacji, samostanowienia. Dopiero później pornografia stawiała się coraz twardsza i uprzedmiotawiająca kobiety. To budziło niepokój. W ostatniej dekadzie mamy dużą zmianę. Powstał przy ruchu feministycznym nurt, który opowiada się za demokratyzacją pornografii, za tym, żeby była ona tworzona

kobiet obraz ciała jest bardziej realistyczny. Panie mają naturalne sylwetki, wyglądają rozmaicie.

Pisze pan, że w pornografii dla mężczyzn wybierani są aktorzy z dużymi członkami, a jak to jest w pornografii kobiecej?

– Nie znam żadnych badań, ale wydaje mi się, że może być podobnie. Mężczyźni jest bardziej muskularni, atrakcyjni i prawdopodobnie z dłuższym członkiem niż przeciętny w populacji.

W przypadku dzieci czy nastolatków pornografia jest głównym, jeśli nie jedynym, źródłem edukacji seksualnej.

Czym się różni seks w pornografii od prawdziwego?

– Obraz ciała w pornografii jest nierealistyczny. Jak wygląda sam seks, ile trwa, co tam się dzieje, w jakich pozycjach można osiągnąć orgazm – to wszystko jest bajką dla dorosłych. Bardzo odbiega od rzeczywistości dostępnej dla wielu osób.

W przypadku dzieci czy nastolatków pornografia jest głównym, jeśli nie jedynym, źródłem edukacji seksualnej. To coś, czemu później trudno sprostać. Pierwsze kontakty seksualne wiążą się z większym poziomem stresu, niepokoju. Z kolei wśród par, w których mężczyźni dużo korzysta z pornografii, zadowolenie ze związków jest niższe.

Jak zmieniła się pornografia?

– Mamy kilka rodzajów tych zmian. Pierwszy dotyczy dostępności. Na początku to były zdjęcia czy filmy dla ekskluzywnego grona dżentelmenów albo klubu zamożnych. Następnie wraz z drukiem można było zdjęcia publikować. Mieliśmy wykwit czasopism, szeroko dostępnych, ale cały czas dla panów. Trzeba je było kupić w kioskach czy w specjalistycznych księgarniach. W Polsce były specjalne działy w empikach itd. Potem pojawiają się zapisy na kasetach VHS. Później wchodzimy w pornografię cyfrową na płytach CD i DVD. No i pojawia się dostępny na masową skalę internet. Trafia on najpierw na komputery stacjonarne. Takie urządzenie stało w domu jedno dla całej rodziny. Dostatecznie szybko przesunęło się do sypialni, do pokoiów, w postaci laptopów i bezprzewodowego internetu. I za chwilę – do kieszeni w postaci smartfonów. Obecnie pornografia jest dostępna prawie bez żadnych ograniczeń. Można ją oglądać w każdym momencie, w każdym miejscu, dowolnie długo.

To pewnie nie wszystko.

– Następną zmianą to ilość dostępnych treści. Kiedyś były bardzo ograniczone. Jeśli ktoś kupił kasetę VHS, mógł obejrzeć tylko tyle, ile

tam było. Ilość treści pornograficznych wzrasta logarytmicznie i w tym momencie trzeba setek lat, żeby obejrzeć to, co jest. W ciągu dwóch godzin dzisiejszy nastolatek zobaczy więcej niż jego wszyscy dziadkowie i pradiadkowie razem wzięci w ciągu całego życia.

Kolejna zmiana polega na tym, jak bardzo te treści stały się różnorodnie i stymulujące. Pornografia z lat 90. XX w. bardziej przypomina realny seks. To zaczęło się zmieniać w pierwszej dekadzie po 2000 r. Pojawiło się więcej treści uprzedmiotawiających, z większymi zachowaniami przemocowymi. Zaczynaliśmy od niskiej rozdzielczości filmów, teraz mamy rozdzielczość 4K. Można też ▶

▶ założyć gogle VR i człowiek doświadcza immersji w tym wszystkim. W ostatnim roku sięgnięto do generatywnych modeli sztucznej inteligencji. Można wyprodukować treści bardzo spersonalizowane. Za chwilę będą urządzenia, które będą nas stymulować dotykowo.

Obniżył się również wiek dostępu do pornografii – wcześniej to byli kilkunastolatki, teraz nawet kilkuletnie dzieci.

– To skutek uboczny przejścia pornografii do internetu i na urządzenia mobilne. Możemy z niej korzystać bez wiedzy innych domowników. Nie weryfikuje się też wieku. Takie metody

Zdarza się, że korzystanie z porno zaczyna się 8-12 lat przed inicjacją seksualną.

są, ale brakuje woli, żeby je wdrożyć, więc prawie każdy jest w stanie korzystać z pornografii. Wiek jej użytkowników sukcesywnie się obniża. Tak samo obniża się wiek pierwszego kontaktu z pornografią. W tym momencie jest to między dziewiątym a dziesiątym rokiem życia.

Napisał pan, że Kalifornia jest centrum światowej pornografii, a pan jest teraz w Kalifornii. W związku z badaniami?

– Od lat pracuję zarówno w Instytucie Psychologii PAN w Warszawie, jak i na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego. W Kalifornii zawsze był bardzo mocny przemysł kinematograficzny, więc rozwinął się tam również przemysł pornograficzny. Kinematograficzny pomału się wypróżnia z Kalifornii, a pornograficzny nadal mocno się trzyma.

Kalifornijskie firmy zatrudniają aktorów na miejscu czy ściągają ich z całego świata?

– Te produkcje są głównie robione lokalnie. Zazwyczaj bardzo niskim kosztem. Można je zrealizować praktycznie gdziekolwiek. Kiedy ściągają się aktorów z jakichś odległych miejsc, to dużo kosztuje, raczej zatem są to wyjątki niż reguła. Ale takie sytuacje się zdarzają.

Czy mógłby pan opisać przebieg życia typowej osoby, która uzależniła się od pornografii?

– Rozmawiałem z osobami, które zaczęły oglądać pornografię w dorosłości. Natomiast większość pierwszy kontakt z pornografią miała we wczesnym wieku nastoletnim. Teraz spotykam się z młodszymi osobami. Pracuję z dwudziestoparolatkami, którzy zazwyczaj mieli pierwszy kontakt w okolicach siódmego, dziesiątego roku życia. Dla ok. 20% to było coś przyjemnego, dla 40% – przykrego, a dla 40% to neutralne doświadczenie. W wieku nastoletnim co dziewiąty chłopak korzysta z pornografii kilka razy dziennie. Co nie znaczy, że to jest problemowe.

A jaki procent nastolatków się uzależni?

– Tego jeszcze nie wiemy.

Oglądanie pornografii poprzedza inicjację seksualną?

– I to grubo, zdarza się, że korzystanie z porno zaczyna się 8-12 lat przed inicjacją seksualną. U osób, które się uzależniły, te pierwsze doświadczenia są mniej przyjemne. Pornografia może zniknąć na parę tygodni, ale później zaczyna jej być

W ciągu ostatnich 18 lat podczas konsultacji, terapii i warsztatów poznałem ok. 3 tys. osób zmagających się z kompulsywnym korzystaniem z pornografii.

więcej niż seksu partnerskiego. Pojawiają się kolejne konsekwencje: zaniechanie pracy, edukacji, rozwoju, hobby, pasji.

Czyli osoby uzależnione wolą oglądać pornografię, niż przeżywać prawdziwy seks?

– Słowo „wolać” zakłada, że tam jest wybór i wolna wola, a to jest z automatu, po prostu oglądają tę pornografię.

Chłopaki zwykle przy pornografii się masturbują.

– Prawie zawsze.

Zdarza się, że do krwi. Czy ten ból jest dla nich przyjemnością, czy robią to nawykowo?

– Zdarzają się też obrzęki, opuchnięcia. Nie spotkałem żadnej osoby, która by to robiła celowo.

Uzależnienie od pornografii wiąże się z chemseksem czy to jest niezależne zjawisko?

– Troszkę się pokrywa, ale jest duży obszar niezależny. Chemseks był badany wśród mężczyzn współżyjących z innymi mężczyznami. Wiąże się częściej z seksem partnerskim, przygodnym niż z pornografią. Towarzyszą mu głównie stymulanty. Dzięki temu pojawia się większe pobudzenie, chęć inicjowania seksu. Po stymulantach nie chce się spać, człowiek jest cały czas nakręcony, szuka kolejnych nowości. Seanse z porno trwają po 12 godzin. A podczas seksu partnerskiego nie czuje się wstydu.

Pisze pan, że filmy pornograficzne z XIX w. dzisiaj byłyby łagodną erotyką.

– W najlepszym wypadku! Film z XIX w. po prostu nie pobudza dziś nikogo. Wywołuje raczej znudzenie i rozbawienie. Obecnie większą erotykę mamy na Instagramie. Sutki tam prześwietlają; widać, że ktoś nie ma bielizny.

To jaka według pana będzie przyszłość?

– Cały seksbiznes idzie dalej. To są różnego rodzaju personalizowane seksustugi. Można zapłacić i dostać

dokładnie to, na czym polega czyjaś fantazja. Można sobie zamówić prywatny show na sekskamerce czy namiastkę relacji z sekstingiem na OnlyFans. Pornografia z wykorzystaniem trójwymiarowych gogli nie adaptuje się tak szybko, jak kiedyś jej to wróżyło. Ludzie lubią się przetaczać między bodźcami, w goglach 3D to jest prawie niemożliwe. Na telefonie komórkowym można to robić znacznie szybciej. Natomiast będą się pojawiać różne modele generatywne sztucznej inteligencji. Już teraz można wstawić zdjęcie kogoś, kogo się zna, i zrobić zdjęcie lub krótki filmik porno.

Wojciech Mikotuszko

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Natłukłem zdjęć komórką podczas przechadzek emiliańsko-romańskich, bo Antek ma krótką cierpliwość i zdiagnozowane ADHD, więc zwiedzanie z nim galerii lub kościołów jest sportem ekstremalnym. Trzeba wykorzystać pierwsze pięć minut na ogarnięcie wzrokiem maksimum szczegółów, potem pozostaje fotografowanie i ewakuacja, kiedy dzieciak zaczyna intensywnie protestować. Mieliśmy umowę, że każdego dnia znajdę boisko i pogramy chociaż godzinę, jeśli wytrzyma parę chwil dłużej podczas zwiedzania. Ale ten deal nie działa – serce się kraje, kiedy człowiek widzi męki pańskie na dziecięcym obliczu, ma wyrzuty sumienia; co tam katedry, co tam muzea, na starość je sobie poodwiedzasz, Kuczoku, teraz trzeba ganiać za piłką z dziesięciolatkiem.

A że się napłodziło trochę, to może i tej spokojnej starości wcale doczekać nie przyjdzie: gdyby jeszcze córka

marność, za to Kościół trzyma się dziarsko na powierzchni. To zbyt dobry biznes, żeby mógł się zwinąć. Wokół kwitną biznesy towarzyszące, od handlu relikwiami po zakłady bukmacherskie – teraz można obstawiać wyniki konklawe, najwyżej stoi Filipińczyk, ale Matteo Zuppi też jest wysoko, a płacą siedem do jednego, chyba się opłaca ryzyko. Będę za niego trzymał kciuki, żeby na Tronie Piotrowym znów zasiadł fan futbolu, choć jest pewien szkopuł. Zuppi jest arcybiskupem metropolią bolońskim i żegnając się przed wyjazdem do Watykanu z kapłanami tej archidiecezji, powiedział, że we śnie spotkał św. Petroniusza, patrona Bolonii, który mu przepowiedział, że zostanie w mieście tak długo, dopóki Bologna FC nie zdobędzie *scudetto*. W tym sezonie to już się nie wydarzy, chociaż I Rossoblu grają kolejny świetny sezon, właśnie dotarli do finału Pucharu Włoch.

Sport i turystyka

na późne lata się przytrafiła, byłoby łatwiej, ale gdzie tam, jest młody futbolista, który nie ma innych bogów nad piłkę, każdy zatem dzień wakacyjny dzieli się na wielkie plany turystyczne, niewielkie realizacje, a potem szukanie odpowiedniego boiska i kopanie. Trzeba przy tym mężnie znosić nie tylko wysiłek fizyczny nieprzystający do tuszy i kondycji, należy umieć odpierać nie tylko kąśliwe strzały zza pola karnego, ale też znosić nieustającą kanonadę krytyki: jeśli np. gram za dobrze, frustracja dzieciaka potężnieje do rozmiarów historycznych, jeśli gram za słabo, jestem wyzywany od dziadów, bambików i loserów.

Takie są uroki późnego ojcostwa i biorę je na klatkę, a raczej na biust nieomal laktacyjny, prężący się nad brzuchem w 30. miesiącu piwnej ciąży. Modłę się w tych chwilach boiskowych o nadejście młodocianych mesjaszy tubylczych, którzy by mię wyręczyli i zegrali z Antkiem meczyk, lecz próżne me nadzieje, bo nawet jeśli przychodzą, to jestem zobligowany chociaż do stania na bramce, syn czuje się pewniej ze mną w składzie, ma się na kim wyżywać w razie niepowodzeń.

Owóż, teraz sobie dopiero przeglądam fotografie z wakacji wielkanocnych i przyglądam się z uwagą drobiazgom, w których utkwiał diabeł. Na przykład na mozaice w apsydzie bazyliki Sant'Apollinare in Classe widzę rękę Stwórcy wyłaniającą się z chmur, ale po odwróceniu to tylko smutny obraz dłoni tonącego, któremu ani Mojżesz, ani Eliasze nie pomogą, bo są zajęci błogosławieniem tych, którzy idą w imię Pańskie. Bóg zatonął zatem już co najmniej 1,5 tys. lat temu w gęstwie ludzkiej

To nie kościoły stanowią o wyjątkowości tego miasta, ale nieskończone kilometry podcieni z wszystkich epok. Widać je nawet z korony Stadio Renato Dall'Ara – za sektorem gości, pośród gipsowych wzgórz, wznosi się wpisany na listę UNESCO Portico di San Luca z Drogą Krzyżową.

W ogóle stanowczo wolę stadiony nieokolone zadaniem, bo siedząc wysoko, można sobie popatrzeć choćby na to, jak są wpisane w krajobraz – nowoczesne, zamknięte obiekty są w całości odizolowane od świata zewnętrznego, jak się trafi na mecz październowy, nie ma gdzie przekierować oczu zmęczonych futbolem. Bologna ma stadion uroczo przestarzały, ale stylowo pasujący do architektury miasta; na trybunę wchodzi się – a jakże – przez podcienia, a wieńczy ją kwadratowa wieża, nawiązująca do średniowiecznych drapaczy chmur, z których miasto słynęło. No i tylko na tę jedną atrakcję architektoniczną miałem okazję napatrzeć się do woli u boku Antka wyjątkowo skupionego na wydarzeniach boiskowych.

Teraz się skumulowały święta kościelne i świeckie; od dni wolnych ludzkość tonie jak Bóg na mozaice pod Rawenną, robię więc za Pana Mamę, aby dać odpocząć od macierzyństwa Agacie. Antek „Pana Mamę” lubi oglądać, zaciągnął mnie zatem na koncert Pawła Domagały, mój pierwszy od czasów niepamiętnych rockowy – nawet to niegłupie, niebrzydkie i niekiepskie. Dużo zadbanych dam w średnim wieku, wspaniała sala koncertowa, było gdzie odsapnąć przed kolejnymi dniami na orliku. ■



WORLD PRESS PHOTO





KRYZYS MIGRACYJNY

Zmiany klimatu, pandemia i eskalujące w różnych punktach globu konflikty to czynniki napędzające światowy kryzys migracyjny. Federico Ríos w projekcie „Ścieżki desperackiej nadziei” udokumentował pełne niebezpieczeństw wędrówki jednym z najważniejszych szlaków migracyjnych, przesmykiem Darién.

Od 2021 r. ponad milion osób odważyło się pokonać stukilometrowy odcinek gęstej dżungli łączący Kolumbię i Panamę; prawie wszyscy z zamiarem dotarcia

do Stanów Zjednoczonych. Większość przekraczających Darién w 2024 r. to Wenezuelczycy, ale byli też migranci z Afganistanu, Chin, Nepalu, Kuby, Haiti, Ekwadoru, Peru i innych krajów. UNICEF informuje, że nawet 40% to dzieci i nastolatki. Często wyruszają w krótkich spodenkach i klapkach, niosąc swoje rzeczy w plastikowych torbach. Losy wielu z nich pozostają nieznanne.

MG



FOT. FEDERICO RÍOS

Brutalistyczny budynek dworca kolejowego
w Katowicach, lata 70.



Brutal z Katowic

Dawny dworzec był odważną ikoną architektoniczną, która miała pecha i zaliczała się do niechcianych pamiątek przeszłości

Kamil Iwanicki

Gdy przyjeżdżam do Katowic pociągiem, wychodzę na halę peronową, gdzie betonowe kielichy witają podróżnych. Ponad 10 lat temu przestrzenią dawnego węzła komunikacyjnego zawładnęło ogromne centrum handlowe. Galeria Katowicka wciska się pomiędzy kamienie sprzed wieku. Na wizualizacjach fasada miała odbijać historyczne detale sąsiednich budynków, finalnie powstała srebrna kratka i ogromna przestrzeń reklamowa. Miejsce to przeszło wielką zmianę – czy na dobre, czy złe, nie mnie oceniać, to zależy od perspektywy spojrzenia. Pytanie, czy udało się oswoić zaniedbaną przestrzeń, czy może raz na zawsze straciłszy ikonę architektury?

Dawny dworzec, zwany Brutalem z Katowic, był odważną ikoną architektoniczną, która miała pecha i – jak to określił reportażysta Filip Springer – zaliczała się do źle urodzonych w PRL, niechcianych pamiątek przeszłości. Przez ogół społeczności od lat 90. uznawany był za miejsce

niebezpieczne i zaniedbane. Bryła, która pół wieku temu brutalnie wcięła się w przestrzeń Katowic, po prawie czterech dekadach tak samo błyskawicznie znikła. Nowy kompleks handlowo-usługowy połączony z dworcem ma kształtem nawiązywać do dawnej formy, ale nie wszyscy mogą się zgodzić z tą sugestią. Nowe kielichy to tylko namiastka konceptu, który definiował Katowice i witał przybywających do miasta ponad 50 lat temu.

Budowa linii kolejowej i jej wytyczenie przez teren dzisiejszych Katowic stały się decydującymi czynnikami, które przyczyniły się do dynamicznego rozwoju miasta. Mówi się, że to zasługa przemysłowca Franza von Wincklera, właściciela rozległych majątków na Górnym Śląsku, w tym dóbr rycerskich Bogucice-Katowice, gdzie w 1839 r. ulokował zarząd swojego majątku. Miał on wykorzystać swoje wpływy, by nadać bieg szlaku kolejowego właśnie przez należące do niego tereny. Gdy w 1846 r. uruchomiono połączenie kolejowe pomiędzy Wrocławiem a Mysłowicami, mała miejscowość,

licząca około tysiąca mieszkańców, zyskała na znaczeniu.

W połowie XIX w. dzięki możliwości łatwiejszego transportu w okolicy pojawiają się liczne inwestycje. Trwa budowa nowych hut i kopalń, a co za tym idzie: do Katowic ściągają rzesze ludzi do pracy. Z czasem mała niegdyś wieś staje się coraz bardziej znaczącym ośrodkiem przemysłowym. Po 20 latach Kattowitz udaje się uzyskać prawa miejskie, w tym czasie liczba mieszkańców wzrasta prawie czterokrotnie.

Pierwsza stacja kolejowa Katowice zostaje ulokowana w środku pola, pomiędzy wsiami Dąb i Szopienice. Staje tam mały, skromny budynek z murem pruskim, który przez następne dekady będzie stopniowo rozbudowywany. Przez kolejne dziesięciolecia intensywnie wzrasta liczba przewozów, pociągów i pasażerów, w efekcie stawiane są nowe budynki dworca kolejowego. Z czasem stara stacja przy ulicy Dworcowej staje się coraz mniej wydajna, zbyt mała w stosunku do rosnących potrzeb i aspiracji miasta. Gdy po II wojnie światowej Katowice zostają stolicą



Dworzec PKP Katowice,
czerwiec 1972 r.

Górnego Śląska – centrum przemysłowym Polski – miasto i cały region potrzebuje większego, nowoczesnego dworca kolejowego, odpowiadającego nowym czasom.

W 1953 r. wystraszony pisarz Gustaw Morcinek odczytuje w Sejmie ze śmiertelnie poważną miną: „Lud śląski pragnie, aby Katowice stały się Stalinogrodem”. Na trzy i pół roku Katowice znikają z map, a ich miejsce zajmuje Stalinogród.

Wieczorem 8 marca 1953 r. z megafonów dworca kolejowego wybrzmiewa komunikat: „Tu stacja Stalinogród, były Katowice”. To właśnie

Charakterystycznym elementem dworca jest konstrukcja kielichowa. Po latach tylko pasjonaci potrafili docenić jej kunst.

w połowie lat 50. podjęto decyzję o budowie nowego dworca, ale pomysłów, gdzie ma się znajdować, było kilka. Ostatecznie zdecydowano się ulokować go na zachód od dawnej stacji, jednak najpierw trzeba było wyburzyć kwartały starej zabudowy. Brutal z Katowic miał więc dość brutalne początki, powstał bowiem na gruzach dziesiątek kamienic.

Prace przy przebudowie węzła komunikacyjnego trwają od 1956 r. Przy ulicy Stawowej dawny wagon kolejowy pełni tymczasowo funkcję kas i informacji. W czerwcu 1964 r. zostaje

oddany pawilon od strony placu Oddziałów Młodzieży Powstańczej, który zachował się do dziś. W 2024 r. obiekt obchodzi 60. urodziny i jasno widać, że ten lekki modernistyczny obiekt smutno się zestarzał. Jego elegancka forma zatraciła się, czy to przez zaniedbanie, czy przez późniejsze zmiany, takie jak nadanie konstrukcji niebieskiego koloru, co przyniosło nie najlepszy efekt. Od 10 lat PKP wspomina o przebudowie tego miejsca, bo nie tylko budynek dworca nie przynosi chluby miastu, ale też cała podobnie wyglądająca okolica. Przed pawilonem stoją współczesne

budki z kebabem, dookoła działa parking, a plac stanowi antywizytówkę miasta. Zamiast planować odnowę tego miejsca i nawiązanie do oryginału, przygotowuje się kolejne projekty, które są jak wymyślanie kota na nowo.

Koniec lat 50. – trwają wielkie przygotowania do budowy nowego dworca PKP w Katowicach. Konkurs Stowarzyszenia Architektów Rzeczypospolitej wygrywa w 1959 r. biuro architektoniczne tzw. Warszawskich Tygrysów. To znany w kraju zespół architektów: Wacław Kłyszewski,

Jerzy Mokrzyński i Eugeniusz Wierzbicki. Ich dziełem jest m.in. monumentalny modernistyczny gmach Domu Partii w stolicy. Na Górnym Śląsku projektanci tworzą koncepcję zupełnie odmienną, w pewien sposób wywrotową, tak jak odwrócone kielichy, które miały utrzymać całą konstrukcję.

W tym czasie styl brutalistyczny zaczyna coraz śmieiej wkraczać do Europy Zachodniej. Zaczynem jest projekt ojca modernizmu Le Corbusiera, który stworzył słynny blok mieszkalny Unite d’Habitation, czyli Jednostkę Marsylską. Architekt zastosował w obiekcie nieotynkowany beton, nazywany przez niego *béton brut*, skąd wywodzi się nazwa stylu. Nowy styl miał wreszcie dawać architektom szansę szczerzej formy wypowiedzi. Podkreślał wszystkie niedoskonałości – połączenia desek, odciski i sęki. W Wielkiej Brytanii orędownikami brutalizmu stało się małżeństwo architektów Peter i Alison Smithsonowie. Projektują oni szkoły, domy i obiekty publiczne, wykorzystując surowy beton. Mawiają: „Brutalizm stara się stawić czoło społeczeństwu masowej produkcji, stara się stworzyć surową poezję z działających skomplikowanych i potężnych sił”.

Warszawskie Tygrysy projektują dworzec w Katowicach, wykorzystując śmiałe i nowatorskie idee brutalizmu swoich czasów. Najbardziej charakterystycznym elementem nowego dworca jest konstrukcja kielichowa. W dwóch rzędach staje 16 kielichów z żelbetu.

Po latach tylko najwięksi pasjonaci architektury potrafili docenić kunst tej konstruktywistycznej formy, skrytej pod warstwami brudu i kurzu. Podobne projekty z wykorzystaniem tej niezwyklej, nowoczesnej koncepcji kielichów można było spotkać w wielu miejscach (lotnisko Newark w New Jersey w Stanach Zjednoczonych, we Włoszech Palazzo del Lavoro na wystawę Italia 1961 w Turynie).

Prace przy budowie dworca kolejowego trwały kilkanaście lat, więc gdy w 1972 r. oddawano Brutal z Katowic, na świecie styl późnego

► modernizmu powoli odchodził w zapomnienie. W Polsce dworzec w Katowicach uznano za najlepszy przykład brutalizmu. Był to ogromny gmach: 140 m długości, 53 szerokości, dwie kondygnacje, na których znajdowały się kasy i poczekalnie, a ponadto liczne punkty usługowo-handlowe – poczta, kioski, kawiarnie, restauracja, bar, a nawet hotel. W godzinę dworzec mógł obsłużyć 25 tys. pasażerów. Na wielkim placu przed gmachem stacji kolejowej funkcjonował dworzec autobusowy, skąd ikarusy zabierały pasażerów do dzielnic Katowic i okolicznych miast. (...)

Dlaczego podjęto decyzję o likwidacji Brutala? To trudne pytanie. Początek XXI w. to czas rozliczania się z postkomunistycznym dziedzictwem, które stało się zbyt ciężkie, niechciane i wydawało się nieprzystosowane do nowych czasów.

Nowe kielichy to tylko namiastka konceptu, który definiował Katowice i witał przybywających do miasta ponad 50 lat temu.

W Warszawie kilka lat wcześniej wyburzono pawilon samoobsługowego marketu Supersam z lat 60., uznawany za jeden z najciekawszych przykładów modernizmu w kraju. W Katowicach w 2003 r. bez większych oporów wyburzona została hala sportowa Huty Baildon z jej niezwykle lekką konstrukcją i niecodzienną formą. Informacje o przebudowie dworca w Katowicach zaczęły się pojawiać już wcześniej, ale w 2006 r. pomysł nabierał coraz bardziej realnych kształtów. W tym czasie trwały już wielkie inwestycje w dworce kolejowe w całej Polsce w ramach przygotowań do Euro 2012. Dominowało podejście: stacje muszą być dostosowane do nowych czasów, pusta przestrzeń nie może się marnować, należy skomercjalizować dworce, aby mogły zacząć na siebie zarabiać.

Nowy dworzec w Katowicach ma witać fanów futbolu na mistrzostwach już za kilka lat. Z różnych koncepcji na pierwszy plan wysunął się pomysł likwidacji starego dworca, co wzbudziło opór społeczny. Jednak w opinii publicznej słychać było też głosy, że lepiej zrównać z ziemią

ten komunistyczny syf, niż wydawać wielkie fundusze na jego rewitalizację.

W 2009 r. PKP podpisuje umowę z firmą Neinver Polska na budowę nowoczesnego kompleksu handlowo-komunikacyjnego składającego się z dworca kolejowego, dworca autobusowego, centrum handlowego, parkingu i biurowca. Inwestor obiecuje, że zachowa budynek dworca, a do niego dobuduje nowy obiekt handlowy. Kilka tygodni po podpisaniu umowy, w sierpniu, inwestor organizuje konferencję prasową i oświadcza, że stan techniczny konstrukcji kielichowej jest zły, dlatego dworzec należy wyburzyć. Tej decyzji sprzeciwia się konserwator, który mówi, że dworzec zostanie wpisany do rejestru zabytków. Dziennikarz „Gazety Wyborczej” oraz specjaliści zauważają, że wyniki ekspertyzy są celowo zmanipulowane, a problem

korozji zbrojenia można rozwiązać dzięki pracom konserwacyjnym, którym zresztą trzeba poddać cały gmach.

Mimo że Brutal, jak wiele źle urodzonych, ma dużą wartość architektoniczną, kulturową, historyczną i społeczną, dominuje opinia, że to zaniedbany obiekt nieprzystający do współczesnych czasów. Innego zdania są lokalni aktywiści, badacze i inicjatorka protestów, historyczka sztuki prof. Irma Kozina, którzy podkreślają, jak istotne jest zachowanie tego pomnika brutalizmu. Wykorzystują media społecznościowe: na Facebooku architekt i dziennikarz Tomasz Malkowski zakłada profil Brutal z Katowic, dzięki któremu popularyzuje temat i pomaga miłośnikom architektury brutalistycznej się organizować. Gdy los dworca zdaje się już przesądzony, pisze: „Nazywają mnie Brutalem z Katowic. Przy pierwszym poznaniu wydają się szorstki i nieprzyjemny, ale mam duszę poety. Moje dni są policzone – czekam na wykonanie wyroku śmierci”.

Architektki i eksperci przez kolejne miesiące apelują o zachowanie

dworca. Stowarzyszenie Napraw Sobie Miasto organizuje akcję symbolicznej sprzedaży kielichów, znany w kraju projektant Tomasz Konior zakupuje jeden z kielichów, kilka dni później kolejny kielich przejmuje ceniony architekt ze Szwajcarii Bernard Tschumi. Pasjonaci i specjaliści organizują akcje protestacyjne, powstają nawet koszulki. Żadne działania nie przynoszą jednak efektu – decyzja została już podjęta.

Dwa dni przed Wigilią w 2010 r. rozpoczyna się likwidacja dworca w Katowicach. Przez kolejne trzy tygodnie na placu budowy nieprzerwanie pracują buldożery i spychacze – trwa intensywny proces rozbiórki przekształcający Brutala z Katowic w gruzowisko. 11 stycznia 2011 r. ostatni kielich zmienia się w pył, żłom i gruz. Jeszcze dwa miesiące trwa wyburzanie konstrukcji fundamentów, jednak to 11 stycznia 2011 r. zostaje uznany za datę śmierci Brutala z Katowic.

Gdy gruzы Brutala są już porządkowane, wiosną 2011 r. Generalny Konserwator Zabytków stwierdza, że zgoda Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Katowicach została wydana zbyt wcześnie. Niektórzy uważają, że mogła ona zostać podjęta pod naciskiem władz, którym zależało na wielkich inwestycjach zmieniających miasto.

Ponad półtora roku trwa budowa nowego dworca połączonego z Galerią Katowicką. Kielichy mają zostać odtworzone na wzór pierwotnych. Tak też się dzieje. Niby są takie same, ale zupełnie inne. Tracą pierwotny kontekst przestrzeni. Zostają wchłonięte w przestrzeń Galerii Katowickiej, wciśnięte pomiędzy sklepy i punkty usługowe, pocięte przez piętra centrum handlowego. Większość z nich jest schowana i trudno ujrzeć ich pełny kształt. Hala dworcowa staje się integralną częścią kompleksu handlowego, a nie na odwrót. Zatem: straciliśmy kielichy i niby je odzyskaliśmy. Ale czy na pewno?

Fragmenty książki Kamila Iwanickiego *Śląsk, którego nie ma*, Helion, Gliwice 2025



Obcy są wśród nas

Inwazyjne gatunki obce zwierząt tak już mają, że często wyglądają uroczo. Przynajmniej na początku



Jenot azjatycki



Nutria amerykańska

Marek Maruszczak

Chociaż w przeciwieństwie do pewnego agenta sprzed kilku dekad wcale nie chcę w to uwierzyć, to inwazyjne gatunki obce przyczyniły się do wyeliminowania niezliczonych zagrożonych gatunków rodzimych. Przede wszystkim przez drapieżnictwo i roznoszenie pasożytów oraz patogenów niebezpiecznych chorób. Tylko my, ludzie, jako gatunek jesteśmy w tym bardziej skuteczni, ale u nas nie nazywa się tego inwazyjnością, tylko odkryciami geograficznymi, demokracją albo all inclusive. (...)

Inwazyjne gatunki obce tak już mają, że często wyglądają uroczo. Przynajmniej na początku, zanim dzieci podrosną, a rodzice uznają, że przecież żółwikowi będzie dobrze w osiedlowym stawie (jeżeli miał szczęście) albo w kanalizacji. (...)

Wśród inwazyjnych gatunków obcych zwierząt przodują te, które da się trzymać w akwarium. Z jakiegoś powodu ludzie uważają, że mały żółwik albo ślimaczek nie poczynią w środowisku naturalnym takich spustoszeń jak choćby tygrys

albo hipopotam. No, może poza mieszkańcami Kolumbii, którym na pamiątkę po Escobarze zostały najbardziej zagubione hipopotamy świata. Szczerze mówiąc, ja bym już wolał tygrysa od żółwi. Przynajmniej w wiadomościach pokazywaliby coś mniej potwornego niż zwykle. Niestety, dużo bardziej prawdopodobne niż to, że wielki kot zje nam sąsiada, jest to, że rumiane żółwie przetrzebią

Jeżeli samo przylezie, to swojak, jeżeli przyniesiemy w kieszeni albo na podeszwie buta, to obcy.

lokalną populację traszki i zrobią nieuczciwą konkurencję naszemu błotniakowi. (...)

Nie wszystkie zastęgi w roznoszeniu gatunków inwazyjnych możemy przypisać naszemu świadomemu działaniu. Część, i to prawdopodobnie większą, rozwekliśmy niechcący. Jednym z głównych sposobów, w jakie gatunki inwazyjne zwiedzają świat, są wody balastowe statków oraz zewnętrzne części ich kadłubów. To w ten sposób z USA do Europy dotarły raki pręgowane. I to właśnie wielkie odkrycia geograficzne

zapoczątkowały jedną z największych inwazji w dziejach świata. Przyczyniły się również do rozwleczenia obcych gatunków zwierząt i roślin.

Według niektórych szacunków szkody czynione przez gatunki inwazyjne są nawet większe niż te powodowane przez zanieczyszczenie środowiska. W sumie nic dziwnego – środowisko w końcu samo się nie zanieczyści. (...) Wiele z inwazyjnych

zwierząt jest samodzielnych, szczególnie teraz, kiedy luty jest nowym marcem itd. – aż do czerwca, który w centrum miasta stanowi przedsiónek piekła zamaskowany pod postacią połowy hektara taniego granitu z Azji.

W opozycji do gatunków obcych znajdują się gatunki autochtoniczne, czyli rodzime. Gatunki rodzime to nasi zwierzęcy ziomeczkowie, fauna z sąsiedztwa, krewni i znajomi królika. Nie oznacza to, oczywiście, że jeżeli nadarzy się okazja, to nie upitoła nas w końcówkę człowieka. Oznacza ▶



Żółw czerwonolicy



Piżmoszczur

▶ natomiast, że są u siebie – i trzeba to uszanować. No więc takimi gatunkami rodzimymi w Polsce są np. żubr, bóbr, łos, lis, wilk, kuna, koń, wydra, ryjówka, zając i szakal złocisty. Obecność szakala w tej wyliczance jest całkowicie naturalna i wynika z tego, że gatunki, które sobie do nas same przykopytkowały, bo im się np. habitat rozciągnął z powodu gorąca, są traktowane jako rodzime. Podsumowując – jeżeli samo przylezie, to swojak, jeżeli przyniesiemy w kieszeni albo na podeszwie buta, to obcy.

Tłuszczur piżmak/piżmoszczur

Piżmoszczur albo piżmak, jak kto woli, to taki podrabiany bóbr z Ameryki, który tak naprawdę jest w sumie chomikiem. Swoją nazwę zawdzięcza urodzie oraz temu, że samcowi podczas rui śmierdzi z bebecha. Piżmoszczura pokrywa tłuste, błyszczące futerko, które sterczy mu na wszystkie strony, jakby przed chwilą wyszedł z kąpeli. Prawdopodobnie tak właśnie było, bo drań uwielbia środowisko wodne. Gdyby to od niego zależało, całymi dniami siedziałby w wodzie albo obok niej i wcinał tatarak.

Dom piżmoszczura to szereg korytarzy z wejściem pod wodą, wydrążony nad brzegiem jakiegoś zbiornika. Tuż obok siebie podobnych tuneli może być kilka – i wtedy mamy do czynienia z kolonią oraz zamachem na polską architekturę wodną. Piżmoszczur być może

wygląda jak chomik, który wpadł do słoja z melasą, ale wcale nie jest taki słodki. Przede wszystkim ze względu na zwyczaję mieszkaniowe. Gość lubi drążyć dziury w brzegach rzek, groblach i tamach. Nie przejmuje się zbytnio, że człowiek uregulował brzegi, a teraz on robi z nich ser szwajcarski. To, czy zawsze regulowaliśmy słusznie, to już jest inna sprawa i nie potrzebujemy żadnego importowanego niby-bobra, żeby nam błędy wytykał.

Zimą piżmoszczur obiera inną strategię budowlaną. W pocie piżmaka zbiera łodygi trzciny sitowia i inne wodne chabazie i buduje z nich chatkę, która wyglądem przypomina brzydką brązowo-zielony kopiec, ale i tak jest lepsza niż to, co ludzie stawiają w Ameryce. Piżmoszczur ma spłaszczony ogon, którego używa podczas pływania, i małe uszka, których prawie nie widać spod sierści. Jego przewód słuchowy podczas nurkowania pozostaje zamknięty przez specjalny fałd skórny. Dzięki temu po wyjściu na brzeg piżmoszczur nie musi podskakiwać na jednej łapce, robiąc widowisko, aż mu się ucho odetka.

To właśnie z powodu zazdrości o te nadnaturalne moce pokąpielowe Europejczycy tak namiętnie polowali na ten gatunek tuż po tym, jak wpadli w odwiedziny do Ameryki Północnej. Potem się tam trochę zasiedzieli, ale to już materiał na inną historię. Polowali również z powodu ubrania piżmoszczura, czyli jego

gęstego futerka. To dlatego sprowadzono go do Europy. Zrobił to w 1905 r. pewien hrabia mieszkający w Czechach, który nie podumał, że jak coś się mnoży trzy lub cztery razy do roku, i to jednorazowo w siłę do 14 młodych, to staw przy pałacu może się okazać jednak za mały. W ten sposób 10 osobników tłustego futrzaka skolonizowało Czechy szybciej niż knedle. Ten sam scenariusz powtórzył się w Finlandii i w Związku Radzieckim, a wkrótce cała Europa trąciła piżmakiem.

Rumiany najeźdźca żółw czerwonolicy

Żółw czerwonolicy to przykład jak z amerykańskiego snu, tylko zamiast od pucybuta do milionera przebył drogę od klasowego pupila do gatunku inwazyjnego. Zupełnie jak Amerykanie na Bliskim Wschodzie. Koleś zje wszystko, co zmieści do pyska, aż mu będą czerwone poliki latały. Owady, ryby, skorupiaki oraz rośliny – żółw nie pyta, tylko robi chaps. Co ciekawe, z wiekiem staje się coraz bardziej roślinożerny, i to mimo że żyje w zarośniętych rzekach lub jeziorach, a nie w centrum Warszawy. Pierwotnie żółwik ten żył przede wszystkim w dolinie rzeki Missisipi, czyli w USA. Amerykanie szybko jednak podłapali, że czerwone kreski na mordzie podobają się zarówno dzieciom, jak i dorosłym. Dlatego założyli liczne hodowle, a wkrótce zajęli się również eksportem. Szacuje się, że w latach 1989-1997 z USA postano w świat aż

52 mln tych złotych. Skupiając się na gatunkach inwazyjnych, w tym czasie Stany chętniej dzieliły się jedynie demokracją i bajkami Disneya.

Obecnie czerwonolicy nosiciel skorupy jest dostępny na każdym kontynencie z wyjątkiem Antarktydy. W tym również w Polsce, gdzie w latach 90. stał się jednym z najpopularniejszych prezentów dla dzieci, zaraz obok pegasusa i traumy po scenie z wilkami w „Akademii Pana Kleksa”. Niestety, prezenty szybko przerosły nasze możliwości i wyobrażenia. Żółwik czerwonolicy początkowo jest mniejszy od pudełka zapalek, szybko jednak rośnie i jest dosyć upierdliwy w hodowli.

Co zrobić z nietrafionym złotym podarkiem? Tysiące osób w naszym pięknym kraju uznały, że najlepiej zwrócić mu wolność. Efekty były optykane. Dranie rosą większe od żółwia błotnego, bo aż do 30 cm długości skorupy, i składają więcej jaj – nawet trochę ponad 20. Poza tym, że zżerają habitat naszemu błotniakowi, roznoszą również sporo pasożytów i chorób. W dodatku żółwie czerwonolice robią to, co każdy amator solidnej wyżerki, czyli ekstensywnie korzystają z ustępu. Tak, żółwie zasrywają nam ekosystem na skalę niespotykaną wśród rodzimych gadów. Jak tak dalej pójdzie, to działalność ich jelit może doprowadzić do utworzenia trzeciej izby parlamentu. Obecnie zarówno w Polsce, jak i w Unii Europejskiej obowiązuje zakaz importu oraz hodowli rumianego żółwika. Kto ma, niech się cieszy i pod żadnym pozorem nie wypuszcza drania na piesze wycieczki. Istnieje co prawda teoria, zgodnie z którą żółw czerwonolicy mógłby zasiedlić tereny miejskie, z których mniej odporne gady zostały wyparte wskutek radosnej działalności człowieka. Lepiej jednak nie ryzykować. (...)

Bobroszczur nutria amerykańska

Nutria to taki bóbr z Ameryki Południowej. Przy czym ani nie jest bobrem, ani nie chce siedzieć w Ameryce. Ma natomiast pomarańczowe siekacze i doskonale radzi sobie w wodzie. Pod jej powierzchnią potrafi wytrzymać nawet 10 minut,

choć dla jej własnego bobra lepiej byłoby, gdyby w ogóle z niej nie wychodziła.

Nutrie amerykańskie występujące w Europie to co do jednej uciekinierzy z różnego rodzaju futrzanych Alcatraz, w których są przerabiane na ubrania dla emerytek i żon właścicieli punktów skupu złomu.

Nutria zwykle waży ok. 9 kg. Z wierzchu porośnięta jest sztywnym brunatnym futrem, które zasmaruwuje wydzieliną z gruczołów zapachowych. Jak już się nią cała utyła, to bez obaw o utratę ciepła wskakuje do wody i szuka jakiejś smacznej kłody lub kłącza. Jeżeli przypadkiem trafi na gniazdo z pisklętami, tym lepiej dla niej, a dla piskląt... cóż, przynajmniej długo nie cierpią.

Jednym z głównych sposobów, w jaki gatunki inwazyjne zwiedzają świat, są wody balastowe statków oraz zewnętrzne części ich kadłubów.

Wolne nutrie najłatwiej spotkać na zarośniętych brzegach różnych spokojnych zbiorników wodnych. Moczą tam tyłki i w małych rodzinnych grupach zajmują się niszczeniem bagien i torfowisk. Każdego dnia zjadają ok. 25% masy swojego ciała. Pożerają całe rośliny, łącznie z korzeniami. Roślina zjedzona w całości ma raczej nikłe szanse odrosnąć. W dodatku gleba pozbawiona korzeni ulega erozji.

Jakby tego było mało, te tłuste dranie ryją w wałach przeciwpowodziowych, niszczą uprawy ryżu i wyrządzają szkody na polach golfowych. Nie wiadomo, co dokładnie zawinił nutriom sport dla grubych białych koleś w fikuśnych portkach, ale prawdopodobnie chodzi o kwestie podatkowe.

Mam na imię Jenny jenot azjatycki

Jenoty trafiły do Polski z Litwy, Ukrainy i Białorusi, jak nawozy potasowe, tanie zboże oraz fajki, które wypadły komuś z ciężarówki, i tak jak one najliczniej występują na Pomorzu, Mazurach oraz na Podlasiu. Pierwszy raz jenot, który oryginalnie pochodzi aż z Azji, był u nas widziany w 1955 r. w Puszczy Białowieskiej,

a później rozlaź się po całej Polsce. Całą poza Karpatami, no bo jednak przepraszam, ale bez przesady.

Jenot jest aktywny przede wszystkim w nocy, a dzień spędza zwykle w jakiejś jaskini, wykrocie, dziupli lub norze po lisie albo borsuku. Czyli dokładnie tak jak warszawiacy, kiedy trafiają na Warmię i Mazury, tylko wtedy to się nazywa agroturystyka lub glamping. Glamping, jakby ktoś nie wiedział, to taki wynalazek, że płacisz za namiot u kogoś za stodołą jak za pokój w Hiltonie, ale za to dostajesz sypanego jacobsa do łóżka i krowi placek przed drzwiami. Skoro o placach mowa – na zajmowanych terenach jenoty wyznaczają tak zwane latryny, które są nie tylko miejscem załatwiania potrzeb fizjologicznych,

ale i centrum życia towarzyskiego. Jenoty zostawiają tam wiadomości dla swoich współplemieńców. Na tej samej zasadzie działają baseny publiczne oraz kąpieliska.

W przypadku zagrożenia jenot potrafi udawać martwe zwierzę, co – patrząc na niego – nie jest wcale jakimś wielkim osiągnięciem. To najmniejszy psowaty występujący w naszym kraju i jedyny, który zapada w sen zimowy. Ma od 50 do 70 cm długości, waży zwykle od 4 do 10 kg i wygląda jak szop prac, gdyby jego ojcem był Ryszard Terlecki. Co je jenot? Jenot je drobne gryzonie, żaby, jaszczurki, ślimaki, ptaki, owady, nasiona, a także padlinę. Czyli wszystko to, co znajdziecie w zapiekance kupionej nad wodą w krainie tysiąca jezior, szmateksów i budek z kebabem ze stolicą w Olsztynie.



Fragmenty książki
Marka Maruszcza
*Głupie zwierzęta
Polski i jak je znaleźć*,
Znak Koncept,
Kraków 2025

Pajęczyna

Rozmawiało trzech byłych ambasadorów przy kawie. Że są dwie szkoły określające, czym jest polityka zagraniczna. Jedna – że jest funkcją polityki wewnętrznej. Druga – że odbiciem sytuacji międzynarodowej. Obie słuszne – występując w Sejmie, minister Sikorski wołał: „Cała Polska naprzód!” i nie szczędził opozycji uszczypliwości. Opowiadając zaś o świecie, najczęściej powtarzał, jak wyliczył to jeden z naszych byłych ambasadorów, słowa: Europa (100 razy), Rosja (57), obrona (52), bezpieczeństwo (41). Pokazuje to sytuację, w której znalazły się Polska i nasz kontynent.

Jest jeszcze jedna prawidłowość – otóż kraje średniej wielkości nie mają co roztaczać wielkich planów i śnić o narzucaniu innym swoich wizji, bo to niemożliwe. Szczególnie w czasach, gdy siła i bomby liczą się najbardziej. Ważniejsze jest snucie pajęczyny wzajemnych zobowiązań.

To dlatego minister Sikorski podczas debaty nad polityką zagraniczną powtarzał: Europa, bezpieczeństwo... A nie powiedział ani słowa o tym, jaki Polska ma plan na zakończenie wojny rosyjsko-ukraińskiej. I słusznie, bo nie od Polski to zależy. A co do pajęczyny...

Wypominano mu (pisaliśmy o tym tydzień temu), że ostentacyjnie zlekceważył szczyt Trójmorza. Sikorski tłumaczył, że szczyt organizowała Kancelaria Prezydenta i niczego nie uzgadniała z MSZ – ani tematów posiedzenia, ani treści przedkładanych dokumentów. No, wiadomo, że w wizjach PiS Trójmorze miało być wielką strukturą, bastionem amerykańskich wpływów w Europie. Ale przecież każdy przytomny wie, że to były fantasmagorie, że nie dla Trumpa państwa uczestniczące w tym formacie chcą go utrzymywać.

Druga sieć to Wyszehrad, ale ona nie pracuje, gdyż Węgry mają inne plany. Za to rozwija się współpraca państw bałtyckich: Szwecji, Finlandii, Estonii, Łotwy i Litwy, tu nasza dyplomacja może popracować.

Trójkąt Weimarski? On z kolei jest na etapie odbudowy. Za czasów PiS to była uśpiona struktura, w ciągu ośmiu lat do spotkań na szczelbu ministrów spraw zagranicznych doszło cztery razy. Sikorski po półtora roku ministrowania spotkał się siedem razy. I to w czasie, kiedy zarówno we Francji, jak i w Niemczech mieliśmy zawirowania polityczne.

Po objęciu urzędu kanclerskiego przez Friedricha Merza spodziewajmy się ściślejszej współpracy polsko-niemieckiej. Przyszły szef jego dyplomacji był już w Polsce, obejrzał z Sikorskim mecz Legii Warszawa i przedyskutował plany wspólnych działań.

No i najważniejsza pajęczyna – Unia Europejska. 7 maja będzie miał miejsce w Warszawie nieformalny szczyt szefów dyplomacji państw unijnych, w formacie Gymnich. Ogólnie, jak mówił Sikorski, Polska w czasie prezydencji gości ponad 300 wydarzeń koordynacyjnych, eksperckich i kilkanaście konferencji tematycznych oscylujących głównie wokół sprawy bezpieczeństwa. MSZ w kalendarzu prezydencji zaplanowało 42 spotkania, z których odbyło się 27. Do tego dorzucimy polskie działania w Unii, głównie dotyczące obronności. Czy to dużo, czy mało?

Opozycja wołała, że to mrzonki, że Europa to gadulstwo, opieranie bezpieczeństwa na Niemczech, Francji i Wielkiej Brytanii nigdy się nie udało. Że tylko Ameryka! Sikorski odpowiadał, że stawiać na Trumpa, który chce się dogadać z Putinem, raczej jest naiwnością. Wracamy więc do tkania pajęczyn. Taki mamy wybór.

Attaché

Nakizumo to zawody sumo z płaczącymi dziećmi. Sędzia wydaje głośne dźwięki i robi miny, a wygrywa małe, który głośniej zapłacze. Japończycy wierzą, że ten rytuał wspomaga rozwój dzieci i odstrasza złe duchy. Świątynia Sensō-ji w Tokio, 26 kwietnia 2025 r.



PENETRACJE



PANOWIE SPADAMY, DUDA IDZIE.



PIESIEWICZ, PIESIEWICZ.....

TO KTOŚ Z PLATFORMY?



Wiesz że w Ameryce co 3 minuty potrącana przez samochód jest jedna kobieta?



Biedaczka, ale się na nią wzięli!



To się nazywa mieć renomę, proszę pana!

Bez imienia, bez nazwiska, a i tak wszyscy wiedzą, o kogo chodzi!

RES HUMANA **PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO,** BYŁY WICEPREMIER

Nieprawdą jest twierdzenie, że Rosja wydaje na militaria więcej niż Europa. Akurat jest odwrotnie, o czym powinni wiedzieć polityczni przywódcy – prezydenci, premierzy, ministrowie spraw zagranicznych i obrony. Jeśli nie wiedzą, to wstyd, bo jako profesjonalni politycy wiedzieć powinni. Ale sądę, że wiedzą, a zatem jeśli świadomie głoszą nieprawdę, to po prostu kłamią. Jeszcze gorszy wstyd! Rok 2024 był dziesiątym z kolei, w którym wydatki wojskowe europejskich państw NATO wzrosły, osiągając równowartość 476,2 mld dol. (budżet wojskowy USA był z górą dwukrotnie większy, wynosząc 968 mld dol.; Kanada wydała 25,1 mld dol.). Tak licząc, Polska wydała na obronę narodową 28 mld dol., plasując się w NATO na szóstym miejscu po USA, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Francji i Włoszech.

KRAKÓW **JAN PESZEK,** AKTOR

Jak to jest być reżyserowanym przez własnego syna?

– O ile na początku nie mogłem zrozumieć, czego chce ode mnie reżyser Błażej Peszek, o tyle szybko byłem pod wrażeniem tego, jak on projektuje znaczenia, przestrzeń teatralną, w jaki sposób słucha aktora, respektuje jego propozycje, jak jest wierny sobie – swojej wyobraźni, wrażliwości i światom, które stwarza. Obcowanie z synem w relacji reżyser-aktor okazało się niezwykle przygodą. Przecież jestem na scenie ponad 60 lat, zagrałem kilkaset ról i to ja raczej powinienem podpowiadać mu rozwiązania. Tymczasem on mi proponował tak nieoczywiste podejście do niektórych scen, że w ogóle z nim nie dyskutowałem i poddawałem się jego pomysłom.

TwojSTYL **KATARZYNA KRZYWICKA-ZDUNEK,** SOCJOLOŻKA

Jesteśmy społeczeństwem niedocenionym. Nie doceniamy sami siebie i nie robi tego nasze otoczenie. Rzadko siebie chwalimy: w tym jestem dobra, a bliscy nie biją braw za smaczny obiad, bo to oczywistość, że dobrze gotujemy. A wszyscy potrzebujemy pozytywnych wzmocnień. Robiliśmy badania dla pewnej firmy cukierniczej, która zastanawiała się, czy w swoich kawiarniach zrezygnować z deserów podawanych w ogromnych porcjach. Zapytałyśmy o to na grupach fokusowych, a kobiety natychmiast zaprotestowały: nie usuwać wielkich deserów! Bo jak już zapagniemy kupić sobie coś dla przyjemności, to musimy to poczuć z całą mocą. Więc niech nagroda będzie duża i słodka. Zasłużyłyśmy. Albo lepiej: jesteśmy jej warte.

na szczycie **MAGDALENA PRZYSIEWEK,** PODRÓŻNICZKA

Kolumbię, Ekwador, Peru czy Boliwię da się zwiedzić niskobudżetowo. W takich najprostszych restauracjach obiad kosztuje nawet 5 czy 10 zł. Hotele są tańsze niż w Polsce. My bardzo często podróżujemy z namiotem, bo bywamy w miejscach, gdzie nie ma hoteli. Nie jesteśmy motocyklistami przez duże M. Jesteśmy podróżnikami jeżdżącymi na motocyklach. Nie mamy więc profesjonalnych ciuchów, jeździmy w naszych trekkingowych. Nie mamy też kufrów na bagaże, więc codziennie musimy zdejmować i zakładać plecaki. Do tego dochodzi codzienne rozkładanie namiotu. Podczas naszych podróży zawsze działamy bez planu. Spontanicznie rezerwujemy noclegi, np. z dnia na dzień lub nawet godzinę przed. Uwielbiam, gdy jedziemy na motocyklach, tak jak teraz w Kirgistanie, dojeżdżamy do jakiejś wsi i dopiero szukamy „homestaya”. Z takiego wybierania noclegów zawsze są najlepsze przygody.

UWAGA, BYKI!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów. Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



Z

* wydawana przy kawie

T

* jeden z czterech w doku

L

* wsuwanie pestek

ROZWIĄZANIA: RESZTA, KWARTAŁ, DRYLOWANIE



Aby język giętki...

PROF. PRZEMYSŁAW SADURA O LEWICY

Postrzegana jest przez społeczeństwo jak mały, rozszczekany piesek, który nie ma żadnej władzy, za to jest irytująco głośny.

TOMASZ RACZEK O WOJCIECHU SMARZOWSKIM

Środowisko się go boi. Nie jest królem marketingu i nie bardzo umie dbać o autoreklamę.

GRAŻYNA SZAPOŁOWSKA O WIEKU

W głowie czuję się małą. Jeśli ktoś mówi, że w tym wieku nie wypada machać tyłkiem przed ekranem, to ja mówię, że właśnie w tym wieku wypada.

KRZYSZTOF KWIATKOWSKI

O FUZJI ORLENU Z LOTOSEM

To jest największy przewal XXI w. w Polsce, przeputano 5 mld zł, za bezcen oddano nasz majątek.

KATARZYNA SZYMIELEWICZ

O WOJNIE INFORMACYJNEJ

Rząd i UE powinny dotować krytyczną edukację technologiczną, alternatywne media społecznościowe i jakościowe dziennikarstwo.

JAN ENGLERT O MYLENIU KOMPROMISU Z KONFORMIZMEM

Nie można nazwać kompromisem czegoś, co służy tylko mnie, a nie sprawie. To jest właśnie konformizm.

AGNIESZKA SMOCZYŃSKA O OPERZE VERDIEGO

Widz przeżyje katastrofę, ale dostanie też nadzieję, że być może uda się uratować coś z tego świata.

MAGDA MOŁEK O NADZIEI

Tak jak nie magazynuję złości, tak zawsze mam nadzieję.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl
listy@tygodnikprzeгляд.pl

tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji:

Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,

Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Patkiewicz, Rafał Piłkuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumulowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,

Andrzej Werbilan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,

Artur Zaborski, Beata Znamierowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,

Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,

Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widadcki,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak,

Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredaktorzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyszyn

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeглядzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

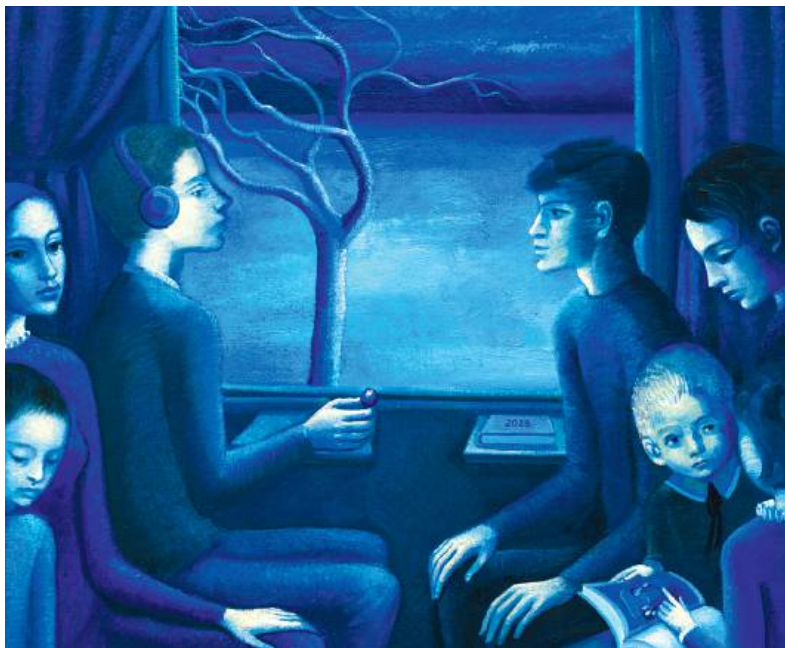
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

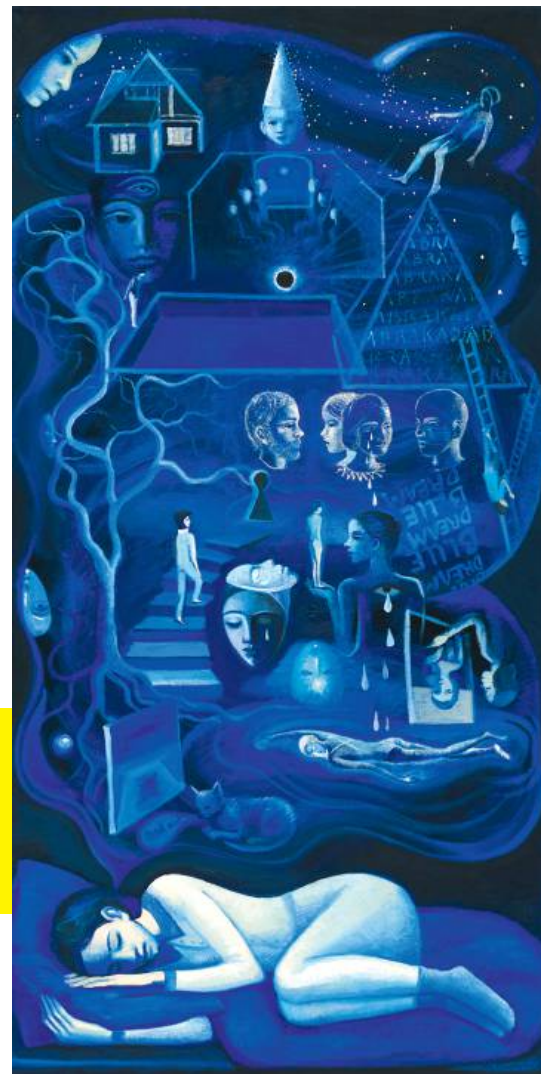




Niebieski sen

Katarzyna Karpowicz Niebieski sen

„Niebieski sen” to opowieść rozgrywająca się na 23 płótnach, które łączy kolor niebieski. Są tu powracające sny, podróże pociągami, baseny, a także domki dla lalek. Postrzeganie i odczucie koloru u każdego człowieka jest inne; dla autorki te obrazy mają w sobie spokój, lekkość, ale i ciepło, wbrew temperaturze barwy. Niebieski jest dla artystki kolorem zmysłowym, wręcz erotycznym, przypisanym do tego, co cielesne. Ale cielesność za sprawą koloru wymyka się w rejony nadzmysłowe, metafizyczne.



Powracające sny



Niebieski domek

**Artemis – Galeria Sztuki Współczesnej
Kraków, ul. Poselska 15
od 15 maja do 14 czerwca**



Zdjęcie z pracowni Katarzyny Karpowicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

Republika Korei – Gość Honorowy

targiksiazkiwarszawa.pl



Światy Łączone Słowami
Republika Korei Gość Honorowy 2025

15-18 maja 2025
PKiN, plac Defilad
i Muzeum Sztuki
Nowoczesnej

Organizatorzy



PROJEKT.KSIĄŻKA

Gość Honorowy



Embassy of
the Republic of Korea
in Poland



한국문화원
Korean Cultural Center

Patronat honorowy



MARSZAŁEK SENATU
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Małgorzata Kidawa-Błońska



Minister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Minister
Spraw Zagranicznych



patronat honorowy
Prezydenta miasta
stołecznego
Warszawy

Patronat honorowy



Wydarzenie towarzyszące

Mecenas

Patronat medialny



KONKURS
ACADEMIA 2025



Patronat medialny



CZY PRZYJAŃ Z ROBOTEM TO UTOPIA CZY DYSTOPIA?

WSPANIAŁY ŚWIAT

REŻYSERIA **GIULIO CALLEGARI**

W ROLI GŁÓWNEJ FRANCUSKA KOMICZKA **BLANCHE GARDIN**
(„NIE JESTEM ŁATWY”, „MIŁOŚĆ PO FRANCUSKU”)

W KINACH OD 9 MAJA

